

Webb Debra

Zakładnicy

Renee Vaughn, była prokurator, znalazła się na życiowym zakręcie. Jej kariera zawodowa stoi pod znakiem zapytania. Bez wahania zgadza się na pracę w agencji detektywistycznej, która podejmuje się poważnych i z pozoru beznadziejnych zadań. Jej pierwsza sprawa wydaje się dziecinnie prosta. Renee ma zdobyć zaufanie Paula Reyesa, znanego malarza, i w ten sposób dotrzeć do jego brata, barona narkotykowego. Wkrótce okazuje się, że w tej sprawie nikt nie jest tym, za kogo się podaje. Nie wiadomo też, kto jest sprzymierzeńcem Renee, a kto jej śmiertelnym wrogiem...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chicago

Poniedziałek, 30 kwietnia, 17:15 - Zatrzymaj się!

Renee Vaughn wcisnęła kilka banknotów kierowcy i wyskoczyła z taksówki. Kilka razy odetchnęła głęboko, lecz nadal brakowało jej powietrza. Cóż, informacje, które właśnie otrzymała, zmroziły jej krew w żyłach.

To niesprawiedliwe! - pomyślała zrozpaczona.

System sprawiedliwości zawiódł.

Ona zawiodła.

Egzekucja nie zostanie odwołana. Niewinny człowiek umrze o północy, a ona nie mogła już nic zrobić, by mu pomóc.

Pociemniało jej w oczach. Ciężko oparła się

o ścianę najbliższego budynku. Przymknęła oczy

i starała się odpędzić bolesne wspomnienia dręczące jej świadomość.

Była morderczynią.

Odgłosy popołudniowego szczytu ulicznego ledwie docierały do niej, filtrowane przez plątaninę emocji. Ściągnęły ją z powrotem do terażniejszości.

6

Kiedyś już przecież to wszystko przerabiała. I w zasadzie nie był to już jej problem. Powinna iść do domu i o wszystkim zapomnieć. Odsunięto ją od sprawy dwa lata temu. Adwokat klienta zdobył nawet sądowy zakaz zbliżania się do jej byłego podsądnego.

Miała wszelkie powody, by zapomnieć, by przejść nad tym pieprzonym bałaganem do porządku dziennego.

Ale nie potrafiła. Mężczyzna siedzący w celi śmierci był jej bratem, a ona знаła prawdę, czy choćby jej część. Jednak brat nie wyraził zgody, by za wszelką cenę próbowała powstrzymać proces sądowy. Nikt inny też nie chciał jej słuchać.

Wiatr świszczwał, jakby napominając, by wzięła się w garść. Spojrzała wokół, by zorientować się, gdzie dotarła. Aha, Madison Square. Dobrze, bo stąd już może iść do domu pieszo. Jej mieszkanie znajdowało się dziesięć przecznic dalej. Szła nierównym krokiem, ale zawsze tak się dzieje, gdy człowiek jest w szoku. Pewnie zaraz jej przejdzie.

Spojrzała na kościół pod wezwaniem Świętego Piotra. To na pewno było lepsze miejsce na znalezienie spokoju niż taksówka. Zanim zdążyła zebrać myśli, już wchodziła do środka. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz była w kościele, kiedy ostatni raz się modliła.

W jej głowie toczyła się chaotyczna bitwa emocji z rozumem. Szła alejką między rzędami ławek, jakby prowadził ją automatyczny pilot. Zbliżyła się do kaplicy w bocznej nawie i uklękła przed

7

ikoną. Zapaliła świeczkę i zmówiła modlitwę za niewinnego człowieka, który miał umrzeć za kilka godzin. Tylko cud mógłby uratować życie jej brata, ale będąc adwokatem z prokuratorskim doświadczeniem, dobrze wiedziała, że wiara w cuda nic tu nie pomoże.

Popełniła błąd. Bez względu na to, kto i co mógł na ten temat powiedzieć, doskonale wiedziała, gdzie i kiedy go popełniła.

Nawet nie musiała znaleźć się w Huntsville w Teksasie, by wyobrazić sobie, jak to będzie wyglądać. Zbiorą się dziennikarze i reporterzy telewizyjni z całego stanu. Będą protestować przeciwnicy kary śmierci, przekrzykiwani przez jej zwolenników, zwyczajowa walka na wrzaski i transparenty. Zjawią się rodziny ofiar zbrodni, czekając na chwilę, gdy zabójca zapłaci swoją cenę za popełnione zbrodnie. Renee wstała z klęcznika i opadła na ławkę. Siedziała przez chwilę, ciesząc się z ciszy panującej w pustym kościele. Powinna już iść do domu. Za godzinę świątynia wypełni się wiernymi przybyłymi na mszę, zniknie azyl samotności. Jednak brakło jej siły, by wstać i dojść do drzwi. Wpatrywała się w płomyk świeczki.

Wreszcie gwałtownie otarła pojedynczą łzę, która wypłynęła spod powieki.

- Do diabła z tym! - mruknęła i natychmiast skarciła się w myślach za przekleństwo w świętym miejscu.

Dlaczego miałyby winić się za działania innych

8

ludzi? Przecież nie ona, lecz jej brat zawinił swoim postępowaniem. Gdy tylko poznała prawdę, próbowała wszystko powstrzymać, ale stanowczo zakazał jej się wtrącać. To jakiś masochizm. Obiecała sobie wtedy, że nigdy już nie pozwoli, by przeszłość miała wpływ na jej obecne życie. Poczula czyjąś dłoń na ramieniu. Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła Jimiego Colby'ego.

- Próbujesz schować się przed godzinami szczytu?

Spotkanie Jimiego w tym miejscu było równie niezwykle jak to, że sama znalazła się w kościele. Obszedł ławkę i usiadł obok niej. Jak udało mu się ją tak łatwo podejść?

- Mam najlepsze miejsce na widowni - odpowiedziała błyskotliwie i zmusiła się do uśmiechu. Nie myśl o tym więcej, nakazała sobie. Niczego już nie zmienisz. Skup się na teraźniejszości. Ale skąd Jim się tutaj wziął? Raczej nie należał do religijnych facetów chodzących na msze. A przede wszystkim taka zaczepka zupełnie nie była w jego stylu. Jej nowy szef nie pozwalał sobie na takie wejścia.

Zawsze był poważny, skupiony i rozważny.

Uśmiechnął się, wykrzywiając lekko usta w sposób, który dla niej był jego znakiem firmowym. Gdy zobaczyła ten uśmiech po raz pierwszy, zdała sobie sprawę, że Jim nie lubi się uśmiechać, jednak z czasem robił to coraz częściej. Renee pracowała w jego firmie od dwóch miesięcy. Na początku był inny - nerwowy, wybuchowy, wręcz niebezpieczny. Wyraz jego oczu sprawiał, że ludzie chodzili na palcach. Oczywiście twarda Renee nie czuła się przytłoczona przez szefa, od razu jednak wiedziała, że nie powinno się traktować go po kumpelsku.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - Myśl, że mógł śledzić ją z biura aż tutaj, była pozbawiona sensu.

- Mechanik odwiózł twój samochód.

9

- Och... ja... - Pokręciła głową. - Mam się z nim skontaktować, czy jest gotowy. - Mechanik wziął auto rano, prosząc, by zadzwoniła przed wyjściem z pracy i dowiedziała się, czy naprawa została skończona. Ale to wszystko działo się, zanim dowiedziała się, że nie zdołała powstrzymać egzekucji. Nie myśl o tym, rozkazała sobie.

- Skoro nie dojechałaś do domu i nie odbierałaś komórki, to zadzwoniłem do firmy taksówkowej. Dyspozytor powiedział, że wysiadłaś w tej okolicy. Pomyślałem, że podrzucę cię z powrotem do biura, byś mogła wziąć swój samochód.

Jej komórka... faktycznie, przełączyła ją w tryb milczenia.

- Bardzo miło z twojej strony. - Renee czuła jednak, że chodziło mu nie tylko o przekazanie wieści o aucie.

- Mamy nowego klienta - potwierdził jej przypuszczenia Jim. - Zlecenie wymaga dość ryzykownej pracy w terenie. Przynajmniej kilku dni w delegacji. - Przyglądał się jej przez chwilę.

10

- Pomyślałem, że to praca akurat dla ciebie, jeśli tylko uznasz, że warto przyjąć to zlecenie.
- Jestem gotowa. - Tym razem przeszłość nie może przeszkodzić jej w pracy. Informacja, którą dostała przez telefon godzinę temu, nadal dźwięczała jej w uszach, ale zepchnęła ją do podświadomości. Błędy i decyzje jej brata nie były już jej problemami... zresztą nie były nimi już od dwóch lat. Nie miała wpływu na to, co miało się wydarzyć bez względu na przerażające okoliczności.
- Wiem, że czekałaś na pierwsze prawdziwe zlecenie w terenie - powiedział Colby. Fakt, pomyślała, sprawdzanie danych i śledzenie zdradzających się małżonków nie były jej wymarzonymi zajęciami, wiedziała jednak doskonale, że najpierw musi zaliczyć okres próbny.
- Jestem pewien, że ostatnie dwa miesiące nie dały ci dokładnego obrazu tego, co nas czeka w przyszłości.
- Owszem... - Mimo dwukrotnej zmiany pracy w ciągu ostatnich dwóch lat i niepewnej przyszłości zawodowej, wiedziała, że pewnych granic nie przekroczy, nawet gdyby znów miała wylądować na bezrobociu.
- To będzie delikatne zadanie, Renee.
- To znaczy?
- Okoliczności są dość skomplikowane. Akurat z tym nie miała żadnych problemów. Przeciwnie, brak komplikacji był dla niej wielce uciążliwy, bo wtedy przeszłość znów zawłaszczała teraźniejszość.

11

Spojrzała na Jima. Jeżeli wątpił w jej umiejętności samoobrony, to się mylił. Wiele razy była w opałach i mnóstwo się nauczyła.

- Jakże są te skomplikowane okoliczności?

- Działanie pod przykrywką, nawiązanie kontaktu z pewnym facetem i wciągnięcie jego brata w zasadzkę.

Renee odczuła przyływ adrenaliny. Właśnie na takie zlecenie czekała. Na coś niezwykłego. Na coś podniecającego i niebezpiecznego. No właśnie... Czy życie na krawędzi zagrożenia pomoże jej głęboko zakopać wydarzenia z przeszłości? Czy sprawi, że znowu sama zacznie sobie ufać?

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

- Kiedy zaczynam?

Jim Colby szukał w jej oczach wahania lub strachu, ale nie znalazł. Renee doskonale wiedziała, czym są zdrada i oszustwo, poznała je na własnej skórze, dlatego poradzi sobie z tym zadaniem. A jeśli coś stanie się przypadkowej osobie... co to kogo obchodzi, prawda? Trzeba wypełnić zadanie i zniknąć sprawę. Nic innego nie ma znaczenia.

- Może się okazać, że będziesz musiała zbliżyć się do celu. Sądzisz, że sobie z tym poradzisz? Wiem, że na tej twojej prześwieczonej uczelni nie było seminarium z działania pod przykrywką, kamuflażu i zdrady.

Tym razem ona skrzywiła usta w uśmiechu.

- Masz rację. Nie było takich tematów. Musiałam się tego sama nauczyć. Więc kiedy zaczynam?

- Teraz.

12

- Świetnie.
- Dzisiaj zapoznaj się z dokumentacją, a jutro od rana popracujemy nad twoją nową tożsamością. - Colby wstał. - Po południu wsiądziesz do samolotu i zaczniesz robotę.
- Co mamy? - Renee wstała i ruszyła obok niego główną alejką między ławkami.
- Zdjęcia, życiorysy, po prostu wszystko. Klient dostarczył nam całą dokumentację.
- Doskonale. - To zdecydowanie przyśpieszy realizację zadania.

Wsiadając do samochodu Jimiego, rzuciła okiem na wyświetlacz swojej komórki. Dwie nieodebrane i jedna wiadomość głosowa. Jedna z nieodebranych była od Jima. Druga wiadomość spowodowała przyśpieszone bicie serca, gdy odsłuchiwała nagraną zapowiedź. Pierwsze dwa słowa wiadomości - „Dzwonił gubernator” - wbiły ją z radości w fotel, choć jeszcze niedawno zapewniała siebie, że już się nie przejmuje tą sprawą.

Egzekucja została wstrzymana.

Przyglądała się ruchliwej ulicy otoczonej eklektyczną architekturą, która wyróżniała Chicago spośród wszystkich miast świata. To znaczy niby patrzyła, lecz tak naprawdę zagłębiała się w siebie.

To była dobra wiadomość.

Tym samym przeszłość ponownie zaatakowała terażniejszość Renee, rozpoczynając kolejny szalony cykl następujących po sobie ataków manii prześladowczej i prób jej przewycięzania.

13

Key Largo, Floryda Środa, 2 maja, 14:00

- To prawdziwa forteca.

Tak, forteca, pomyślała Renee, oglądając przez lornetkę trzykondygnacyjną willę z pokładu kutra Salty Dog. Prawie hektarowa posiadłość, o której opowiadał jej szyper, była położona nad samym brzegiem oceanu. Przy pomoście przycumowane były dwie łodzie: ślizgacz i godny pozazdroszczenia wielki jacht. Rezydencja bardziej przypominała strzeżone koszary wojskowe niż dom mieszkalny. Nie pasowała raczej do jego mieszkańca - „przymierającego głodem” artysty samouka. Choć jego obrazy były dość znane w południowo-wschodnich rejonach kraju, to zdecydowanie odbiegały od Picassa.

- Betonowe ściany. Najnowsze systemy zabezpieczeń elektronicznych. - Szyper, a zarazem przewodnik odsunął do tyłu bejsbolówkę i podrapał się w czoło. - Jeśli planuje pani niezapowiedzianą... hm... wizytę, to jest to, logistycznie ujmując, trudna do zrealizowania sprawa.

Renee opuściła lornetkę i zsunęła na oczy okulary przeciwsłoneczne zatknięte na czubku głowy. Musiała wymyślić niezłą historyjkę, by namówić szypra na urządzenie, nazwijmy to, krajoznawczej wycieczki. Na szczęście łyknął gorzką opowiastkę o zdradzie i nie zadawał więcej pytań. Przynajmniej w tym aspekcie jej doświadczenia życiowe okazały się na tyle pomocne, że jej historyjka zabrzmiała wiarygodnie.

14

- On nie ma ochroniarzy. A przynajmniej żadnego do tej pory nie widziano. - Henry Napier spojrział na nią wzrokiem, który mówił, że jest tym tak samo zdziwiony jak ona. - Nikt nie wie dlaczego. Jeździ nowym maserati gransport, który kosztuje sześciocyfrową fortunę. Ten jacht też jest zupełnie nowy. Powinien choć trochę drżeć o swój majątek, gdy kładzie się spać, a na terenie nie ma żadnego ochroniarza, ale najwyraźniej się nie boi.

Jest normą, że tak bogaci ludzie nie obywają się bez ochrony, ale mieszkaniec tego domu zdecydowanie musiał odbiegać od normy. Renee znów spojrziała na posiadłość wartą około pięciu milionów dolarów. Paul Reyes był młodszym bratem Victora Reyesa, hurtowego handlarza narkotyków, którego rezydencja gdzieś w Meksyku była tak ukryta i chroniona, że tylko najbardziej zaufani współpracownicy wiedzieli, gdzie się znajduje. To, że Paul żyje tak swobodnie, bez żadnej obstawy, kompletnie nie pasowało do jego brata, barona narkotykowego.

- Tylko tak blisko mogę podpłynąć - wyjaśnił Napier. - Takie mamy przepisy. Bogacze nie lubią, gdy podpływa się bliżej. Pozostała pani jeszcze godzina wynajmu. Płyniemy gdzieś czy chce pani tu zostać?

Renee nie odpowiedziała od razu. Jej myśli koncentrowały się na mężczyźnie mieszkającym w fortecy na brzegu. Na jej celu - Paulu Reyesie. Cichym, spokojnym, tajemniczym mężczyźnie. Tyle właśnie wiedzieli o nim ludzie, poza oczywiście obrazami sprzedawanymi za pośrednictwem galerii. Dziś rano Renee odwiedziła ją i obejrzała prace Reyesa. Były naprawdę niezłe.

Co sprawiało, że jawił się jako całkowita odwrotność swojego brata? Raporty policyjne głosiły, że Victor był okrutny i mściwy. Swoją fortunę zdobył, wykorzystując słabość innych. Nie dbał o to, kto na tym cierpi albo jaką szkodę wyrządza społeczeństwu. Dbał tylko o siebie. Żadna policyjna agencja rządowa nie zdołała nawet do niego się zbliżyć, a co dopiero mówić o pojmaniu.

Klientem agencji detektywistyczno-prawniczej Equalizers była Daria Stewart, siostra zamordowanego detektywa jednostki antynarkotykowej z Nowego Orleanu. To właśnie Victor Reyes był odpowiedzialny za śmierć jej brata. Ani policji, ani DE A - Agencji Antynarkotykowej, nie udało się aresztować Reyesa za wykorzystywanie Nowego Orleanu i kilku innych portów morskich jako bram do rozprzestrzeniania się zła, czyli narkotyków. Gdy brat Darli Stewart, detektyw Chris Nelson, postawił sobie za punkt honoru dorwanie Reyesa, został zgnieciony i usunięty jak natrętna mucha. By złapać i postawić mordercę brata w stan oskarżenia, Daria Stewart postanowiła dotrzeć do jedyne go człowieka, któremu ufał jej brat. Był to agent DEA, Joseph Gates. Oznajmił stanowczo, że Nelson posiadał niezbit e dowody na narkotykową działalność Reyesa, ale rząd Meksyku odmówił wszczęcia postępowania ekstradycyjnego, twierdząc, że taki człowiek nie przebywa w Meksyku,

16

a nawet jeśli, to władze nie mają pojęcia, gdzie rezyduje. Być może tak było, choć powszechna praktyka stawiała to pod znakiem zapytania. Najpewniej wszechobecna korupcja sprawiła, że urzędnicy taką właśnie wersję prezentowali opinii publicznej, jak i policji, też zresztą opłacanej przez barona narkotykowego.

Zlecenie wydawało się Renee dość łatwe. Musiała tylko wykorzystać Paula Reyesa jako przynętę do ściągnięcia brata na terytorium Stanów Zjednoczonych, gdzie zostałby natychmiast aresztowany przez DEA. Agenci przez jakiś czas monitorowali ruchy brata Victora na Florydzie - jego jedyne kontakty ze Stanami, ale bez żadnych rezultatów. Zajmując się wieloma sprawami na raz, Agencja Antynarkotykowa nie mogła skupiać się jedynie na obserwacji Paula Reyesa, więc środki na operację topniały, aż cała sprawa została odstawiona na dolną półkę, co przeraziło Darię Stewart. Nie mając żadnej innej możliwości wywarcia nacisku na władzę i policję, zwróciła się do firmy Equalizers o pomoc. Agent Gates obiecał wsparcie, mimo rozkazów, by skupił działania na innych śledztwach. Oczywiście było, że nie mógł zrobić nic konkretnego, dopóki Reyes nie pojawi się na terenie jego jurysdykcji. A Renee miała właśnie do tego doprowadzić.

Choć rozumiała się dobrze z Jimem Colbym na wielu płaszczyznach zawodowych **i szanowała go**, to poitanowała, że nigdy nie pozwoli, by ktoś miał nad nią pełną kontrolę. Całkowite zaufanie do sze-

17

fa i innych współpracowników było wykluczone. Cholera, nawet sobie nie ufała do końca, a co dopiero innym ludziom! Tak bardzo ufała swojemu poprzedniemu szefowi i mentorowi, a zawiódł ją na całej linii.

Odepchnęła od siebie przykre wspomnienia. Nie miała zamiaru powtórnie odbierać gorzkich lekcji od życia.

- Dziękuję, panie Napier. Możemy już wracać. Widziałam wystarczająco dużo.

Stary szyper skinął głową i zawrócił łódź. Został polecony Renee jako żywa encyklopedia wiedzy wszelakiej o mieszkańcach Key Largo, tych dystyngowanych, jak i tych słynnych inaczej. Jakby ze szpiegowania innych uczynił swoją życiową misję. Napier mieszkał tu od urodzenia i zarabiał na turystach, obwożąc ich wokół wysepek i snując barwne opowieści o mieszkańcach. Życiowa misja... Renee uśmiechnęła się w duchu. Zwykle wścibstwo, tyle że przynoszące dolary.

Słońce, wiatr i woda sprawiły, że Renee poczuła się pełna energii i wolna, co już dawno jej się nie przydarzyło. A może tak na nią podziałała praca pod przykrywką? Większość czasu w poprzednich miejscach pracy spędzała w biurach i bibliotekach, zbierając dane i przygotowując się do reprezentowania klientów w sądzie. Obecne zadanie na pewno było zmianą na lepsze.

Dzięki temu stała się, choćby tylko na jakiś czas, kimś innym.

Swoje sztywniackie garsonki i garnitury - jak to

18

określił jej kolega z agencji Equalizers, Sam Johnson - zostawiła w Chicago. Na pierwsze zadanie w terenie ubrała się jak tutejsi mieszkańcy, czyli na luzie i seksownie. Nie było to trudne, bo miała świetną figurę, tyle że nigdy dotąd nie ubierała się na luzie i seksownie. Konserwatywna z natury, do tego prawniczka... Zrozumiała, że na sali sądowej zachowywała się profesjonalnie, z powagą, podobnie podczas innych czynności urzędowych.

Była w tym dobra, cholera jasna. Tylko że niewystarczająco przebiegła, by przewidzieć, co może się jej przydarzyć.

Znowu musiała przegonić wspomnienia.

Po powrocie na brzeg z nawiązką opłaciła przewodnika, wsiadła do wypożyczonego samochodu i pojechała do hotelu. Skwar Florydy dał się jej solidnie we znaki, poczuła więc ogromną ulgę w klimatyzowanym pokoju hotelowym. Zapaliła światło i, wydostała teczkę z dokumentacją ze schowka, który sama sobie stworzyła w przewodzie wentylacyjnym.

Oglądała fotografie braci Reyesów. Victor miał trzydzieści osiem lat, ciemne włosy i oczy. Gdyby Renee szukała aktora do roli barona narkotykowego w filmie kryminalnym, to lepszego by nie znalazła w całym Hollywood. Był przystojny, ale nawet na fotografii roztałcał groźną aurę. Sylwetka, postawa, no i to wyzywające spojrzenie, sposób, w jaki patrzył w obiektyw... Przeróżający człowiek. Renee widziała już takie typy, zwykle za ławą oskarżonych w sądzie.

19

Paul na pozór bardzo przypominał brata, ale tylko fizycznie. Wydawał się spokojnym, zamkniętym w sobie, kompletnie nieszkodliwym introwertykiem zanurzonym we własnym świecie. Też miał ciemne włosy i oczy, emanował jednak łagodnością, a także pozytywną inteligencją. To się po prostu czuło. Był młodszy o dwa lata od brata i całkiem się od niego różnił charakterologicznie, co zostało opisane w dokumentach otrzymanych przez Renee.

Victor był zdeklarowanym przestępcą, żył według własnych reguł, które nijak się miały do porządku prawnego. Natomiast w stosunku do kobiet wyznawał stare, konserwatywne zasady w najbardziej upiornym wydaniu. Mianowicie kobiety wchodziły w skład majątku ruchomego, a jakkolwiek brak lojalności z ich strony mógł być karany nawet śmiercią.

Paul był całkowitą odwrotnością brata. Żył w izolacji od świata, rzadko kontaktując się z kimkolwiek. Ich drogi rozeszły się prawie dekadę temu, gdy Paul rzekomo miał już dosyć brata łajdaka i zamieszkał na stałe w Stanach Zjednoczonych. Może i tak było, ale Renee uważała, że luksusowa rezydencja na wyspie z pewnością była zakupiona za brudne pieniądze. Jego malarstwo było interesujące, ale Paul, poza lokalnymi sukcesikami, jak dotąd nie zdobył znaczącej pozycji w świecie sztuki.

Renee odłożyła papiery i ubrała się do następnego zadania. Włożyła eleganckie spodnie w kolorze

20

kremowym, pasującą do nich jedwabną bluzkę i wygodne sandały z rzemyków. W torebce miała wizytówkę właściciela galerii sztuki, którą odwiedziła dziś rano. Dowiedziała się, że Paul praktycznie nie opuszcza posiadłości, a jeśli już, to z okazji otwarcia wystawy w galerii albo prezentacji jego dzieł. Ale nawet największa wystawa nie była nigdy gwarancją, że akurat się na niej pojawi.

Istniało tylko jedno rozwiązanie - wizyta w jego rezydencji.

Renee wyjęła dwudziestkędwójkę z pudła z różami. Przesyłkę dostarczył kontakt Jima Colby'e-go w Key Largo. Po przypięciu kabury do kostki, umieściła w niej pistolet. Jeżeli dopisze jej szczęście, nie będzie musiała jej użyć; ale jeśli przeszłość mogła ją czegoś nauczyć, to tego, że szczęście zawsze gdzieś się zapodziało, gdy było najbardziej potrzebne.

18:00

Ocean Boulevard, jak sama nazwa wskazywała, biegł wzdłuż przepięknego, szafirowego brzegu oceanu nakrapianego ogromnymi rezydencjami. Przy końcu bulwaru mieściły się najwspanialsze rezydencje otoczone dużymi posiadłościami. Tam właśnie, przed bramą z kutego żelaza, Renee zatrzymała samochód. Odetchnęła głęboko i nacisnęła guzik interkomu.

- Słucham?

To był Paul Reyes. Choć nigdy nie słyszała jego

głosu, to jedno słowo, wypowiedziane głębokim, aksamitnym głosem, pasowało do ciemnych oczu i spokojnej, pełnej skupienia twarzy.

- Pan Reyes? - spytała dla pewności.

- Proszę podać nazwisko i cel wizyty. Spojrzała na kamerę umieszczoną obok bramy.

- Nazywam się Renee Parsons. Mallory Rogers z galerii Rogers-Hall poradziła mi, bym osobiście odwiedziła pana, by przedstawić moją propozycję. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko do kamery, choć rzadko tak się zachowywała. Zwykle miała poważną i skupioną twarz.

Wstrzymała oddech, mając nadzieję, że jej plan zadziała. Jeśli Reyes, nim zdecyduje, czy wpuścić ją do środka, zadzwoni do Mallory Rogers, czekają ją kłopoty.

Mocno spięta uniosła stopę z hamulca i samochód zaczął się toczyć przez otwierającą się bramę.

Droga dojazdowa przecinała soczysty trawnik, a kończyła się na podjeździe z ukwieconym okrągłym klombem z dużą fontanną pośrodku.

Zaparkowała i wysiadła. Powietrze było parne, żar wcale nie przygasł z zachodem słońca. Wyjęła z samochodu damską torebkę, w której miała urządzenie podsłuchowe wielkości ćwierćdolarówki.

Wystarczyło tylko pozostawić je w odpowiednim miejscu, a wszystkie rozmowy będą monitorowane przez agencję Equalizers. To było nielegalne, ale korzystanie z takich urządzeń wchodziło w zakres nowych obowiązków Renee.

Wiedza oznaczała władzę, a skoro informacje

o tym człowieku i jego bracie były nieosiągalne w sposób zgodny z prawem, zaczynała działać dewiza, że cel uświęcał środki. Musiała nauczyć się wszystkich detektywistycznych sztuczek. Zbyt ni pośpiech i niecierpliwość mogły doprowadzić do klęski.

Renee szła po wyłożonym kamieniem tarasie, prowadzącym do drzwi wejściowych. Nie śpieszyła się, starała się kołysać seksownie biodrami, a jednocześnie rozglądała się po posiadłości. Paul Reyes z pewnością ją obserwował, dlatego udawała, że beztrąsko podziwia rezydencję i zadbane ogród.

Nacisnęła dzwonek i spojrzała na piękne doniczkowe rośliny po obu stronach wysokich podwójnych drzwi. Nawet jeden niedopracowany szczegół nie psuł śródziemnomorskiego charakteru posiadłości. Wszystko było dopasowane tak, by cieszyć wzrok.

Gdy otwarły się drzwi i stanął w nich Paul Reyes, Renee znowu wstrzymała oddech. Był ubrany w luźne lniane spodnie i bawełnianą śnieżnobiałą koszulę, kontrastującą z gładką, ciemną skórą.

- Pani Rogers nie przypomina sobie, żeby radziła komukolwiek, by złożył mi niezapowiedzianą wizytę. Czy pani byłaby uprzejma wnieść poprawki do swojego oświadczenia o celu wizyty, pani Parsons?

No to wpadła. Ale przynajmniej już tu dotarła, więc warto dobijać się dalej. Wyciągnęła rękę.

- Miło pana poznać, panie Reyes.

Spojrzał na jej dłoń, potem na nią całą. Na

szczęście manieri nie pozwoliły mu na zignorowanie jej gestu. Zaciśnął palce na jej dłoni i potrząsnął miękko, ale zdecydowanie. Ciemne, brązowe oczy zlustrowały dokładnie Renee.

- Co jest powodem pani wizyty, panno Parsons? - Puścił jej dłoń. - Zaintrygowały mnie pani odwaga i determinacja.

Był zainteresowany. A to już jakiś początek.

- Przyjechałam z Los Angeles. Bardzo mi zależy na tym, by zaprezentować pana prace w galerii, dla której pracuję. Dowiedziałam się, że nie pokazuje pan prac poza Key Largo, choć całkiem nieźle sprzedają się w sąsiednich stanach. To wielka strata dla pańskich możliwości. Uznałam, że muszę się spotkać z panem i przedstawić swoją prośbę. Chcemy, by nazwisko Paul Reyes stało się tak popularne na Zachodnim Wybrzeżu jak sprzęty domowego użytku. I potrafimy tego dokonać.

Jim Colby zapewnił jej oparcie dla przykrywki dzięki znajomości z właścicielem galerii w okolicach Los Angeles, przy Melrose. Profil Renee był jedynym silnym asem w garści blotek. Jeśli to nie zadziała, pozostanie jej improwizacja.

Przez dłuższą chwilę Paul Reyes w milczeniu rozważał jej słowa. Renee nie potrafiła odczytać jego myśli, ale przynajmniej nie zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

- Czy ma pani jakieś dokumenty mogące potwierdzić pani słowa?

- Oczywiście - odpowiedziała z ulgą, której nie okazała nawet lekkim uśmiechem, i wyciągnęła

perfekcyjnie sfalszowane kalifornijskie prawo jazdy oraz prawdziwą wizytówkę. Właściciel galerii przesłał ją wraz z innymi drobiazgami ekspresowym kurierem, dlatego dotarły do hotelu w Key Largo następnego ranka.

- Przywiozłam propozycję kontraktu. Będę wdzięczna, jeśli rzuci pan okiem na nasze pomysły związane z pana niezwykłymi pracami. - Projekt umowy dostarczonej przez właściciela galerii z Los Angeles miała w pamięci smart-phonu BlackBerry w torebce. - Jesteśmy gotowi spełnić pana warunki, by zapewnić jak najlepszy komfort współpracy. Jesteśmy pod wrażeniem pana dzieł, panie Reyes, i chcemy zaprezentować je naszym klientom. - To akurat było prawdą. Gdy Jim przesłał do galerii kilka cyfrowych zdjęć obrazów Reyesa, faktycznie wzbudziły spore zainteresowanie.

- W porządku, pani Parsons. - Reyes oddał jej dokument i wizytówkę. - Skoro przyjechała pani z tak daleka, to ofiaruję pani pół godziny. Proszę przekonać mnie, że powinienem przyjrzeć się propozycji waszej galerii. Wtedy być może nawiążemy współpracę.

Pół godziny. To więcej, niż mogła sobie życzyć. Reyes otworzył szeroko drzwi, by ją wpuścić. Była w środku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jeśli Renee sądziła, że wnętrze rezydencji jedynie przystawało do zewnętrznego wyglądu, to bardzo się myliła. Można by rzec, że znalazła się nie w zwykłej siedzibie milionera, lecz w luksusowym śródziemnomorskim pałacu. Chłodne, gładkie marmurowe podłogi kontrastowały z parkietami z drewna cyprysowego, wysoki sufit czynił wnętrze przestronniej szym, a przez wielkie przeszklone drzwi widać było ocean.

Zawieszony schody w holu wejściowym były zdecydowanie nowoczesnym, a zarazem stylowym akcentem, a otwarte gdzieś okna wpuszczały morską, lekko słonawą bryzę. Dziwne wydało się jej, że właściciel pozwala sobie na pozostawianie otwartych okien, jak i brak zasłon z tyłu domu.

Jednocześnie przypominała sobie, że przecież nie była w stanie niczego dojrzeć przez frontowe okna z pokładu łodzi. Szyby musiały być przyciemnione albo pokryte folią odbłaskową. A jeśli system alarmowy był przynajmniej w połowie tak dobry, jak można się było spodziewać, to właściciel nie musiał się obawiać intruzów na terenie posiadłości.

W końcu tu mieszkał Paul Reyes, brat barona

narkotykowego. Victor zadbał o bezpieczeństwo najbliższego krewnego.

- Tędy, proszę. - Paul Reyes wyrwał ją z zamyślenia i poprowadził w głąb luksusowego domu.

Renee musiała przywoływać się do porządku, by obserwować swój cel, a nie rozglądać się dookoła i podziwiać wytworne detale wykończenia i umeblowania. Najwyraźniej talenty artystyczne Paula rozciągały się także na architekturę wnętrz lub też wynajął doskonałego projektanta.

Z holu skręcili w prawo przed wspaniałym wejściem do pokoju z widokiem na ocean i znaleźli się w korytarzu z wieloma drzwiami do różnych pomieszczeń. Paul Reyes poprowadził Renee do biblioteki, bo tej olbrzymiej przestrzeni obłożonej regałami z książkami po sam sufit nie można było nazwać zwykłym gabinetem.

Zatrzymał się na środku pomieszczenia, spojrzał na Renee i jej torebkę.

- Wspomniała pani o propozycji kontraktu

- odezwał się z powątpiewaniem.

- Tak. - Wyjęła BlackBerry. - To spory dokument. - Spojrzała na komputer stojący na biurku. -

Możemy dla wygody zgrać cały tekst.

- Wstrzymała oddech, mając nadzieję, że Reyes przyjmie jej sugestię.

Po kilku sekundach nieznośnego napięcia z ulgą usłyszała:

- Więc proszę. - Wskazał komputer.

Renee podeszła do eleganckiego biurka, usiadła, wyciągnęła kabelek i podłączyła BlackBerry. Po

minucie tekst był na monitorze. Propozycja umowy była prawdziwa, ale w programie wprowadzającym na twardy dysk znajdował się interfejs umożliwiający zdalne przenikanie do pamięci komputera z jej BlackBerry. Chodziło o wgląd w dokumenty dotyczące Victora, jeśli Paul trzymał tu takie. Renee miała przy tym nadzieję, że program antywirusowy nie rozpozna szpiegowskiego robaka. I nie były to tylko pobożne życzenia.

Sam Johnson, nowy pracownik agencji Equalizers, przywiózł to oprogramowanie z Los Angeles. Jeden z naukowców, z którym współpracował, jednocześnie maniak komputerowy, stworzył ten praktycznie niewykrywalny program, by dowiedzieć się, co jego dziewczyna porabia w necie, gdy on pracował na nocne zmiany w stanowym laboratorium kryminalistycznym. Podejrzewał ją o wirtualny romans. Dowiedział się znacznie więcej, niż potrzebował.

- Proszę bardzo. - Renee wstała z fotela i wskazała na pierwszą stronę umowy wyświetlonej na monitorze.

Paul Reyes intensywnie przyglądał się jej twarzy, co mogło zdenerwować każdego. Nie miał jednak możliwości, by odkryć, że Renee ma fałszywą tożsamość. Choć była bardzo spięta, na zewnątrz ukazywała profesjonalną, chłodną maskę prawnika z sali sądowej.

- Proszę wybaczyć mi moje maniery - powiedział nagle Paul z zażenowaniem. - Prawie nie miewam gości, dlatego zapominam o dobrych

manierach. Czy chciałaby się pani czegoś napić, panno Parsons?

- Proszę zwracać się do mnie Renee. - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - Chętnie się czegoś napiję. - Świetnie. Zależało jej, by poczuł się swobodny w jej towarzystwie.

- Zróbmy więc małą przerwę, potem wrócimy do kontraktu.

Bała się, że transfer umowy na komputer mógł wzbudzić podejrzliwość Paula, ale musiała tak to właśnie rozegrać i czekać, co wydarzy się dalej. Poczowała, że ma zimne dłonie. Na sali sądowej nigdy nie brakowało jej animuszu, nigdy też adwersarze nie dostrzegli potu na jej skroniach, widomej oznaki znerwowania czy nawet paniki. Lecz tutaj nie była na swoim terytorium, a to wszystko zmieniało. Jednak dopóki Paul nie zobaczy strachu w jej oczach, nie będzie powodu do stresu.

Poprowadził ją korytarzem do obszernej kuchni. Błyszczące urządzenia z nierdzewnej stali dodawały jej nowoczesnego wyglądu, a granitowe blaty z marmurowymi elementami kojarzyły się z tradycyjnym luksusem. Podłoga z kamiennych płyt i okna od ściany do ściany wraz z prostym umeblowaniem zapewniały kuchni pozornie niewyszukaną, lecz tak naprawdę wykwinłą elegancję.

Paul przygotował mieszankę świeżo wyciśniętych soków, przystrajając wysokie szklanki listkami mięty.

- To zdrowsze od wina. - Podał jej napój.

- Dziękuję. - Upiła łyczek. Nie zamierzała komentować faktu, że zaoferował jej bezalkoholowego drinka, choć z raportów wynikało, że Paul Reyes nie należy do abstynentów. - Przypuszczam, że dużo pan ćwiczy. - Tak też wyglądał. Renee próbowała sobie wmówić, że nie była to zachęta do flirtu czy czegoś więcej. Owszem, miała przed sobą bardzo przystojnego faceta o głębokim, aksamitnym głosie, zbudowanego przy tym jak model z okładki popularnego magazynu. Wyglądałby świetnie we wszystkim, co tylko by na siebie włożył. Jednak seks z Paulem Reyesem nie należy do jej obowiązków służbowych. Owszem, miła rozmowa na granicy flirtu, to tak, ale seks?

- Mój image wymaga dbania o kondycję i wygląd. - Przyjrzał się jej bez skrepowania od różowych paznokci stóp po naturalną fryzurę. - Poza tym umysł i ciało muszą z sobą współgrać. Nie uważa pani? Sposób, w jaki na nią spojrział, mocno ją speszył. A nie powinien. Przecież chciała mu się spodobać. Właśnie dlatego włożyła bluzkę z dużym wycięciem w dekolcie i spodnie podkreślające smukłą sylwetkę. Ale drapieżny, błyszczący wzrok Paula był zdecydowanie... przedwczesny, wszak ledwie się poznali. Poza tym nie spodziewała się tak otwartej reakcji od mężczyzny, który chował się przed całym światem.

- Tak - odparła niepewnie. - Zgadzam się całkowicie.

Uśmiechnął się, najwyraźniej bawiąc się jej skrepowaniem.

30

- Jest pani marszandem pracującym dla galerii w Los Angeles?

- Tak naprawdę to nie. - Tym razem tylko udawała osobę niepewną, jako że przeszła do wyuczonej roli. - Poproszono mnie, żebym skontaktowała się z panem i zaoferowała współpracę, bo jestem wielką fanką pańskiej twórczości. Właściciel galerii liczy na to, że moje osobiste zaangażowanie zachęci pana do podpisania umowy.

Nawet jeśli jej odpowiedź go poruszyła, doskonale to ukrył. Wpatrywał się intensywnie w Re-nee, aż zaczęła marzyć tylko o tym, by się odwrócić. Musiała mu jednak ukazać szczere spojrzenie, nie zaś płoszyć się ponad miarę, jakby miała coś do ukrycia.

- Emocjonalne zaangażowanie to potężne narzędzie, Renee. - Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. - W mojej pracy to podstawa sukcesu, i dotyczy nie tylko mnie, ale i wszystkich osób związanych ze mną. Nikt nie powinien wstydzić się swojej pasji.

Owszem, bardzo spodobał się jej sposób, w jaki wymówił jej imię, lecz tak naprawdę poruszyło ją coś innego. I to w zaskakująco niemiły sposób.

„W mojej pracy”.

Nie „twórczość” czy „sztuka”, ale „praca”. Może to jedynie kwestia lingwistyczna? W końcu angielski nie był jego ojczystym językiem. Ot, semantyczna, a może raczej stylistyczna niedokładność. Nie powinna formułować podejrzeń na podstawie kilku słów. Przesadzała z analizami. To

przez te nerwy. Gdy wczuje się w rolę i zrelaksuje odrobinę, wszystko będzie dobrze.

- Proponuję, byśmy wrócili do mojej oferty. - Twardo trzymała się planu. Być może swobodna rozmowa o zaangażowaniu, pasji zawodowej i twórczej przyniosłaby dobry efekt, jednak Renee odnosiła sukcesy na sali sądowej między innymi dlatego, że zawsze miała starannie obmyślany i rozpisany na punkty plan działania, od którego odstępowała tylko w wyjątkowych sytuacjach. Wrócili do biblioteki. Słońce zniknęło już za horyzontem, zostawiając na niebie złocistą poświatę, którą można było podziwiać przez olbrzymie okna.

Renee przerażała myśl, że miliony z handlu narkotykami przyczyniły się do powstania tej wspaniałej rezydencji. Jednak Paul Reyes nie działał w narkobiznesie, nie należał do kartelu swojego brata. Co wcale nie oznaczało, że nie przyjął od niego pieniędzy na dom. Jak to w rodzinie, pomyślała bez zjadliwej kpiny czy ironii. Cóż, od kiedy przekroczyła pewną niewidzialną, choć bardzo znaczącą granicę, toga Katona, antycznego strażnika moralności, jakoś przestała jej pasować. Owszem, nadal stała po właściwej stronie, tyle że za swe nowe motto uznała zasadę, iż cel uświęca środki. A to naprawdę wiele zmienia. Jak najmniej oceniamy innych - i róbmy swoje. Walczmy ze złem w czystej postaci, ale pamiętajmy, że sami nie jesteśmy święci. I nikt wokół nas też taki nie jest. Zamierzała wykorzystać Paula, by ściągnąć jego

brata w pułapkę. Owszem, Paul zerwał z Victorem, jednak wciąż są rodzeństwem, więc to tylko takie powierzchowne zerwanie. Mógł nienawidzić brata za to, czym się zajmował, lecz z pewnością nie potrafiłby knuć przeciwko niemu. Renee musiała więc oprzeć swoją akcję na kłamstwie, na zdobyciu zaufania kogoś, kogo zamierza cynicznie oszukać, zdrwić z jego braterskich uczuć. Nie będzie miło tego wspominać, ale też nie stanie się ofiarą wyrzutów sumienia. Cel uświęca środki.

- Jak pan widzi - zaczęła omawiać pierwszą część umowy - nasza galeria przedstawi pana obrazy w taki sposób, by maksymalnie wyeksponować esencję piasku, wody i nieba. Południowa Kalifornia różni się od wysp Keys na Florydzie bardziej, niż może się panu wydawać. Pańskie prace doskonale uzupełnią naszą ofertę. Mamy wielu zagranicznych klientów.

- Proszę kontynuować.

Nie wiedziała, czy zainteresował się jej ofertą, ale przynajmniej skupiał na niej swoją uwagę, a to już był sukces. Gdy przedstawiła ostatni slajd prezentacji, przeszła do następnego etapu.

- Wiem, że potrzebuje pan trochę czasu na przemyślenie naszej propozycji. Może porozmawiamy o tym jutro podczas obiadu? Przedyskutujemy niejasne bądź sporne kwestie w swobodniejszej atmosferze.

Spodziewała się, że będzie się wahał. Będąc samotnikiem, pewnie nie lubił opuszczać swojego sanktuarium. Nie wiedziała też, jak potraktuje

33

wzmiankę o swobodniejszej atmosferze, zupełnie normalnie, czy też jako propozycję całkiem innego rodzaju.

- To doskonały pomysł. - Raz jeszcze zerknął na monitor. - Przejrzę dokładnie ofertę i podejmę ostateczną decyzję. Wolałbym jednak, Renee, żeby nasze rendez-vous odbyło się tutaj. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Na to właśnie liczyła. Jak i na to, że zacznie mówić do niej per ty.

- Skądże. Zostanę w miasteczku przez kilka dni. Mój czas należy do pana.

- Paul, po prostu Paul.

- Więc o której, Paul? - Uśmiechnęła się do niego delikatnie. Myśl, że poszło jej nawet lepiej, niż zakładała, była bardzo krzepiąca. Zaniepokoiła się jednak, gdy Reyes zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów bez najmniejszego skrepowania.

- O siódmej. Może być?

- Dobrze, o siódmej. - Sięgnęła po torebkę. - Cieszę się, że omówimy perspektywy współpracy i obejrzę twoje obrazy.

- Oczywiście. Też się cieszę. - Położył dłoń na jej plecach na wysokości talii i poprowadził ją do wyjścia. - Żyję jak samotnik, a jednak w mojej posiadłości, a już szczególnie w mojej pracowni znajduję mnóstwo pomysłów i inspiracji. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Czasem jednak potrzebuję dodatkowej stymulacji. Piękna kobieta i artysta... piorunująca kombinacja, czyż nie?

- Nie mogę się doczekać obejrzenia twojej

34

pracowni. - Miała już pewność, że sprawa posuwa się do przodu.

- Zapewniani cię, że oprowadzę cię po niej bardzo dokładnie.

Nagle rozległo się głośne kliknięcie i odgłos przypominający zamykające się żaluzje bramy garażowej. Paul odwrócił się gwałtownie w stronę wnętrza domu, Renee natychmiast zrobiła tak samo. Żaluzje okienne zaczęły opadać, blokując wspaniałą widok. Czy to ostrzeżenie o nadchodzącym huraganie uruchomiło system ochrony?

Rozległ się metalowy chrzęst automatycznie blokujących się zamków we frontowych drzwiach.

Co tu się, do licha, dzieje?

- Renee! - krzyknął Reyes. - Coś jest nie tak. Musisz uciekać! Natychmiast!

Sięgnął do drzwi, ale były już zablokowane. Klamka ani drgnęła.

- Czy system ochrony można wyłączyć? - spytała, próbując zapanować nad paniką.

Paul zaczął wbijać w klawiaturę kod rozbrajania alarmu, lecz nic to nie dało.

- Nie rozumiem. Coś takiego nigdy jeszcze się nie wydarzyło.

Renee odwróciła się na odgłos głośnych kroków i zobaczyła dwóch mężczyzn. Potężnych. Groźnych.

Opadła z wrażenia na kanapę, zarazem jednak zaczęła sięgać po broń.

- Nie ruszać się! - ryknął pierwszy z mężczyzn i wycelował pistolet w jej głowę.

35

Nie miała zamiaru ginąć. Odepchnęła się od siedzenia i wstała.

- Kim jesteście? Czego chcecie?! - krzyczał zdenerwowany Reyes.

- Ciebie - warknął drugi mężczyzna, przystawiając mu trzydziestkę do czoła.

Gdy Renee próbowała ustawić się między nimi, by osłonić Reyesa, drugi napastnik chwycił ją od tyłu i zatkał jej nos i usta wilgotną szmatką. Gdy zaciągała się powietrzem, poczuła ogień w płucach, a zaraz potem nie czuła już nic.

Ogarnęła ją ciemność.

Merida, Meksyk

Tego samego dnia, 18:50

Miał zbyt ciężkie powieki, by je unieść. Nie da rady dłużej czuwać. Tej nocy strach zawładnął nim zbyt szybko. Minęło zbyt wiele nieprzespanych nocy. Potrzebował odpoczynku... ale gdyby zasnął zbyt głęboko, mógłby nie usłyszeć przybycia wrogów.

Musiał czuwać. Ale przecież był tak bardzo zmęczony. Całe dnie, które przemieniły się w tygodnie, walczył z tą pokusą, wygrywał małe bitwy, by przetrwać jedynie na krótkich drzemkach. Nie mógł nikomu ufać.

Jak długo jeszcze można było być więźniem takiego układu?

Do czego zmierzał jego brat? Nic tu nie miało sensu. Tak dawno się rozdzielili, bo nie chciał

36

należać do świata swojego brata, świata cierpienia i śmierci.

Na odgłos otwieranej zasuwki podniósł głowę i szeroko otworzył oczy.

To mógł być diabeł... który przyszedł dokończyć swoją robotę. Był tak wyczerpany, że w pewnym sensie nawet się cieszył, że koszmar wreszcie się skończy. Ta chwila zbliżała się od wielu lat.

Powinien był to przewidzieć. Umrze tu sam, zgnije z dala od ludzi. Los, przeznaczenie... Nie da się zerwać braterskiego związku, nawet gdy przesycony jest złem. A może wtedy właśnie szczególnie się nie da. Zło... Zło płynęło w żyłach brata, i w jego żyłach... Byli przecież jednej krwi.

Drzwi otwały się powoli. Mimo ciemności dostrzegł wahającą się w progu sylwetkę gościa. To nie był brat. Ulżyło mu.

Juanita ostrożnie zajrzała do środka.

- *Senor?*

Jej głos był słaby i przerażony. Powinna być przerażona. Odegrała swoją rolę w tym nikczemnym planie, stała się współnikiem samolubnych poczynań jego brata.

Mimo wielu powodów, by wątpić w wybawienie, zaświtała w nim nadzieja. Może wreszcie zyskał stronnika? A może to była tylko kolejna sztuczka w tym szatańskim spisku przeciwko niemu?

- Odmieniło ci się coś w sercu, kobieto? - spytał po angielsku. Nie chciał mówić językiem swoich zdrajców. Znał Juanitę od dzieciństwa. Jego matka ufała jej, zlecała opiekę nad swoimi dzie-

ćmi. Gdyby matka jeszcze żyła, potępiłaby jej postępowanie. Niestety, w tej rodzinie lojalność już dawno umarła.

Juanita weszła do pokoju, który od miesiąca był jego więzieniem. A może nawet dłużej? W pewnym sensie pogodził się już z tym, że tutaj umrze.

Światło, które wpadło wraz z Juanitą przez uchylone drzwi, oświetliło ponurą chudą twarz i spuszczone powieki. Podejrzewał, że poczucie winy nie pozwalało jej spojrzeć mu prosto w oczy. Był więźniem przetrzymywanym w domu, w którym się urodził. Porzucił już nawet nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczy słoneczne światło. Jego pobratymcy zwrócili się przeciwko niemu, motywowani groźbami i nagrodami oferowanymi przez jego brata potwora.

- Tak, zmieniło się, *senor* - przyznała z bezbrzeżnym smutkiem. - Miał pan rację. On jest złem.

Podśluchałam, że chce panu uciąć głowę... gdy wróci. - Wzdrygnęła się. - Bez względu na to, co pan zrobił, nie pozwolę, żeby pana tak skrzywdził.

Wiedział, że zagraża mu śmierć. Co innego mogło go spotkać, skoro został uwięziony. Cokolwiek jego brat zamierzał, z pewnością nie pozostawi niczego bez ostatecznych rozwiązań. Choć narastała w nim wściekłość, pragnął wyjaśnić pewne kwestie. Musi się dowiedzieć, dlaczego znalazł się tutaj na łasce i niełasce jedynej bliskiej mu, gdy brać pod uwagę pokrewieństwo, osoby. Co się stało? Skąd ta nagła żądza krwi? I to po tylu latach

przerwy w kontaktach... Musiał mieć jakiś konkretny plan.

Powinien już dawno zwrócić się do odpowiednich władz i wydać go. Jeszcze jako dziecko obiecał matce, że będzie opiekował się bratem. Już wtedy wiedziała, że ze starszym synem dzieje się coś złego. Popełnił błąd, dotrzymując tej obietnicy. Odwracał głowę od tego, co się działo, i już tylko to było przestępstwem.

Jeśli tylko zdoła ocalić głowę, załatwi tę sprawę raz na zawsze.

- Cóż takiego się stało, że zostałem uwięziony i grozi mi śmierć?

Juanita stała w progu, jakby gotowa do natychmiastowej ucieczki. Wciąż nie patrzyła mu w oczy.

- *Senor*, nie ma potrzeby rozmawiania o przeszłości, chyba tylko po to, by modlić się o zlitowanie nad pańską duszą.

Trzęsącą ręką oparła się o drzwi, by w razie potrzeby zatrzaskać je. Czy zanim to zrobi, odpowie na jedno proste pytanie?

- Musimy o tym porozmawiać, Juanito, bo nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. - Wiedział tylko tyle, że brat oszalał, na co wskazywały jego złowrogie czyny. Zarazem, mając nadzieję na poznanie prawdy, poczuł błogosławiony przypływ adrenaliny. - Powiedz mi, co takiego zrobiłem, żeby sobie na to zasłużyć.

Jej długie milczenie sprawiło, że zaczął wątpić, czy Juanita w ogóle jeszcze się odezwie. W końcu powiedziała ledwie słyszalnie:

39

- Pan ich zabił, *senor*. Wszystkich. - Przełknęła ślinę. - Myślałam, że pański brat uwięził pana dla pana ochrony, by uspokoić władze, ale dowiedziałam się, że tak naprawdę zamierza pana zabić. Nie mogę na to pozwolić. Pańska *mądre* nie życzyłaby sobie, bym pozwoliła na coś takiego, bez względu na zbrodnię.

To było pozbawione sensu. Na Boga, przecież nie zrobił nic złego, o morderstwie już nie wspominając!

- Kogo niby zabiłem, Juanito?

- Misjonarzy. - Przeżegnała się. - Zabił pan ich wszystkich.

Od tej wieści aż mu się zakręciło w głowie.

- Jesteś pewna? Oni nie żyją? Cała piątka?

- wydusił po chwili.

- Tak... Władze twierdzą, że mordercami byli rebelianci. Pański brat dopilnował, żeby pańskie nazwisko nie wypłynęło w tej sprawie i wreszcie wszystko przycichło. Ale teraz chce pana zabić, żeby znowu nie zrobił pan tego samego. - W końcu podniosła oczy i spojrzała mu w twarz. - Znam pana od małego chłopca. Nie mogę patrzeć, jak będzie pan umierał z ręki brata. Przebaczenie nie ma tu żadnego znaczenia, tak po prostu nie może być.

- Więc co można na to poradzić, Juanito?

- Chciał ją nakłonić do działania. Znała go od dziecka, powinna go wesprzeć, a nie było czasu do stracenia. Musiał jednak postępować spokojnie, by jej nie przestraszyć. Poza tym, gdyby odkryto,

40

że Juanita pomogła mu uciec, zanim brat zostanie unieszkodliwiony, zapłaciłaby za to bardzo wysoką cenę.

- Musi pan uciekać do swojego domu na północy, *señor*. Musi pan uciekać natychmiast. Eduardo usłyszał, że pana brat już tu wraca. On nie pojedzie za panem na północ, dobrze pan o tym wie. Nie wolno panu już nigdy pojawić się w Meksyku. Nikt nie powinien już umrzeć z ręki Reye-sów. Boję się, że Bóg nam tego wszystkiego nigdy nie wybaczy.

Nikogo nie zabił, ale miała rację: nikt już nie powinien zginąć z ręki Reyesów.

- A niby jak mam wrócić do Stanów, Juanito? Przecież nie mam żadnych dokumentów. Ani pieniędzy.

- Eduardo wie, jak to zrobić. Czeka samolot pańskiego brata. Musi się pan śpieszyć. Mam dla pana ubranie.

- A co zrobicie, gdy mój brat dowie się, że zniknąłem? - Eduardo i Juanita byli małżeństwem. Zaiste, zdecydowali się na wielkie ryzyko.

- Nie ma czasu, żeby o tym rozmawiać - oznajmiła stanowczo. - Musi pan uciekać.

Wstał powoli. Choć tak dobrze go znała, drgnęła przestraszona, gdy postąpił w jej kierunku.

Zakłuło go w piersiach, gdy pomyślał, że ktoś mógłby uważać go za mordercę. Zawdzięczał to swojemu bratu. Zrobił to, by móc dalej zabijać.

- Juanito - odezwał się miękim głosem. - Uwierz mi, nikogo nie zabiłem. Jeśli misjona-

41

rze... - głos uwiązł mu w gardle - nie żyją, to znaczy, że mój brat albo jego ludzie ich zabili. Dobrze wiesz, że nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

Tych pięciu ludzi, wolontariuszy z Basilica de Guadalupe na północ od Mexico City, pracowało z nim w małej wiosce na południu, zniszczonej przez tegoroczne powodzie. Odbudowali wiele domów, ale mnóstwo zostało jeszcze do zrobienia. A teraz okazało się, że ci ludzie nie żyją... Co, na Boga, jego brat chciał w ten sposób wszem i wobec udowodnić?

- Też myślę, że pan nie mógł tego zrobić - przyznała Juanita. - Ale ja nie znam prawdy, *señor*. Musi pan uciekać. Jeśli ma pan czyste sumienie, to będzie pan żył w pokoju.

Gdyby było to takie łatwe...

- Rozumiem.

Jego brat potrafił być czarujący i przekonujący, gdy tylko miał na to ochotę. Nikt nie chciał wierzyć w bezmiar jego deprawacji.

- Musisz się pośpieszyć, mój synciu.

- Dziękuję, Juanito.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Wiele lat minęło od czasów, gdy tak serdecznie zwracała się do niego. Jeśli uda im się przeżyć, to dopilnuje, by jej pomoc została odpowiednio nagrodzona. Z garstki ludzi, którzy wiedzieli o jego nikczemnym uwięzieniu, tylko ona i jej mąż na to się odważyli. Ci, którzy odwrócili się tyłem, też nie zostaną zapomniani.

42

Wyszli na zewnątrz. Był podniecony myślą, że wreszcie opuścił więzienie. Musieli jednak zachować maksymalną ostrożność. Jeśli ich złapią, Juanita umrze. On pewnie przeżyje, bo nikt nie odważy się go zabić ze strachu przed jego bratem. Chyba że instrukcje zostały już wydane. Tak czy inaczej, nie miał nic do stracenia. Znow zakłuło go serce, gdy pomyślał o zamordowanych misjonarzach, którzy nie zrobili nic złego, przeciwnie, pomagali ubogim.

Tym razem brat za to zapłaci.

Aż gotował się ze wściekłości. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że potrafiłby zrobić to, co należało zrobić, i zapomnieć raz na zawsze o przed laty złożonej obietnicy.

Nadszedł czas na zakończenie rządów terroru jego brata.

ROZDZIAŁ TRZECI

Key Largo, Floryda Czas nieznany

Renee przebudziła się raptownie. Czuła się, jakby była pijana, co bardzo ją zdziwiło. Przełknęła ślinę, zwilżyła językiem wargi. W suchych ustach czuła gorzki smak. Zaczęła łapczywie oddychać, by oczyścić płuca.

Gdzie, do cholery, była?

Gdy przekręciła się na bok, spostrzegła, że leży na kamiennej posadzce wyłożonej płytkami. Zadrżała z zimna. Usiadła i rozejrzała się po pokoju. Choć w rogu świeciła się lampka, w pomieszczeniu było ciemno.

Brazowa sofa, dwa fotele z obiciami w paski i dębowy stolik do kawy z lampką. Męski salonik? Nie było jednak telewizora, konsoli do gier ani stolika do pokera. Żadnych okien, tylko jedne drzwi.

Z jej pamięci wynurzył się obraz mężczyzny celującego do Paula Reyesa.

Zerwała się na równe nogi i ruszyła do drzwi. Naparła na nie barkiem i przekręciła gałkę.

Były zamknięte na klucz.

Rozejrzała się dookoła, potem osunęła po ścianie na podłogę. Narkotyki, którym ją uspili, nadal działał. Trudno jej było utrzymać równowagę, miała problemy z koncentracją. Uznała, że musi się ruszać, by szybciej spalić truciznę. Zaczęła chodzić dookoła pokoju, na początku powoli, później szybciej. Poczowała pragnienie. Jak na ironię, tuż za ścianą był brzeg oceanu.

Najwyraźniej jeden z mężczyzn zajął się Paulem Reyesem, a drugi zamknął ją tutaj. Czy zabili Paula? Czy to byli ludzie Victora? A może on też tu się pojawił?

Postanowiła jak najszybciej wydostać się na zewnątrz.

Im dłużej chodziła, tym jej myśli stawały się bardziej przejrzyste. Nie miała jednak pojęcia, ile czasu tkwiła pod kluczem. Pewnie znajdowała się w piwnicy, bo nie było tu żadnych okien. Podeszła do drzwi i usiłowała je wyważyć kopniakiem, potem zaatakowała barkiem, jednak nie ustąpiły. Stała przy bocznej ścianie. Była gładka i pomalowana, na pewno nie z betonu czy kamienia. To dobrze wróżyło. Przypuszczała, że została zbudowana z płyt gipsowo-kartonowych o grubości jedenastu milimetrów na stalowym lub drewnianym stelażu, którego pionowe belki były rozstawione na odległość co najmniej trzydziestu centymetrów. Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Potrzebowała więcej światła. Podłączyła lampę bliżej, zdjęła z niej abażur i oświetliła ścianę. Szu-

45

kała drobnych rys i wgłębień oznaczających krawędzie płyty i miejsca, gdzie została przykręcona do konstrukcji. Uśmiechnęła się, gdy wreszcie znalazła. Postukała, by upewnić się, że jest to na pewno przestrzeń między stelażem ścianki.

Z całej siły kopnęła w ścianę około czterdziestu centymetrów nad podłogą. Jeśli ktoś był w pobliżu, na pewno ją usłyszy i przybiegnie. Powtórzyła kopnięcia. Lekkie uginanie się płyty upewniło ją, że ściana faktycznie była zbudowana z płyt gipsowo-kartonowych i że dobrze wybrała miejsce między konstrukcją stelaża.

Zaczęła ją boleć noga, więc zaczęła kopać drugą. Walała z całych sił, aż wreszcie uzyskała to, czego oczekiwała - dziurę w płycie. Zanurzyła w niej palce i zaczęła odrywać kawałek po kawałku.

Dostrzegła stalowe słupki konstrukcji, a także zewnętrzną płytę, przykręconą do stelaża z drugiej strony. Najpewniej była to jedyna bariera do pokonania na drodze do wolności.

Całe szczęście, że nikt się nie pojawił.

Rozwalenie drugiej ścianki poszło jej znacznie szybciej. Ćwiczenie czyni mistrza, pomyślała z niejaką ironią. Po kilku minutach zrobiła w ścianie dziurę o wymiarach mniej więcej metr na pięćdziesiąt centymetrów. Ostrożnie przekroczyła przeciągnięty w ścianie przewód elektryczny i przecisnęła się między stelażem.

Wreszcie doceniła wydarzenie z przeszłości, gdy brat, będąc w jej salonie, uderzył pięścią w ścianę i wybił dziurę. Gdyby tego nie zrobił,

nigdy by nie wiedziała, jak łatwo można rozwalić ścianę działową. Przynajmniej na coś przydał mi się braciszek, pomyślała zgryźliwie.

Po drugiej stronie ściany trafiła na wąskie pomieszczenie. Musiał to być korytarz. Ruszyła wzdłuż ściany i natrafiła na drzwi. Otworzyła je i zapaliła światło. To była sypialnia. Na stoliczku nocnym stał telefon. Niestety, bez sygnału. Wyszła na korytarz.

Po chwili dotarła do ślepej ściany, zawróciła więc i najpierw trafiła na składnicę niepotrzebnych mebli i kartonów ze starymi ubraniami, a potem do sypialni, w której telefon też był głuchy.

Na końcu korytarza znajdowały się schody. Re-nee kilka razy odetchnęła głęboko i ruszyła do góry. Znalazła się na głównym poziomie domu. Prąd był, ale telefony milczały. Niebo było bezchmurne, więc to nie wina przyrody, a raczej dwóch napastników, którzy zamknęli ją w piwnicy.

Choć nikt nie przybiegł, gdy z hałasem rozwalala ścianę, nie oznaczało to jeszcze, że nikogo nie było w domu. Ostrożnie weszła do kuchni. Stalowe rolety antyhuraganowe były nadal opuszczone, więc okna odpadały jako droga ucieczki z domu. Nie znając kodu dezaktywującego system alarmowy, nie miała szansy ich podnieść.

Penetrowała parter dzięki światłu z pozapalanych lamp rozmieszczonych w różnych miejscach. Serce mocno biło jej ze strachu. Sprawdzała pokój po pokoju, podnosząc słuchawki telefonów i szu-

47

kając czegoś przydatnego do ucieczki. Komputer na biurku był zniszczony, nie nadawał się do użytku. Renee znalazła swoją torebkę na podłodze koło drzwi. Niestety, pistolet i komórka zniknęły. Zabrali nawet kaburę na kostkę.

Drzwi frontowe były nadal zamknięte. Przyjrzała się centralce alarmu. Czerwone światełka sygnalizowały, że system był włączony. Gdyby udało się jej otworzyć drzwi, to sygnał ściągnąłby tu policję. To był niezły pomysł, zresztą niewiele miała do stracenia. Utrzymywanie fałszywej tożsamości też nie miało już sensu, skoro Paul Reyes zniknął albo... został zamordowany.

Zaczęła szarpać się z drzwiami... i nic. Jeszcze raz przekręciła pokrętło wbudowane w gałkę. Tym razem zasuwka przesunęła się, a gałka przekręciła, lecz drzwi nie poddały się.

Trochę spanikowała. Wytarła spocone palce o spodnie i znów spróbowała. Spojrzała na zasuwę. Nic dziwnego, że drzwi się nie otworzyły. Zapomniała ją przesunąć.

Czyżby narkotyki nadal otępiły jej umysł? Cóż, widocznie tak. Zaraz jednak spostrzegła, że do przesunięcia zasuwki potrzebny jest specjalny klucz, bo inaczej blokada nie puści.

- Cholera!

Nie panikuj, uspokajała się. Znajdź inne drzwi.

Cofnęła się do schodów. A dlaczego ci łajdacy w ogóle ją tu zostawili? Dlaczego jej nie zabili? Gdzie był Paul? Jeśli nie żył, to gdzie jest jego ciało?

Serce znowu zaczęło jej mocniej bić. Czy to Victor uprowadził swojego brata, żeby się z nią nie kontaktował? Czy mógł wiedzieć, że ona tu właśnie była? Nie, to przecież niemożliwe.

Zawahała się u podnóża schodów. Zanim zacznie cokolwiek innego robić, musiała się upewnić, że Paula nie było na piętrze. Spojrzała na piękne schody. Czyżby ciągnęli po nich Paula na górę, żeby go tam zabić? To takie absurdalne... Ale przecież morderstwa zazwyczaj są pozbawione sensu.

Nie znalazła Paula w piwnicy ani na parterze. Jeśli na piętrze też go nie było, to przynajmniej upewni się, że został uprowadzony z domu. Żywy lub martwy.

Ruszyła na górę, uważnie nad słuchując. Na piętrze korytarz biegł w dwie strony. Ściany były pokryte drewnianymi panelami błyszczącymi jak podgrzany miód. Na podłodze leżała wykładzina dywanowa tłumiąca kroki. Najpierw ruszyła w prawo. Spenetrowała trzy sypialnie z łazienkami. Były puste, żadnego ciała, niczego, co mogłoby służyć za broń.

Na drugim końcu korytarza były tylko jedne podwójne drzwi. Wiodły do apartamentu właściciela, jak domyśliła się Renee. Otworzyła drzwi i zapaliła sufitowe światło. Rozświeciły się dwa piękne żyrandole. Na ścianach identyczne panele jak na korytarzu. Ściana przy drzwiach była zastawiona półkami bibliotecznymi po sam sufit, wypełnionymi książkami i bibelotami. Po przeciwnej stronie

stało wielkie, małżeńskie łóżko. Okna ozdobione były pięknymi, atlasowymi zasłonami. Nigdzie kiwi ani zwłok. Telefon był oczywiście głuchy.

Z sypialni wchodziło się do obszernej garderoby, w której dostrzegła wytworne garnitury, sejf ścienny, wiele eleganckich par butów, biżuterię. Mieszkaniec tego domu mógłby zaopatrzyć kilka salonów mody męskiej.

Aż za wielka ta garderoba jak na pustelnika, pomyślała Renee.

Łazienka przylegająca do sypialni spełniała wszystkie warunki określenia „luksusowa”.

Nigdzie działającego telefonu, żadnego ciała. Nic nie zostało zabrane.

O co w tym wszystkim, do licha ciężkiego, chodziło?

Idąc do wyjścia z sypialni, zobaczyła na ścianie coś, co wyglądało na obraz, a było wielkim, oprawionym w ramy telewizorem plazmowym. Włączyła go pilotem, żeby sprawdzić, czy działa, i ewentualnie dowiedzieć się, czy nie wydarzyło się coś, co usprawiedliwiałoby choć po części to, co się tu stało. Telewizor nastawiony był na kanał informacyjny. Raport o pogodzie ukazujący się na przesuwającym się u dołu ekranu pasku nie wspominał o żadnych burzach. Już miała wyłączyć telewizor, gdy na pilocie dostrzegła guzik z napisem: „System ochrony”. Przycisnęła go. Ekran natychmiast podzielił się na wiele sektorów z podglądem różnych części rezydencji. Frontowe i tylne drzwi, wjazd do garażu, podjazd, a także panorama posiadłości.

50

Na zewnątrz było ciemno. Czas na ekranie wskazywał pierwszą piętnaście w nocy. Była tu już bardzo długo. Jej samochód i maserati stały zaparkowane w tym samym miejscu co wcześniej.

To wszystko było totalnie pokręcone.

Rzuciła pilota na łóżko i odwróciła się, żeby wyjść, ale stanęła jak wryta.

Jej wzrok skrzyżował się z ciemnymi oczami... oczami, które już wcześniej widziała.

Czy to był Paul?

Przyglądała się tej smutnej twarzy... i zauważyła jednodniowy zarost. Nie widziała wcześniej tego zarostu.

Mężczyzna nie miał na sobie tego samego ubrania, które nosił, gdy ją przyjął. Czy to był Victor?

Serce waliło jej jak młot. Nie wiedziała, kim był przybysz. Miała ochotę rzucić się do ucieczki, ale zanim to uczyniła, mężczyzna przemówił.

- Kim pani jest?

- Hm... co! - Renee zamrugła. Zdziwienie przesłoniło strach.

- Skąd się tu pani wzięła? - dopytywał się tak dobrze jej znanym atłasowym głosem.

Czy to mógł być ten sam mężczyzna?

- Jestem...

Podniósł rękę, by uciszyć Renee. Jego wzrok skoncentrował się na monitorze telewizora.

Odwróciła głowę. Z przerażenia nie mogła złapać oddechu.

Zobaczyła mężczyzn ubranych w czarne bojowe

51

ubrania, uzbrojonych po zęby, rozbiegających się po całej posesji. Czy to mogła być policja? Dwóch mężczyzn przed frontowymi drzwiami przygotowywało się do wywarzenia drzwi potężnym taranem. Na jej ramieniu zacisnęła się dłoń.

- Jeśli chcesz żyć, rób to, co ci każę - powiedział ostrym tonem. Jego palce ścisnęły mocniej z każdym wypowiedzianym słowem.

- To policja - blefowała w panice. - Zadzwońłam po nich.

- To nie jest policja. - Zacisnął palce jeszcze mocniej. - Do nikogo pani nie dzwoniła.

Zresztą to nie miało znaczenia, czy to był Paul, czy Victor. Każdy z nich oznaczał kłopoty. Podniosła brodę, by opanować strach.

- Przyjechali mnie szukać. I może jest to ryzyko, które powinien pan ponieść. - Znowu blef, ale mógł zadziałać.

Obliczając siłę jego uścisku i odległość od drzwi, zastanawiała się, jak daleko uda się jej uciec, zanim ją złapie.

- Ci ludzie nie przyjechali na ratunek - oświadczył stanowczym głosem. - Albo pani pójdzie ze mną, albo oboje zginiemy.

Rzuciła okiem na monitor. Słyszała walenie tarana w drzwi i jednocześnie obserwowała działania mężczyzn na zewnątrz. Brakowało sekundy, by wdarli się do środka. Wyglądali jak jednostka antyterrorystyczna. Czy mogła zaufać temu facetowi? Odwróciła się do niego. Nadal ścisnął mocno jej

rękę. Jeśli to właśnie był Paul Reyes, to potrzebowała go, by dotrzeć do Victora. Jeśli to był Victor, to zakończyła swoją misję. Wystarczyło tylko przetrwać obecne zagrożenie i dać znać Gatesowi, by dokończył dzieła.

Teraz jednak najlepszym wyjściem było podporządkować się temu mężczyźnie. Musiała pozostać przy nim - przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

- Dokąd idziemy?

- Tędy.

Pociągnął ją w drugi kąt sypialni, do półek wypełnionych książkami. Pomanipulował przy nich i część segmentu otwarła się. Mężczyzna pociągnął ją do środka. Segment zamknął się za nimi z cichym kliknięciem.

Wewnątrz pokoju światło było przyciemnione, ale całkiem dobrze widziała. Pod jedną ze ścian stało łóżko polowe. Półki były wypełnione butelkami z wodą i puszkowaną żywnością. Do życia przebudziły się trzy niewielkie monitory przekazujące obraz z domu i z posesji.

- Co to za pokój? - szepnęła.

- Nie musi pani szeptać. Ten pokój jest wyciszony.

Tak zwany bezpieczny pokój, domyśliła się. Słyszała o takich rozwiązaniach. Najpewniej znajdował się tu sprawny telefon podłączony do osobnej linii, podobnie jak zasilanie w prąd. O to właśnie chodziło w takim pokoju. Można się tu było bezpiecznie schować i nic, co działo się na ze-

53

wnętrz, nie miało wpływu na ukrytych tu ludzi. Rozejrzała się dyskretnie. Aparat telefoniczny był zapewne schowany za zapasami żywności albo został wbudowany w system monitorowania posesji. Ruch na ekranie przykuł jej uwagę. Kilkunastu mężczyzn penetrowało dom. Wewnątrz bezpiecznego pokoju nie słyszała odgłosów ich ciężkich czarnych butów. Kim byli?

Jeden z mężczyzn na monitorze numer dwa jakby usłyszał jej pytanie, bo odwrócił się tyłem do kamery. Na jego plecach dostrzegła trzy wielkie, białe litery:

DEA

Agencja Antynarkotykowa.

Adrenalina napłynęła jej do żył. Jednym z nich mógł być Gates. Renee zaryzykowała spojrzenie na mężczyznę. Jeśli to Victor Reyes, to właśnie zakończyła swoje zadanie.

On zaś powtórzył pytanie, którym ją powitał:

- Kim pani jest?

- To pan nie wie? - Czy to mógł być Paul Reyes? Przecież poznała go i rozmawiała z nim o umowie z galerią. Tamten Paul był uprzejmy, nieziemsko czarujący i pewny siebie, spokojny, aczkolwiek zdecydowany. Ten mężczyzna był skołatany, niepewny siebie, nawet dość ostry w obejściu. Jego szczupła sylwetka była świetnie umięśniona... ale dłonie nie były tak gładkie i miękkie jak tamtego. Przyjrzała się mu bliżej. Zarost na twarzy nie był jednodniowy, ale trzy- albo nawet czterodniowy.

- A kim pan jest? - Uspokoila emocje i nerwy. Gdyby chcial ją zabic, zrobilby to dawno. Była prawie pewna, że nie miał przy sobie broni. Zakłopotanie na jego twarzy dawało jej do myślenia.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie - zażądał szorstko.

- Renee Parsons - skłamała, trzymając się fałszywej tożsamości. - Reprezentuję galerię z Los Angeles. Przyjechałam, by zaproponować współpracę z galerią i omówić warunki. Chcemy wystawiać u nas obrazy Paula Reyesa. Co tu się, do licha, dzieje? Kim pan jest?

Milczał przez dłuższą chwilę.

Czyżby to był Victor Reyes? Jeśli tak, to nic o niej nie wiedział. To dobrze, pomyślała. Więc nie zjawił się tu z jej powodu. Zresztą nawet gdyby znał jej prawdziwą tożsamość i treść zadania, które otrzymała w agencji, przyjazd tutaj nie miał sensu. Przecież postawienie nogi na amerykańskiej ziemi oznaczało dla Victora wyrok śmierci. Zabicie policjanta gwarantowało najwyższy wymiar kary. Z pewnością był świadom ryzyka. Dobrze, załóżmy, że zaryzykował. Dlaczego więc nie zrobił tego, po co tu przyjechał? Czemu ma służyć ta cała gra?

I wreszcie ostatnie pytanie: jeśli to był Victor, to gdzie był Paul?

Wstrzymała oddech, gdy na ekranie zobaczyła dwóch mężczyzn wchodzących do sypialni właściciela. Wszelkie instynkty kazały jej wołać o pomoc, a może nawet zacząć walić w ścianę odgra-

dzającą bezpieczny pokój od sypialni. Ale ten pokój był dźwiękoszczelny. Jeśli zaczną walczyć i nie nie wskóra, to tylko wkurzy tego faceta. Wystarczyło już jej, że jest z nim zamknięta w małym pomieszczeniu. Nie chciała go już niczym denerwować.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał mężczyzna.

Naprawdę się zdziwiła. Nic nie rozumiał?

- To jest nas dwoje - oznajmiła.

Z pewnością pogrywał wobec niej. Bez względu na to, do czego dążył, musiała mieć się na baczności, by nie napytać sobie jeszcze gorszej biedy. Cóż, jej sytuacja i tak była nie do pozazdroszczenia.

Intruzi zaczęli metodycznie przetrząsać cały dom. Czego szukali? Dwójka, która spenetrowała sypialnię, przeszła do sąsiednich pokoi.

Renee spojrzała na gospodarza czy też porywacza.

- Co się stanie, jeśli nas znajdą? Boi się pan czegoś?

Przez chwilę patrzył z uwagą na monitory.

- Nie znajdą nas. Ten pokój jest niewykrywalny. Renee również skupiła wzrok na monitorach.

- Nie chciałabym być panem, jeśli prawda jest inna.

Zapadła cisza. Renee złożyła ręce na piersiach, udając, że niezbyt przejmuje się wydarzeniami. Wciąż zachodziła w głowę, czy ten facet jest towarzyszem niedoli, czy też oprawcą, ale jedyne, co mogła zrobić, to ukrywać przed nim przerażenie.

56

On zaś bez słowa wziął z półki dwie butelki wody i jedną wręczył Renee. W pierwszym odruchu chciała odmówić, lecz byłoby to głupotą. Bardzo chciało się jej pić.

Przez następne minuty oglądał na ekranach, jak jego dom jest obracany w perzynę, jednak nie komentował tego, nawet nie syknął ze złością.

Jej ciekawość sięgnęła zenitu.

- Gdzie jest Paul? - zapytała, przerywając ciszę. Przecież ci faceci, nawet jeśli nie znajdą tego, czego szukają, to i tak w końcu opuszczą dom, a ona nadal będzie zdana na tego człowieka.

- Mój brat był w tym domu z panią? Znowu migał się od odpowiedzi na pytanie.

- Tak, pana brat był tu ze mną. Inaczej jak bym się tu dostała? Rozmawialiśmy o umowie z galerią, gdy nagle wpadli jacyś ludzie. Zbiry, goryle, każda nazwa pasuje. Mnie zamknęli w piwnicy, a pana brat, jak widać, zniknął. Pewnie go uprowadzili. - Lub zabili, dodała w myślach.

Myślał przez chwilę intensywnie, wreszcie spytał:

- Jak wyglądali ci mężczyźni?

Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Jeśli ten facet nie był tym, z którym spotkała się poprzedniego dnia, a najwyraźniej taka była prawda, to miała do czynienia z Victorem. W porządku, dlaczego jednak Victor zadawał takie właśnie pytania? I po co w ogóle tutaj przyjeżdżał? Mógł mieć tylko jeden powód, a mianowicie dowiedział się o jej tajnym zadaniu. Lecz jak to możliwe? Wy-

kluczyła przeciek, do tego zjawiała się tutaj zaledwie godzinę przed całym zamieszaniami. Ktoś, kto ukrywa się w Meksyku, nie miał szans dotrzeć tu tak szybko.

- Byli potężnie zbudowani. Ubrani na czarno.

- Skinęła głową na monitory. - Ale nie tak jak ci. To nie były mundury, tylko zwykłe ubrania.

- Czy mój brat ich znał?

- Kazał mi uciekać. Jeden z nich przyłożył mu pistolet do głowy. Jeśli nawet ich znał, to niezbyt się lubili.

- Jasne... - Podszedł do monitorów, uważnie przyglądał się temu, co dzieje się na zewnątrz.

- Coś jest nie tak - mruknął.

Nie ufała mu. Udawał głupiego, jakby nie widział sensu w całym tym zamieszaniu. Jednak nie przekona jej, że jest Paulem Reyesem. Nie z nią takie numery.

- Paul Reyes to ja. Ja nim jestem, a to jest mój dom. Człowiek, którego pani wczoraj tu zastała, musiał być moim bratem Victorem. Ci mężczyźni

- spojrzeli na monitory - szukają jego.

- Mógłby pan jakoś mnie o tym przekonać?

- rzuciła twardo. Nie miała najmniejszych podstaw, żeby mu wierzyć. On w coś grał, a ona nie zamierzała tańczyć do jego melodii. - Widziałam prace Paula, rozmawiałam z właścicielką galerii, w której się wystawia. Entuzjastycznie mówiła o ostatnim pokazie dzieł Paula. Ona...

- Mallory Rogers? - przerwał jej. - Pani Rogers

ma wyrobiony gust, to prawda, ale nigdy się z nią nie spotkałem.

Renee poczuła, jak zwiężają się jej oczy ze zdziwienia, ale sarkastyczną odpowiedź „Ach tak, to bardzo ciekawe...” zatrzymała dla siebie.

- Pani Rogers bardzo dobrze zna Paula.

Tak naprawdę Renee odniosła wrażenie, że łączy ich coś więcej, nie tylko sztuka. Pokręcił głową.

- To niemożliwe. Nigdy się z sobą nie spotkaliśmy.

To dziwne. Jego głos brzmiał szczerze, a jednak musiał kłamać. Nie mówił prawdy. Owszem, wyglądali jak bliźniacy, lecz poprzedniego dnia spotkała się nie z tym facetem, dałaby za to głowę.

Koszula, w którą był ubrany, była wyblakła i znoszona, ze zwykłej bawełny. Miał na sobie wytarte dżinsy i stare adidas. Czarne włosy były rozczochrane i przydługie. To nie mógł być Paul Reyes, dystygowany artysta malarz mieszkający w ekstrawaganckiej rezydencji.

- Dlaczego pana brat miałby udawać, że jest panem?

Renee starała się mieć otwarty umysł, ale przede wszystkim potrzebowała faktów. Jeśli mężczyzna, który podał się wcześniej za Paula, faktycznie był Victorem, to jakie miał ku temu powody? Po co bezlitosny baron narkotykowy przyjechał do Key Largo i udawał kogoś innego? Victor Reyes zabijał każdego, kto stanął mu na drodze, a nie bawił się w jakieś przebieranki. Renee uważała, że jeśli mę-

59

żczyzna, z którym wczoraj rozmawiała, był Vic-torem i chciałby ją zabić, po prostu już by nie żyła. Nie mówiąc o tym, że tyle musiał ryzykować, by tu przyjechać. Jaki byłby ostateczny cel takiego działania? Musiał mieć jakieś bardzo poważne powody, żeby się tu pojawić. Przecież doskonale wiedział, że ściga go DEA.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- Od wielu lat nie spotykałem się ani nie rozmawiałem z bratem.
- Pana brat nie pochwała pańskich interesów?
- Bezczelnie zasugerowała odpowiedź, zdając sobie sprawę, że może doprowadzić go do wściekłości, ale była gotowa stawić temu czoło. Każdy dobry prokurator wiedział, jak prowadzić świadka w zeznaniach. Ktoś tu ją okłamał, jeden z tych dwóch mężczyzn. Gdyby nie różnica w zaroście, pomyślałaby, że to ten sam człowiek.

Jego wzrok był nadal skupiony na monitorach.

- Mój brat nie rozumie, czy też nie chce zrozumieć, że kocham mój naród - spojrzał na nią
- i swoją pracę.
- Aha... - Musiała przyznać, że facet dobrze przygotował się do wyjaśnień i ciągnął tę historyjkę bezbłędnie.
- Nie mam pojęcia, dlaczego miałby panią oszukiwać, wykorzystując cudzą tożsamość. Moją... - Po jego twarzy przemknął ból. - Dlaczego wczuł się w moje życie, czy raczej je odgrywał. Ale jestem absolutnie przekonany, że nie robił tego dla niczyjego dobra.

Czyli próbował jej wmówić, że mężczyzna, z którym spotkała się wczoraj, ukradł mu tożsamość. Choć z drugiej strony ten pomysł wcale nie był niedorzeczny. Jednak Renee potrzebowała jakiegoś konkretnego, a nie tylko słownych deklaracji.

- Czy może pan udowodnić, że to pan jest Paulem Reyesem? - Oczywiście wiedziała, że nie byłaby w stanie ich rozróżnić, bo ani Paul, ani Victor nie byli nigdy aresztowani, więc policja nie miała ich odcisków palców. A niech to licho! Dlaczego nikt wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Przyjechała tutaj, zakładając, że mężczyzna mieszkający w rezydencji to Paul Reyes. I o ile choć jeden z braci nie miał żadnych znaków szczególnych, to identyfikacja po prostu nie będzie możliwa. A była pewna, że w aktach nie było żadnej wzmianki o znakach szczególnych.

Z drugiej strony Agencja Antynarkotykowa DEA poszukiwała Victora, który z pewnością nie był na tyle głupi, by wierzyć, że nikt go nie rozpozna i nie zauważy, że zajął miejsce brata. Do diabła, po co to było Victorowi Reyesowi?

- W tej chwili nie potrafię niczego udowodnić. I tu leżał pies pogrzebany.
- Dlaczego więc mam panu wierzyć? Spojrzał jej w oczy.
- Dla tego samego powodu, dla którego ja wierzę, że nazywa się pani Renee Parsons.
- No tak - mruknęła. Czyżby oboje byli siebie warci? Para oszustów?

61

- Powiedziała pani, że tak się właśnie nazywa, i nie mam powodu, żeby pani nie wierzyć.
- Ale ja mam powód, żeby myśleć o panu inaczej. Bo ja już poznałam Paula Reyesa. Dlaczego tamten mężczyzna miałby kłamać?

Wpatrywał się w nią intensywnie, ale wytrzymała tę próbę.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Proszę mi jednak wierzyć, że cokolwiek Victor planuje, musi zostać powstrzymany.

To wszystko wyglądało na jedną wielką mistyfikację. W porządku, to jak najbardziej możliwe. Nie splot okoliczności, ale jakaś piętrowa mistyfikacja, w której i ona miała swój udział. Tyle że czuła się tak, jakby znalazła się w krainie chaosu, a wiedziała z doświadczenia, że ludzie tacy jak Victor Reyes nie działali na zasadzie „a może się uda”. Oni planowali. Manipulowali. Wygrywali. W ich poczynaniach nie było miejsca na niedoróbki.

A tu proszę, chaos.

- Jeśli mężczyzna, którego poznałam wczoraj, był Victorem, i jeśli z jakiegoś powodu podszył się pod pana tu, na Florydzie, to gdzie pan był w tym czasie? Nic pan nie wiedział o jego działaniach? -

Uśmiechnęła się w duchu. Było to pytanie godne pani prokurator.

- Pracowałem w wiosce w Oaxaca.

- Oaxaca?

- To prowincja w południowym Meksyku, gdzie jest bardzo dużo biedy. - Westchnął ze

smutkiem. - Wielu młodych ludzi uciekło do Stanów, by pracować w polu i w winnicach, bo u siebie nie mieliby szansy na jakąkolwiek pracę. W wioskach zostali tylko starcy, kobiety i dzieci. W zeszłym roku powódzie dokonały olbrzymich spustoszeń, wobec których mieszkańcy byli bezradni. Nie mieli znikąd pomocy.

- Pomagał pan odbudować wioskę ze zniszczeń? - Mogła nawet w to uwierzyć, ale jaki to miało związek z tu i teraz?

- Byłem jednym z wielu.

Wyglądał na zmęczonego. Patrzyła na jego dłonie, gdy ciężkim gestem przeczesywał sobie włosy. Ten widok sprawił, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego artysta tak ryzykował, pracując rękami, które służyć powinny subtelnej sztuce. Nie bał się, że może się zranić?

Chwileczkę. Nie była jeszcze gotowa uznać, że to jest właśnie Paul Reyes. Potrzebowała bardziej konkretnego dowodu.

- Więc pan ofiarnie pomagał odbudowywać wioskę, a pana brat w tym czasie ukradł pana życie w Stanach?

Chyba widziała film sensacyjny o takim samym wątku. Nie chodziło nawet o to, że brzmiało to całkiem nierealnie, lecz o to, że właśnie takim wyjaśnieniem ją poczęstował. O Paulu Reyesie wiedziała tylko tyle, że rzadko wyjeżdżał z domu, a już praca w charakterze wolontariusza wśród obcych ludzi nie bardzo pasowała do jego sposobu życia.

63

- Tak.

- I ma pan świadków, którzy mogą potwierdzić, że pan tam był i że jest pan Paulem Reyesem, artystą malarzem?

- Pewnie tak, choć mogą być z tym niejakie trudności. - Mówił spokojnie, bez emocji, co skojarzyło się jej z twarzą pokerzysty: nie wyjawić niczego ponad to, co chce się wyjawić.

- Natomiast ja, słuchając pani, odnoszę dziwne wrażenie, że nie mówi pani jak zawodowy marszand, pani Parsons.

- Skąd pan to może wiedzieć? - odparowała.

- Przecież żadnego pan jeszcze nie spotkał. A może jednak?

Uśmiechnął się. Ten niespodziewany odruch kompletnie zbił ją z tropu. Uniesione usta zupełnie zmieniły wyraz jego twarzy, odprężyło się nawet całe ciało. Zniknęła gdzieś nieprzyjazna oschłość, zastąpiona przez delikatność, która pasowała do niego o wiele bardziej.

- Ma pani rację, pani Parsons. Faktycznie, nie spotkałem jeszcze żadnego marszanda.

- Mam na imię Renee. - Jego pytające spojrzenie sprawiło, że chciała sobie odgryźć język. Może to był za szybki ruch. Mniejsza o to. Ma za zadanie wciągnąć Victora Reyesa w pułapkę. Jeśli ten mężczyzna był Paulem Reyesem, potrzebowała jego współpracy, a jeżeli był Victorem, musiała to jakoś udowodnić. - Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Renee.

- Renee - powtórzył jak papuga.

- Mówi pan, że ktoś z wioski, w której pan pracował, mógłby potwierdzić pańską tożsamość? Już się nie uśmiechał.

- Niektórzy umarli - powiedział ze smutkiem. Znów mógł kłamać.

- Nadal nie rozumiem powodów, dla których pański brat miałby udawać, że jest panem - drażzyła uparcie zgodnie z zasadą, że przesłuchanie to nie towarzyska rozmowa, tylko wyciąganie prawdy. Przyłapanie delikwenta na kłamstwie też ją do niej zbliży.

- Już ci powiedziałem. Nie mam pojęcia. - Znów spojrzał na monitory.

Renee pomyślała, że faktycznie może być taki niechlujny i zmęczony z powodu ciężkiej pracy w wiosce. Akurat w tej kwestii mógł mówić prawdę. Ale cała reszta historii była niejasna, mówiąc delikatnie.

- Go pana sprowadziło z powrotem? Skąd pan usłyszał o posunięciach brata? Jeśli on był w południowym Meksyku, kto poinformował go o pana pracy przy odbudowie wioski?

Nie odwracając głowy od monitorów, odpowiedział:

- Jakiś miesiąc temu pojechałem do mojej rodzinnej wioski, Meridy, żeby znaleźć dodatkowych robotników. Pojmali mnie ludzie mojego brata i więzili aż do wczoraj. Zupełnie nie wiem dlaczego. Z obrazów na monitorach wynikało, że agenci DEA kończą przeszukiwanie domu. Renee pod-

skoczył puls na myśl, że niedługo opuszczą bezpieczny pokój i będzie zdana na łaskę tego mężczyzny, kimkolwiek był. Skupiła na nim wzrok.

- Jak udało się panu uciec?
- Jedna ze służących zrozumiała moją beznadziejną sytuację i złowrogie plany brata, więc zorganizowała ucieczkę. Nie pytałem, skąd taka nagła zmiana. Chciałem po prostu stamtąd uciec.
- Czyli jest tam ktoś, kto może potwierdzić pana tożsamość?
- Jeśli jeszcze żyją, to tak.
- A dlaczego pański brat miałby ich zabić?
- Z tego samego powodu, dla którego zabije i mnie, i każdego, kto stanie na jego drodze.

Ruch na jednym z monitorów zwrócił ich uwagę. Czterech mężczyzn wróciło do głównej sypialni i zaczęło od nowa dokładnie sprawdzać każdy kąt i każdą ścianę pokoju. Jeden z nich skupił się na półkach bibliotecznych.

Reyes spał się.

- Znajdą nas? - zapytała Renee, spoglądając to na niego, to na monitory. Może to nie byłoby takie głupie, pomyślała. Ale musiała najpierw upewnić się, kim był ten mężczyzna. DEA musi poczekać.
- Jeśli nas znajdą, znaczyć to będzie, że mój brat wygrał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chicago

Czwartek, 3 maja, 03:00

Jim z ciężkim westchnieniem przetarł piekące oczy, wybudzając się ze snu. Zasnął przy biurku, czekając na telefon od Vaughn. Jej komórka nie odpowiadała. Kontakt z nią urwał się rankiem poprzedniego dnia. Minęła prawie doba. Coś musiało pójść nie tak.

Słyszając lekkie pukanie, odwrócił głowę do drzwi. Kto, do diabła, mógł się tu dobijać w środku nocy? Przecież dokładnie zamknął obydwa wyjścia z budynku.

- Skoro nie pojawiałeś się w domu, więc odwiedziłam cię w biurze.

Jim uśmiechnął się na widok Tashy, która pobrzękiwała kluczami.

- Co z Jamie? - zapytał.

- Nasza córka śpi u babci.

Tasha, od dwóch lat jego żona, przysiadła na brzegu biurka. Jego spojrzenie prześlizgnęło się od opalonych nóg wystających spod krótkiej czarnej spódniczki aż po przedziałek między piersiami

widoczny przez dekolt czerwonej jak piekielne płomienie bluzki.

- Straciłem poczucie czasu. - Jim kochał tę kobietę nad życie. Dziwne to było uczucie. Nie rozumiał go do momentu, gdy po raz pierwszy wziął na ręce swoją małą córeczkę. Nigdy w życiu nie czuł czegoś podobnego. - Zasnąłem na biurku, dopiero przed chwilą się obudziłem.

- Victoria martwi się o ciebie. - Tasha zrzuciła jeden but na wysokim obcasie, potem drugi i wyciągnęła nogi na biurku.

Matka Jimiego, Victoria Colby-Camp, za bardzo się o niego martwiła, a on, jako młody ojciec, zaczął dobrze rozumieć kwestię prywatnego terytorium i odrębności stada, czyli rodziny.

- Zawsze za bardzo o wszystko się troszczy. - A przecież tyle miała zajęć, pomyślał zgryźliwie, jak choćby budowa nowej siedziby firmy. - Powinna mieć pełne ręce roboty, a tu proszę, martwi się o nas.

- Znasz swoją matkę. - Tasha przesunęła się po biurku na jego stronę, odsuwając teczki z dokumentami i papiery na bok. Usiadła w rozkroku przed nim, spódniczka przesunęła się wyżej. - Nawet gdyby ktoś wysadził w powietrze jej biurowiec, i tak troszczyłaby się o tych, których kocha najbardziej.

- Jasne, jasne... - mruknął Jim, skupiając się na wdziękach żony.

- A tak przy okazji, panie Colby, to ja też się o pana niepokoję. - Zaczęła odpinać guziki bluzki.

68

- Bardzo się zmartwiłam, gdy nie przyszedł pan wieczorem do domu. - Kiedy ostatni guzik opuścił dziurkę, Tasha zsunęła z pleców jedwabną bluzkę, odsłaniając koronkowy czarny biustonosz. - Ale najbardziej... - przyciągnęła stopami jego fotel na kółkach - ...to tęskniłam za moim mężem. Jim nawet nie wyjaśnił, że akurat ma lekarstwo na jej zmartwienia, tylko przystąpił do czynów. Najpierw mocno pocałował ją w usta, a potem wstał, odsunął fotel i położył Taszę na biurku. Mieli czas tylko dla siebie. Przez kilka godzin nikt im nie będzie przeszkadzał. Cały świat musi poczekać, aż skończą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Key Largo, Floryda 04:00

Czterech osiłków rozebrało sypialnię na kawałki, ale najwyraźniej nie znaleźli tego, czego szukali. Mężczyzna podający się za Paula Reyesa odprężył się, gdy ekipy poszukiwawcze z naszywkami DEA, które zdemolowały mu dom, wreszcie poszły sobie.

Zastanawiał się, czy zrobili taki bałagan tylko na pokaz, żeby wyglądało, jakby cały czas toczyło się śledztwo. Ale co to miało wspólnego z nim samym?

W domu od prawie godziny panowała cisza. Jego gość przestał zadawać pytania. Milczenie Re-nee było tak samo irytujące jak jej wcześniejsze przesłuchanie. Siedziała na połowym łożku z rękami założonymi na piersiach, jakby próbowała się przed nim chronić. A przecież nie zagrażał jej w niczym, choć deklarowanie tego teraz byłoby przedwczesne. Cóż, skoro odgradzała się od niego niewidzialnym murem, usiadł na podłodze, opierając się o ścianę. Był zmęczony, ale nie mógł sobie pozwolić na prawdziwy odpoczynek.

70

Nie miał pojęcia, w jaki sposób Renee wpaso-wywała się w ten cały scenariusz, ale na pewno nie zjawiała się tu przypadkowo. Może teraz on powinien ją trochę przepytąć? Na razie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a później może nie być na to czasu. Jeśli była wrogiem i mogła mu zaszkodzić, musiał to wiedzieć. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że Renee działa na zlecenie Vic-tora.

- Od jak dawna mieszkasz w Los Angeles? - Przesłuchanie zaczął od podstaw. Kłamstwo zwykle wychodziło na wierzch przy wyjaśnianiu najprostszych kwestii.

- Od trzech lat.

Odpowiedź została udzielona natychmiast, więc albo była prawdziwa, albo wyuczona.

- Nie straciłaś jednak swojego południowego akcentu. - Był przekonany, że nie mieszkała w Los Angeles od urodzenia. Brakowało w jej akcencie swoistej neutralności typowej dla Zachodniego Wybrzeża. Mówiła jakby bardziej miękko, wolniej... słodko, nawet gdy była zdenerwowana lub przestraszona. Jej akcent był miły dla ucha.

- Staralam się go nie zgubić. Jesteśmy dumni z tego, jak mówimy w Georgii.

Kłamała, przynajmniej trochę, ale jednak kłamała. Te same wskaźniki łgarstwa dostrzegł, gdy mu się przedstawiała. Kłamstwo odbijało się na twarzy: poszerzenie źrenic, spojrzenie w bok, zaciśnięcie ust. Owszem, ledwie to można było dostrzec, była dobrą kłamczuchą, lecz on widział

więcej niż przeciętny człowiek. Znacznie więcej. Nie był pewien, czy zjawiała się tu w związku z planami jego brata, ale z czasem dowie się wszystkiego. Cierpliwość była najlepszym sposobem, by ją rozpracować. To zadanie akurat nie powinno być trudne. Była piękną kobietą o ciemnych włosach i piwnych oczach. Kremowe spodnie i bluzka opinały zgrabne, seksowne kształty. I była agresywna. Agresywna i inteligentna. Stanowiła ekscytującą kombinację. Gdyby tylko spotkali się w innych okolicznościach...

Renee wstała i popatrzyła na niego z uwagą.

- Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego nie chce mnie pan stąd wypuścić? Facetów w czerni już nie ma. Chciałabym już stąd pójść. Nie tak wyobrażałam sobie mój pobyt na Florydzie.

To dziwne, że wyraziła swoją prośbę dopiero teraz, jakby nagle przyszła jej do głowy. A byli już bezpieczni od jakiegoś czasu. Czyżby ułożyła nowy plan działania? Nie ufał jej jeszcze bardziej.

- Istnieje tylko jeden powód.

- Tak?

- Byłaś tutaj z moim bratem. Muszę poznać powód twojej wizyty. Dopóki nie dowiem się, co zamierza Victor, nie spuszczę cię z oka. - Gdy chciała zaprotestować, uciszył ją ruchem dłoni. - Z jakiegoś powodu znalazłaś się w samym centrum tego zamieszania. Muszę się dowiedzieć, dlaczego.

- On nie był uprzedzony o mojej wizycie, w ogóle nikt nie wiedział, że tu się wybieram.

Skorzystałam z informacji uzyskanych z lokalnej galerii, by wpuścić mnie za bramę. - Cóż, niby nie skłamała. Taka wersja dałaby się uwiarygodnić.

- Być może tak było, ale jednak coś się wydarzyło podczas twojej wizyty. Coś, co zbiegło się z moim niespodziewanym uwolnieniem. Nie domyślasz się, w czym rzecz?

Był więziony przez prawie miesiąc. To, jak Juanita wyjaśniła swoją pomoc w ucieczce, nie miało żadnej podstawy logicznej w obecnych okolicznościach. Agenci DEA pojawili się pół godziny po jego przybyciu. To nie mógł być przypadek. Owszem, nie miał doświadczenia w takich sprawach, ale nie był głupcem. Urządzono na niego zasadzkę, szczęśliwie ci ludzie spaprali sprawę.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Spojrzała na monitory, na których nic się nie działo.

Znowu skłamała. Bardzo go to zdenerwowało, a nawet ubodło, choć przecież nie było żadnego powodu, by oczekiwać prawdy od tej kobiety. Ten jego cholerny idealizm... Już dawno powinien był się z niego wyleczyć. Taki jednak się urodził, że oczekiwał od ludzi samego dobra, i jakoś z wiekiem mu nie przechodziło.

- Powinniśmy odpocząć, póki jest na to czas. - Uznał, że na razie nie ma sensu kontynuować rozmowy. Naprawdę był strasznie wyczerpany, co osłabiało koncentrację i przeszkadzało logicznie myśleć. Zarazem jednak miał nadzieję, że Renee wreszcie się zdenerwuje, przez co stanie się bardziej otwarta, coś powie w gniewie, chlapnie...

73

- Nie powinniśmy raczej poszukać pańskiego brata? Może jest ranny i potrzebuje pomocy? Może nawet...

- W całym swoim życiu mój brat nigdy nikogo nie potrzebował - odparł, nie zdoławszy ukryć ogromnej niechęci. - Jeśli nie odpoczniemy, pokona nas samo zmęczenie. - Doskonale wiedział, o czym mówił. Przez ostatnie dni spał zaledwie kilka godzin. Wycieńczenie zacisnęło na nim bezlitosne macki. Ona też była zmęczona. A im dłużej trzymał ją przy sobie, tym bardziej prawdopodobne było, że opadną z niej ochronne zapory. Musiał dowiedzieć się, kim naprawdę jest Renee i dlaczego pojawiła się w jego domu. Nie przejmował się zdrowiem swojego brata. To jemu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo... być może także Renee.

Cóż, potrzebował jej współpracy. Gdy zostanie odizolowana od świata, z pewnością przyniesie to efekty. Nigdy jeszcze nie wziął zakładnika, ale jak inaczej można było nazwać obecną sytuację? Potrzebował jej bez względu na to, co naprawdę zamierzała. Czy słowo kidnaping nie pasowało najlepiej do tego, co tu się wydarzyło?

- Nie musisz się martwić o mojego brata. Niestety, bardzo trudno go zabić, a wygląda na to, że zbyt łatwo się poddał. Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Możesz być tego pewna.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Ktoś będzie się o mnie martwił. Muszę zadzwonić.

- Nigdzie nie zadzwonisz. - Widząc wściekłość w jej oczach, dodał: - Jeśli nie będziesz sprawiała kłopotów, to może później pozwolę ci skorzystać z telefonu. - Jednak nie wcześniej, nim się dowie prawdy.

Zrezygnowana Renee klapnęła na łóżko, podkurczyła nogi i oparła się o ścianę. Przymknęła oczy. Jeśli zaśnie, on też będzie mógł przymknąć powieki. Był bardzo zmęczony. Musiał przemyśleć wszystko, co się ostatnio wydarzyło, i jakie może mieć konsekwencje.

Usiadł na podłodze i oparł głowę o ścianę. Najpierw brat zabił pięciu niewinnych misjonarzy, a potem uwięził-go w rodzinnym domu. Jak ludzie pracujący z takim oddaniem dla ich rodziców mogli uwierzyć w to, co mówił człowiek tak okrutny i obłąkany jak Victor?

Jednak Paul jakoś ich rozumiał. Byli porażeni strachem. Juanita i jej mąż, którzy zarządzali domem, a także ogrodnik George, doskonale wiedzieli, że on nie jest zdolny do takiego okrucieństwa. A może to nie był strach? Może brat obiecał im sówite wynagrodzenie? Emeryckie uposażenie i opiekę? Byli już starymi ludźmi, więc mogli poddać się jego woli.

Paul Reyes wiedział jedynie to, co widział na własne oczy. Dom w Key Largo został zawładnięty przez jego brata. Oznaki jego pobytu były wszędzie - luksusowy samochód, ekstrawaganckie meble. To wszystko aż kapało od przesytu. Paul prawie nie poznał swojego domu. Jak długo ten podły

człowiek podszywał się pod niego? Wyglądało na to, że już od kilku miesięcy. Musiał mieć ku temu jakiś ważny powód. Coś o długofalowych implikacjach. Czy może nowy prezydent Meksyku zdecydował się rozpatrzyć petycję Stanów Zjednoczonych o jego ekstradycję? Bez względu na to, co to było, Victor Reyes najwyraźniej zapragnął uwolnić się od swej przerażającej przeszłości, która kroczyła za nim, gdziekolwiek tylko się pojawił. Jedyнным sposobem, by to osiągnąć, było zrzucenie z siebie starej skóry. Władze nie będą zachwycone, dopóki nie dostaną niepodważalnego dowodu, że Victor Reyes zniknął naprawdę.

Paul był już przekonany, że właśnie dlatego agenci przeszukiwali jego dom. Spodziewali się, że go tu zastaną. Zostałby aresztowany jako baron narkotykowy Victor Reyes, postawiony przed sądem, skazany i najpewniej stracony. Wtedy Victor zająłby jego miejsce i zaczął prowadzić spokojne życie. Taki musiał być jego plan. Bo jakież inny?

Dobry plan. Może nawet działałby przez krótki czas. Paul jednak dobrze znał brata. Victor był diabłem wcielonym. Zwyczajna, spokojna egzystencja wkrótce by go znużyła, doprowadziła do furii. W końcu i tak zrujnowałby to nowe życie, tak samo jak zrujnował poprzednie.

Paul wiele lat żył w cieniu swojego brata. Gdy byli dziećmi, Victor zawsze przewodził. Gdy był już dorosły, jego nazwisko pojawiało się na pierwszych stronach gazet, podczas gdy Paul bez reszty

poświęcił się swojemu powołaniu. Żył w tak wielkim odosobnieniu, że niewielu ludzi mogło poświadczyć jego tożsamość. Tylko Juanita, Eduardo i George w Meridzie.

Victor pewnie też ich zabije. To będzie jego program emerytalny dla nich. A oni tak idiotycznie mu zaufali.

Okazało się, że kilka miesięcy temu, gdy Paul opuścił Florydę, by pomagać w nieszczęściu ubogim w Meksyku, jednocześnie stworzył swojemu bratu niepowtarzalną szansę, której tak bardzo wyglądał. Paul nie był w Meksyku od wielu lat, ale docierające do niego informacje o katastrofalnej sytuacji ludzi w Oaxaca skłoniły go do wyjazdu i niesienia pomocy poszkodowanym biedakom. Nie miało dla niego znaczenia, że mieszkał w Stanach od ponad dziesięciu lat; Meksyk nadal był jego ojczyzną, a Meksykanie jego rodakami.

Nagle Paul zadrżał na myśl o gospodarzu domu. Gdzie się podział? Czy Victor go zwolnił? A może zabił? Żal z powodu tylu popełnionych błędów rozrywał mu serce. W głębi duszy nie wierzył, że Victor pozwolił mu żyć. To nie było w jego stylu.

Teraz miał tylko jedno wyjście: stanąć twarzą w twarz z Victorem i wreszcie to wszystko zakończyć. A to nie będzie takie proste, bo Victor miał do dyspozycji wielu bezwzględnych ludzi.

Paul nie miał nikogo, kto mógłby mu pomóc. Spojrzał na śpiącą Renee. Może poza nią. Znalazła się tutaj z jakiegoś powodu, który wiązał się z Vic-

toorem. Tego był pewien. Wielu ludzi próbowało dotrzeć do Victora, wykorzystując do tego Paula. Czy próbowała tego samego? Jeśli tak, to może mógłby to wykorzystać na swoją korzyść? Jednak do końca nie był przekonany, czy ta tajemnicza kobieta była przyjacielem, czy też stała po przeciwnej stronie barykady.

Mówiąc wprost, całkiem możliwe, że Victor zostawił ją tutaj, by go wykończyła.

06:30

Koszmar wyrwał Renee ze snu.

Zamrugła, potarła oczy i próbowała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

Bezpieczny pokój... z jednym z Reyesów.

Skupiła wzrok na mężczyźnie opartym o ścianę. Miał zamknięte oczy, ale nie była w stanie stwierdzić, czy śpi, czy czuwa. Nie poruszył się, gdy przebudziła się i zaczęła go obserwować.

Przymknęła oczy i starała się przegonić powracające obrazy z sennego majaku.

Jakiś mężczyzna był przywiązany pasami do błyszczącego stalowego łóżka, a do przedramienia miał podłączoną kroplówkę. Obserwowała go przez szybę wraz z innymi ludźmi, głównie rodzinami dwóch ofiar, za których zamordowanie został skazany na śmierć. Gdy spoglądała na niego, gwałtownie odwrócił do niej błądą, wychudłą twarz i poruszył ustami, jakby mówił: „Dlaczego mi nie pomogłaś?”.

Drań. Nie pomogła mu, bo nie chciał, żeby mu pomagała. Gdy tylko dowiedziała się, co wydarzyło się naprawdę, próbowała wpłynąć na werdykt, ten sam, który wcześniej skutecznie przeforsowała. Dostyc już tego. Wszystko wyslizgnęło się jej z rąk. Wstrzymano egzekucję, a to oznaczało, że gubernator Teksasu wydał decyzję, której odmówił za pierwszym razem, a która dawała więźniowi szansę na udowodnienie swojej niewinności. Cokolwiek miało się teraz wydarzyć, nie miała już na to żadnego wpływu.

Otworzyła oczy i skupiła wzrok na mężczyźnie, który twierdził, że jest Paulem Reyesem. Nie było w nim nic szczególnego, co pozwalałoby wierzyć w jego słowa. Stwardniała skóra na dłoniach i zachowanie przeczyły wizerunkowi artysty zdolnego tworzyć tak piękne dzieła.

„W mojej pracy”.

Ale przecież w mężczyźnie, którego spotkała poprzedniego dnia, też było coś, co nie pasowało do artysty. Jednak jego sposób wysławiania się zrzuciła na różnice językowe. Kilka „dziwnych wyrażeń” nie mogło przecież być podstawą do podważania czyjejś tożsamości.

Jednak było coś w spojrzeniu tamtego mężczyzny... patrzył na nią jak na zdobycz do pożarcia. To nie było przyjemne doznanie. I jeszcze ta jego wzmianka, że musi być w dobrej kondycji do wykonywania swojej pracy... To dawało do myślenia. Dlaczego taki pustelnik musiał tak dbać o swój

wizerunek? Niby nie powinna się temu dziwić, bo Latynosi zawsze puszyli się swoją męskością, lecz w raportach o Paulu Reyesie nie znalazła wzmianki o tym, że ma w sobie coś z macho. Jednak zebrano o nim dość skromne informacje.

Tych kilka nieścisłości, które zauważyła zeszłej nocy, wcale nie musiało świadczyć o tym, że mężczyzna, z którym rozmawiała, kłamał o sobie.

A skoro jej porywacz wyglądał na pogrążonego we śnie, postanowiła sama poszukać telefonu, który przecież musiał gdzieś tu być schowany. Który milioner chciałby być uwięziony w bezpiecznym pokoju bez możliwości kontaktu ze światem?

- Renee, czy już zmieniłaś zdanie o mnie? Aż podskoczyła na te słowa. Nie zauważyła, że otworzył oczy i ją obserwował. No to świetnie. Szansa na znalezienie telefonu zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Wstała z posłania i poprawiła ubranie.

- Jakim cudem, skoro nie dostarczył mi pan żadnego dowodu?

Lekko skrzywił usta w uśmiechu, który niechętnie, ale jednak podziwiała.

- Ach tak, chodzi o dowód.

Wstał, przeciągnął się. Obserwowała go z większym zainteresowaniem, niż wynikałoby to z jej obowiązków służbowych.

- Ta cała sytuacja jest trochę zabawna - oświadczył ponurym głosem, po czym sięgnął po butelkę i napił się wody. - Kto by pomyślał, że pewnego dnia będę musiał udowadniać swoją toż-

samość, i to w taki sposób. - Wskazał ręką na monitory. - To jest mój dom, a mimo to ktoś wziął go sobie w posiadanie. - W zamyśleniu potarł brodę. - To jest moja twarz, ale ktoś podobny do mnie może twierdzić, że to, co moje, jest jego.

- No tak... - Rozumiała jego desperację. Po ruchach i głosie sądząc, był bliski paniki, zarazem jednak kontrolował się znakomicie, nie pozwalając, by strach i frustracja nim zawładnęły.

- Możesz wierzyć, w co chcesz, a twoje sprawy z moim bratem to zupełnie inna sprawa. Muszę wiedzieć, po co tutaj przyjechałaś.

Atmosfera w pokoju zgęstniała. Renee chciała wreszcie zrozumieć, co tutaj się działo. Nie wiedziała jednak, z czyjej perspektywy powinna spojrzeć, by dociec prawdy. Czy Victor chciał ją omamić, by poświadczyła zgodnie z jak najlepszą wolą, że jest Paulem? Czy dlatego nie została zamordowana? Gdyby przekonał ją do swoich racji, a był oszustem, z pełnym przekonaniem poświadczyłaby jego fałszywą tożsamość. Innymi słowy, czy wydarzenia poprzedniego popołudnia były zwykłą inscenizacją na jej użytek?

Lecz możliwe były jeszcze inne scenariusze, prawda mogła być inna. Zaczęła przebiegać je w myślach, lecz to była droga donikąd. Zasadnicze pytanie brzmiało: skąd Victor czy Paul mogli wiedzieć, kim była i kiedy przyjedzie? Jeśli nie wiedzieli, że pojawi się w rezydencji, to wszystko, co wydarzyło się po jej przyjeździe, było zbiegiem okoliczności.

81

Lecz nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Kto wiedział, co wiedział, od kogo wiedział?

Renee była przekonana, że wszystko, lub chociaż część łańcucha zdarzeń, zostało dokładnie zaplanowane.

Przez kogo i po co?

- Nazywam się Renee Parsons - oświadczyła.

- Reprezentuję galerię z Los Angeles. Przyjechałam tutaj, żeby porozmawiać o sztuce z Paulem Reyesem.

Ciemne spojrzenie wwiercało się w jej oczy. Mężczyzna stanął przed nią twarzą w twarz. Zadrżała, ale szybko odzyskała nad sobą kontrolę.

- To mamy problem, Renee. - Głos miał miękki, lecz pobrzmiwała w nim groza. - Bo jestem pewien, że mój brat chce mojej śmierci. Jeśli, jak mówisz, jesteś niewinnym i przypadkowym pionkiem w jego zabójczym planie, to ostrzegam, że też staniesz się jego ofiarą, bo taki los spotyka zbędnych świadków.

- Czy pan chce mnie przestraszyć, panie Reyes? Bo właśnie takie odnoszę wrażenie.

- Tak, chcę cię przerazić, bo tylko wtedy dostrzeżesz powagę sytuacji.

No to grajmy dalej, pomyślała Renee.

- Obawiam się, że możemy mieć problem.

- Nie cofnęła się choćby o milimetr.

- Tak, a jakież to?

- Jeśli pan jest Paulem Reyesem, jak pan mówi, to czego miałabym się bać? Paul Reyes jest artystą, który używa farb i pędzli do okazywania swoich emocji.

Ku jej zaskoczeniu sięgnął do tyłu i wyciągnął trzydziestkęósemkę. Zabójcza broń... To nie pasowało do subtelnego malarza.

- Całkiem możliwe, że artysta nauczył się czegoś od życia. - Pogłaskał jej policzek lufą. Uśmiechnął się ledwie widocznie, gdy Renee zacisnęła usta w wąską linię, maskując strach. - Po co tutaj przyjechałaś? - zażądał twardo, opuszczając broń. - Odpowiedz szczerze, a nie będziesz miała czego się bać.

Gdyby tylko było to takie proste. Renee nie wiedziała, kim był ten mężczyzna. To mógł być Victor. W takiej sytuacji wyznanie prawdy równało się natychmiastowej śmierci.

- Przyjechałam porozmawiać o współpracy z Paulem Reyesem.

- Kłamiesz! - rzucił z wściekłością.

- Mam pewną propozycję. Niech pan coś namaluje i wszystko będzie jasne.

Ależ był rozjuszony! To pasowało do Victora, który widział w kobietach jedynie obiekty seksualne, a poza tą jedną rolę miały pokornie milczeć. A tu proszę, jakiś babsztyl pogrywa sobie z nim, wystawia go na próbę!

- Widzę, że chcesz mnie naprawdę rozjuzzyć. Przejrzałem twoją grę... - I nagle się uspokoił... albo tylko udawał. - Masz rację. - Zatknął rewolwer za pas spodni i złapał ją za rękę.

Nie opierała się. Przez chwilę obserwował monitory, po czym wbił kod w klawiaturę i ukryte drzwi otwarły się.

83

Renee powstrzymała się od triumfalnego okrzyku. Osiągnęła pierwszy cel - wydostała się z bezpiecznego pokoju. Jeśli będzie bystra i wykorzysta dobrą okazję, to uda się jej uciec. Ale wtedy nadal nie będzie wiedziała, z kim miała do czynienia, z Victorem czy Paulem. Musiała więc zostać tu jeszcze jakiś czas, by się o tym przekonać. Gdy tylko skontaktuje się z Jimem, opowie mu, co się wydarzyło. Musiała też ustalić, dlaczego pojawili się agenci DEA. Czy szukali Victora Reyesa? I kto dał im znać, że tu był?

Jeśli to on tu był.

Poprowadził ją przez sypialnię, potem w dół po schodach. Dom był w opłakanym stanie.

Reyes zatrzymał się przed drzwiami, wyjrzał na zewnątrz i wprowadził kod w klawiaturę centralki.

Rolety antyhuraganowe zaczęły się powoli unosić, ukazując niezwykle widok, który wczoraj zrobił na niej tak niezwykle wrażenie.

Rozbite drzwi wisiały na pociętych zawiasach. Reyes nawet nie próbował ich zamykać. I tak nie powstrzymałyby nikogo, kto chciałby dostać się do środka. Nagle coś przyszło Renee do głowy.

Dlaczego alarm nie zadziałał, gdy agenci wdarli się do domu? Musiała o to spytać.

- Dlaczego alarm nie zaczął wyć, gdy ci czarni wyważyli drzwi?

- Czujniki wewnątrz domu zostały wcześniej zdezaktywowane. Właśnie dlatego alarm nie odezwał się, gdy wszedłem do środka.

To miało sens. Ale kto je zdezaktywował? Była

pewna, że były aktywne, gdy ona i Paul - ten drugi Paul - próbowali uciekać.

Reyes przeciągnął ją przez rozległy salon do pokoju, który nazwałaby solarium, bo okna wychodziły na ocean, tyle że to była pracownia malarska.

Wszystkie ściany były obstawione obrazami. Pośrodku stała sztaluga z naciągniętym na ramy zagruntowanym płótnem. Na półkach stały słoiki i tuby z farbami, a w szufladach starych kredensów zapewne znajdowały się zapasy pędzli i innych narzędzi malarskich. Mijając sztalugę, Renee przejechała po niej palcami. Opuszki pokryły się kurzem.

- Planuje pan nowe dzieło?

- Pewnego dnia je stworzę. - Wskazał ręką na sofę. - Proszę usiąść.

Usiadła na miękkich poduchach. Ciekawe, co się teraz stanie, zastanawiała się.

Reyes wziął do ręki szkicownik i ołówek, po czym usiadł dwa metry od niej. Przesunął trzy-dziesiątkę na tył spodni. Oparł stopy na szczeblach stołka, jakby siadał tak tysiące razy wcześniej. Zniszczone adidasy dopełniały reszty ubioru, ale nie pasowały do tego wizerunku, który Renee sobie stworzyła po zapoznaniu się z jego historią życia. Czyżby więc tak bardzo się pomyliła? A może jej umysł robił dokładnie to, co chciał ten facet... uwierzył w jego historyjki?

- Odpręż się. - Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. - Na ogół ludzie mają frajdę, gdy pozuja malarzowi.

Rozparła się wygodnie wśród poduszek i rozciągnęła ramiona na boki z nadzieją, że to pomoże się jej zrelaksować.

- Nie wiedziałam, że jest pan również portrecistą.

- Niezbyt często.

Pałce miał dłuższe i bardziej kościste, niż wydawało się jej wcześniej. W jego ruchach szukała wdzięku i zręczności. Dostrzegła jedno i drugie. Za każdym razem, gdy podnosił na nią wzrok, przedstawiała oddychać. To było aż śmieszne, ale nic nie potrafiła na to poradzić. Może to tylko dlatego, że nagle stała się modelką. Która dziewczyna nie marzyła o tym, by stać się muzą dla słynnego artysty? Ale to nie były fantazje, tylko rzeczywistość. Zbyt wiele miała do stracenia, by dać się wciągnąć w pułapkę, którą ten facet skrupulatnie konstruował.

- Zawsze przygryzasz tak wargę? - zapytał, patrząc jej w oczy.

- Słucham?

- Zagryzasz dolną wargę. Często to robisz? - Skupił wzrok na jej ustach.

- O co panu chodzi? - rzuciła z irytacją. Dlaczego po prostu nie zajmie się malowaniem, by wreszcie mogła uzyskać odpowiedź na podstawowe pytanie?

Prawie straciła nadzieję, że ją naszkicuje, bo siedział w bezruchu i tylko patrzył na nią.

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak działasz na mężczyzn? - spytał wreszcie.

Ot, powiedział, co wiedział, pomyślała zgryźliwie i wstała.

- To jakieś szaleństwo. Proszę pokazać mi, co pan naszkicował.

- Jeszcze nie skończyłem. Siadaj. - Skinął głową na sofę.

Dlaczego tak się z nią bawił? Przecież nic w ten sposób nie osiągnie. Czy chciał zyskać na czasie?

Wogóle co chciał osiągnąć?

- Nie wiem, do czego pan zmierza stwierdziła oskarżycielskim tonem - ale wiem, że pan coś rozgrywa, a to mi się nie podoba. Co się tutaj dzieje?

Zsunął się ze stołka i podszedł do niej.

- To znaczy, że jest nas dwoje, Renee, bo też nie wiem, co się tutaj dzieje. A skoro to jest mój dom... moje życie, to bardzo chciałbym poznać prawdę. Czy możesz mi w tym pomóc?

Po raz pierwszy od momentu, gdy zaczęło się to szaleństwo, poczuła, że jest w stanie uwierzyć, że ten facet mówi o sobie prawdę.

Wyciągnęła rękę. Popatrzył na jej dłoń i po sekundzie wahania wręczył rysunek. Szkic, jak powiedział, nie był dokończony, ale to była ona. Przede wszystkim jednak szkic był doskonały z artystycznego punktu widzenia. Nawet jeśli nie był Paulem Reyesem, to doskonale rysował.

- Czy teraz mi wierzysz?

- Może. - Zdecydowane „tak” zachowała dla siebie.

Nagle dobiegł do nich stłumiony odgłos zatrzasniwanych drzwi.

87

Reyes sięgnął po pilota ze stoliczka koło sofy i włączył telewizor plazmowy ukryty w ramie obrazu. Na monitorze pojawił się obraz z kamer ochrony. Przed domem stał czarny SUV, z którego wysiadali dwaj mężczyźni.

- Wyglądają jak ci, którzy byli tu wczoraj.

- Rozpoznała wyższego z nich, jeśli chodzi o drugiego nie była do końca pewna.

- Uciekaj tamtędy. - Reyes wskazał na przeszklone drzwi prowadzące na tylny taras. - Schowaj się pod pomostem. Tam będziesz bezpieczna.

- Co? - Oderwała wzrok od monitorów. - A co pan ma zamiar zrobić?

- Uciekaj! - Popędził ją, wyciągając rewolwer.

- Natychmiast!

Nie było czasu na dyskusje i Renee zrobiła to, co jej kazał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zatrzymała się na dole schodów, przycisnęła do ściany i uspokoiła oddech. Nie potrafiła tak po prostu uciec.

Czy ci mężczyźni wrócili, by zabić ją i Paula, a może Victora, kimkolwiek był gospodarz domu?

Czujnie nasłuchiwała. Szczęśliwie drzwi na taras były otwarte, więc może czegoś się dowie.

Żałowała, że nie miała przy sobie broni.

- Odłóż broń!

Rozpoznała głos, który usłyszała wczoraj. Tak, to był ten sam facet.

- Teraz kopnij po podłodze!

Cholera. No to Reyes pożegnał się z artylerią. Przynajmniej ich posłuchał, dzięki czemu przeżyje... przynajmniej jeszcze trochę.

Czy w suwie tych gnojków mogła być jeszcze jakaś broń? Może telefon komórkowy? GPS z powiadomianiem policji?

Przesunęła się do narożnika domu i rozejrzała czujnie, potem ruszyła w kierunku frontu domu.

Między jej samochodem a frontowymi schodami był zaparkowany SUV. Dzielila ją od niego pusta przestrzeń. To było ryzyko, ale jeśli czegoś nie zrobi, Reyes będzie martwy.

Zbierała w sobie odwagę, by ruszyć w stronę samochodu, gdy w drzwiach pojawił się ubrany na czarno mężczyzna i podbiegł do suwa.

Renee schowała się za rogiem i nasłuchiwała odgłosów z domu, szamotaniny lub wystrzału.

Intruz wyjął z auta komórkę.

No to mogę się pożegnać z wezwaniem pomocy, pomyślała zrezygnowana Renee. Przynajmniej mogła podsłuchać rozmowę.

- Tak, mamy go... Nie, tej kobiety nie ma tu... Jasne, że dokładnie sprawdziliśmy. On mówi, że nie było jej, gdy przyjechał... Wiemy, jak uciekła. Zrobiła dziurę w ścianie... Nie, nie rozwalila cegieł, to ścianka działowa, gipsowo-kartonowa, dlatego jej się udało. Wiem, że jest nam potrzebna.

Serce skoczyło jej do gardła. Wcale nie chcieli się jej pozbyć. Zamierzali ją w jakiś sposób wykorzystać. Co te dranie zaplanowały? Wyglądało to tak, jakby spodziewali się jej przyjazdu.

Przecież to niemożliwe... chyba że... ktoś ją zdradził. Mój Boże, mieli kreta w agencji Equalizers...

Musiała koniecznie porozmawiać z Jimem Col-bym. Jak najprędzej.

Nasłuchiwała dalej. Intruz mówił krótko, ktoś po drugiej stronie dłużej. Podwładny i szef.

- Tak, jestem pewien... Teraz mamy go zabrać?... Rozumiem. - Wrzucił telefon do samochodu i wrócił do domu.

„Teraz mamy go zabrać?”.

Tylko dokąd? Z powrotem do Meksyku?

Nie mogła stracić tego faceta. Bez względu na to, czy to był Paul, czy Victor - a optowała za tym pierwszym - jeśli pozwoli im go zabrać, przegra i zginie kolejny niewinny człowiek.

Okłamał ich, powiedział, że uciekła, co było punktem na jego korzyść, ale nie miała teraz czasu na matematykę.

Paul czy Victor - potrzebowała go. I to żywego.

Nie zastanawiając się dłużej, rzuciła się do suwa. Spojrzała na dom. Spokój. Trzęsącymi rękami sięgnęła do klamki. Był to suw w przedłużonej wersji, więc nie miał unoszonej szyby i opuszczanej klapy, lecz podwójne drzwi otwierające się na duży bagażnik, powiększony brakiem trzeciej kanapy. W środku znajdował się wielki, wypełniony czymś czarny plastikowy worek na śmieci i dwa szpadle. Nie miała czasu sprawdzać, co jest w worku, ani zastanawiać się, po co tym gnojkom szpadle. Wsunęła się do środka i pociągnęła za drzwi, delikatnie je zatrzasnąwszy.

Czy zdąży sięgnąć po komórkę? Poszukać broni? Może jedno i drugie?

Już miała wsunąć się na drugą kanapę, gdy powstrzymały ją głosy dochodzące od strony domu i zmusiły do skulenia się z tyłu za siedzeniami obok czarnego worka.

Odgłos zbliżających się kroków zmusił ją do schowania się za workiem. Zdołała trochę go przesunąć, dzięki czemu mogła lepiej się ukryć. W tej właśnie chwili pomyślała, że zabójcy mogą otwo-

91

rzyć tylne drzwi i wrzucić tam Reyesa. Wtedy z pewnością by ją dostrzegli.

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Złapała za worek, próbując przesunąć go jeszcze trochę, lecz plastik rozdarł się. W torbie zrobiła się spora dziura.

Z worka spoglądała na nią martwa twarz starego mężczyzny o siwych włosach i bładobłękitnych oczach. Poczowała zapach śmierci.

Otwarły się drzwi pasażera.

- Wsiadaj.

To był inny głos niż ten od komórki, czyli należał do drugiego faceta z poprzedniego dnia.

Tłumiąc krzyk, odwróciła wzrok od worka. Zatrzaśnięto drzwi. Kilka sekund później otwarły się drzwi pasażerskie z drugiej strony i ktoś inny wsiadł do samochodu. Wtedy kierowca uruchomił silnik. Renee uspokoiła się odrobinę, gdy okazało się, że nie mieli zamiaru otwierać drzwi bagażnika.

- Nie mogę zapiąć pasów, mając związane ręce. To był Reyes. Gdyby Renee lekko wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Ośmieliła się zerknąć, by zobaczyć tył jego głowy wystający poza zagłówki.

- Może będziesz miał szczęście - odezwał się zbir, który wepchnął go na tylne siedzenie - i rozbijemy się, zanim dojedziemy na miejsce. Nie będziemy musieli sami cię zabijać.

Renee zagryzła usta, żeby nie krzyknąć z przerażenia.

Czyli jednak chcieli go zabić.

Oczywiście wiedziała, że do tego mogło dojść, ale gdy ktoś tak po prostu mówi o morderstwie... to zupełnie inna sprawa.

- Dokąd mnie wieziecie?

- Żadnych pytań! - rzucił kierowca, facet, który rozmawiał przez komórkę. - Cholera! Ale śmierdzi. Czujesz to? - zapytał swojego kompana.

- Musimy zakopać tego starucha - zgodził się drugi zabójca.

Po tej wymianie nastąpiło długie milczenie. Re-nee słyszała odgłosy miasta, gdy tylko zatrzymywali się na skrzyżowaniach przed światłami. Szkoda, że nie miała broni, którą jej odebrali poprzedniego dnia. Szkoda, że nie miała klucza do kół zamiast szpadli rzuconych na podłogę bagażnika.

Będzie musiała poradzić sobie w jakiś inny sposób, by powstrzymać zabójców.

Jeśli po dojechaniu na miejsce bandyci wyjdą z samochodu, to rzuci się po komórkę rzuconą przez kierowcę na przednie siedzenie. Ale i tak będzie za późno na przyjazd pomocy i uratowanie Reyesa, a co dopiero jej.

Umiejętności zdobyte na kursie samoobrony, który przeszła po tym, jak została uprowadzona sprzed gmachu sądu, gdy była jeszcze prokuratorem, kiedyś już jej pomogły, ale z tymi draniami nie miała żadnych szans, tym bardziej że mieli broń. Kiedyś już ktoś też mierzył do niej z rewolweru, ale był to mąż kobiety, która została oskarżona o przedawkowanie leków podanych umierającemu ojcu. Renee wiedziała, że tamten mężczyz-

na nie był mordercą, tylko zdesperowanym mężem, który próbuje chronić swoją żonę. Wystarczyło tylko poczekać na odpowiedni moment i go obezwładnić.

Tym razem nie będzie tak łatwo.

Mijały minuty. Spoglądała przez szyby, żeby domyślić się, dokąd jadą, ale nie na wiele się to zdało.

Co jakiś czas pojawiały się jedynie linie wysokiego napięcia, mignął jakiś budynek, to wszystko.

Nie wiedziała, ile minęło czasu, ale niebo zostało nagle wyparte przez drzewa. Bardzo gęsto rosnące drzewa.

Las.

Gdzie na Florydzie są takie gęste lasy? Oczywiście.

Lasy i bagna Everglades. Dotarło to do niej w tym samym momencie, gdy odezwał się Reyes:

- Po co jedziemy do parku?

O Everglades Renee wiedziała tylko dwie rzeczy: bezkresne mokradła pokryte szuwarami i aligatory.

I z jednym, i z drugim nie pragnęła nigdy zawierać bliższej znajomości. Wystarczyły jej filmy przyrodnicze.

Gdy porywacze nie odpowiedzieli na jego pytanie, Reyes zadał kolejne:

- Czego chce mój brat?

Dlaczego nie wypowiedział jego imienia? Przynajmniej wiedziałyby na pewno, kim jest uprowadzony mężczyzna.

No tak... i na co jej ta wiedza?

Siedziała w bagażniku suwa, który jechał do serca Everglades, gdzie zostanie zamordowany człowiek.

A gdy tylko ona zostanie odkryta, też zginie.

- Chce ciebie martwego - zachichotał bandzior. - A potem, gdy znajdą to, co z ciebie zostanie, nie będzie już żadnych problemów.

Cholera.

Renee przełknęła ślinę.

To było jej pierwsze zadanie w terenie i od razu ma się dać zamordować? Jim Colby miał rację, może nie była jeszcze gotowa do takich działań.

Ale nie. Postanowiła się nie poddawać.

Spokojnie. Bądź czujna, czekaj na okazję, zawsze jest jakaś nadzieja, wmawiała sobie.

Musiała poczekać na swoją szansę.

- A on nie ma tyle odwagi, żeby zrobić to własnymi rękami?

Czy Reyes próbował wkurzyć tych dwóch gości? Cóż, zawsze to jakaś taktyka, a nie bierne oczekiwanie na egzekucję, jednak i tak wszystko, co powiedział lub zrobił do tej pory, nie mogło powstrzymać nieuniknionego. Nie musiał jednak, wybierając taki sposób postępowania, tego przyspieszać. Im dłużej to będzie przeciągać, tym większa nadzieja, że coś się jednak wydarzy korzystnego. Po prostu nie przecinać linii czasu...

- Ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Czyżby? A może nie lubi brudzić sobie rąk? - skomentował gorzko Reyes.

Intuicyjnie wyczuwała, że zbierał siły do walki, choć był nieuzbrojony i związany. A te dwa pieprzone gnojki miały go zabić, bo taki dostały rozkaz od jego brata. Za późno na pretensje. Pora działać! - myślała gorączkowo Renee. Póki linia czasu jeszcze trwa...

Łatwo powiedzieć...

- Zamknij się! - rozkazał kierowca.

Reyes nie odezwał się już ani słowem.

Renee rozluźniła napięte mięśnie. Taka rozgrzewka przed... No właśnie, przed czym? Przed walką czy też egzekucją?

Myśl pozytywnie, napominała się srogo. Po prostu potrzebujesz energii i siły, by się stąd wydostać i stoczyć walkę z tymi sukinsynami.

Samochód zwolnił, potem skręcił. Nawierzchnia stała się wyboista. Pewnie była to boczna droga w parku.

Przez niezwykle gęste korony drzew wydawało się, że na dworze zaszło słońce, a nie minęła jeszcze dziesiąta rano. Renee starała się oddychać powoli i bezdźwięcznie, szczególnie teraz, gdy zamilkły rozmowy. Poza tym nie miała ochoty wciągać głęboko do płuc okropnej woni zwłok nieszczęsnego starca.

Myślała o tym, jak została zdradzona i jak czuła się niepocieszona. Pracowała nad tamtą sprawą razem ze swoim mentorem, cenionym prokuratorem okręgowym z Austin, który szykował się do walki o fotel senatora. Podziwiała go i szanowała. Jej podstawowym celem było osiągnięcie

tak legendarnego statusu zawodowego, jaki on zdobył przez długie lata kariery. Ale popełniła błąd, bo okazało się, że mentor wcale nie był tak wspaniałym człowiekiem, jak sądziła. Na koniec wszyscy przestali jej wierzyć, a niewinnemu człowiekowi zaserwowano proces karny i najwyższą karę przewidzianą w stanie Teksas, czyli karę śmierci.

Ale jej szanowany przez wszystkich mentor nie był jedyną osobą, która ją zdradziła. On też ją zdradził. Pozwolił się jej znienawidzić... uwierzyć, że jest czystym złem. By ją chronić.

A teraz siedział w celi śmierci i żył tylko dzięki temu, że gubernator Teksasu w ostatniej chwili wstrzymał wykonanie wyroku.

Mruganiem przepędziła kłujące łzy. Czasem nienawidziła go za to, co uczynił. Kiedy indziej miała ochotę wdrzeć się do tego przeklętego więzienia i uratować go, tak jak ratowała go miliony razy przed nieszczęściami, gdy był chudym dzieciakiem.

„W całym moim życiu nigdy nie zrobiłem niczego dobrze. Pozwól mi choć raz zrobić coś tak, jak powinno być, siostrzyczko. Tylko o to cię proszę”.

Idiota! Jak mógł wierzyć, że przyznanie się do morderstw, których nie popełnił, było czymś dobrym?

Na rany Chrystusa! I to nie były jakieś dwa zwykłe zabójstwa, tylko najpotworniejsze mordy w historii Austin. Cały stan chciał jak najszybciej znaleźć winnego.

Straszny głupiec!

Jak jej brat mógł być aż tak głupi?

Nie rozmawiali przez całe miesiące od czasu, gdy został aresztowany. Renee nie mogła znieść, że zażywał narkotyki, że się stoczył... I zapłaciła za to wysoką cenę: nie potrafiła złożyć swojego życia do kupy.

Choć nie była głównym oskarżycielem w tym procesie, jednak cały czas stała u boku swojego szefa jako pomocnik. Prasa z radością rozdmuchała fakt, że siostra podejrzanego o dwa zabójstwa zasiada na ławie oskarżenia jako prokurator.

Powinien być przeklęty za to, że pozwolił jej to zrobić. A ona powinna być przeklęta za to, że nie odpuściła sobie... tylko kopała w faktach dalej, aż doszła do prawdy. I wtedy ją uciszono. Nie dano jej żadnego wyboru. Musiała odejść.

Gdy samochód zatrzymał się, Renee błyskawicznie otrząsnęła się ze wspomnień. Sądząc po jeszcze większej gęstości koron drzew, znajdowali się w samym środku gęstego lasu.

Otworzyły się drzwi i dwaj złoczyńcy wysiedli z samochodu. Renee wstrzymała oddech, mając nadzieję, że nie od razu wyciągną swoją ofiarę na zewnątrz. Najpierw musiała mieć swoją szansę. Złapała za rączkę i sztyft najbliższego szpadla. Mogła za chwilę zginąć, była jednak absolutnie zdeterminowana. Nie odda życia za darmo, będzie walczyła jak tygrysica.

Otworzyły się tylne drzwi.

- Wysiadaj!

Reyes wysiadł w milczeniu, nie stawiając oporu.

Zatrzasnęły się za nim drzwi. Przez chwilę Renee leżała bez ruchu. Oni go zaraz zabiją, pomyślała. A potem przyjdą po trupa w torbie i po szpadle. Musiała coś zrobić.

Jej serce waliło jak szalone. Uniosła się nieco i spojrzała nad oparciami siedzeń. Kilka metrów od samochodu, odwróceniem do niej plecami, stali dwaj mężczyźni. Reyes był nieco dalej, przodem do dwóch bandziorów, którzy dzierżyli w dłoniach pistolety.

Mogła zrobić tylko jedno.

Teraz albo nigdy.

Czujnie obserwując zbirów, przekroczyła oparcie tylnej kanapy i powoli, w jak największej ciszy, przeszła między przednimi fotelami nad konsolą i wsunęła się na siedzenie kierowcy. Skuliła się, by zachować możliwie najniższą pozycję i nie stać się łatwym celem dla broni palnej. Zaciśnęła lodowate palce na kluczyku.

Zrób to natychmiast albo on zginie, rozkazała sobie.

Przekręciła kluczyk. Silnik zabulgotał. Jeden z zabójców krzyknął: - Co to, do cholery?!

Renee wrzuciła bieg i nacisnęła pedał gazu do oporu.

Terenówka wyrwała do przodu. Znowu krzyki.

Miała nadzieję, że Reyes ma dobry refleks i odskoczy na bok.

99

Wyrzała ponad deskę rozdzielczą akurat w odpowiednim momencie, by zauważyć, że zjechała z drogi i sunęła prosto w las.

Skreśliła ostro w prawo i nacisnęła hamulec.

Samochód przechylił się niebezpiecznie i zatrzymał, wdzierając się kołami w podmokły grunt. Renee złapała komórkę, która upadła na podłogę, wyskoczyła na zewnątrz i pognęła jak szalona. Gęsty las szybko zasłonił ją przed wzrokiem bandziorów.

Krzyki za plecami nadal były zbyt blisko, by mogła poczuć się bezpiecznie.

Musiała biec szybciej.

Nie mogła się zatrzymać nawet na moment.

Powietrze przeszyły odgłosy strzałów.

Skreśliła w prawo, potem w lewo.

Nie wiedziała, czy strzelają do niej, czy do Reyesa.

Nie miała czasu oglądać się do tyłu. Biegnij!

Serce waliło jej bezlitośnie w piersiach. Nie oglądaj się! Nie zatrzymuj! Biegnij.

Bo inaczej zginiesz!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chicago 19:30

Jim Colby powtórnie spojrzął na zegarek. Minęło ponad trzydzieści godzin, odkąd po raz ostatni otrzymał wiadomość od Vaughn. Bał się o nią. Powinna była już nawiązać kontakt z Paulem Re-yesem. I powinna była już zadzwonić do biura.

Dziś o piątej rano Jim skontaktował się z agentem DEA Josephem Gatesem, który obiecał sprawdzić, co się dzieje, i oddzwonić, ale minęło już tyle czasu i nic. Jeśli do północy nie dostanie żadnych wiadomości ani od Vaughn, ani od Gatesa, to poleci na Florydę.

Może sprawa z jej bratem odciągnęła ją od zadania. Miał nadzieję, że zlecenie jej aż tak poważnego zadania pozwoli jej otrząsnąć się ze stresu. Czyżby jednak popełnił błąd? Vaughn nie mówiła o tamtej dramatycznej historii, sam się wszystkiego dowiedział. Czuł, że dzieje się z nią coś dziwnego.

Zadzwonił w kilka miejsc, dotarł do kontaktów w FBI i w Biurze Pościgowym. Zawsze warto było zapytać. Dzięki matce i ojczymowi znał kilku wysoko postawionych funkcjonariuszy, zre-

101

sztą agencja matki też mogła okazać się przydatna. Jego źródła przekazały mu informacje, że brat Vaughn, Matthew, przyznał się do dwóch zabójstw, ale Vaughn twardo upierała się, głosząc jego niewinność, choć początkowo występowała przeciwko niemu jako oskarżyciel w procesie. Ale coś albo ktoś ją uciszył, a ona wyjechała z Teksasu, jakby straciła wszelką nadzieję. Jeśli istniał jakiś sposób, by pomóc bratu Vaughn, to Jim znał właściwych ludzi.

Odezwał się dzwonek telefonu i Jim złapał za słuchawkę. Connie i reszta zespołu parę godzin temu poszli już do domu.

- Colby, słucham.

- Sytuacja nie wygląda najlepiej. To był Joseph Gates.

Jim zamarł.

- Co się stało?

- Mamy niezły smród. Jak to mówią, sytuacja normalna, ale wysoce upierdliwa.

Jim podrapał się po czole. To nie były wieści, które chciał usłyszeć.

- Jaki poziom upierdliwości?

- Według informacji, które otrzymałem podczas briefingu, do kolegi zadzwonił jego kontakt z Marathonu i poinformował o przylocie małego samolotu z półwyspu Jukatan w Meksyku krótko po północy. Samolot zatankował i natychmiast wystartował z powrotem. Nasz szalony agent zdążył dotrzeć na miejsce, by zrobić kilka zdjęć z ukrycia. Jedynym pasażerem awionetki był niejaki George

Gonzales. Jednak analiza fotografii potwierdziła, że był to Victor Reyes.

Jim poczuł uścisk w żołądku.

- I co dalej? - Na pewno były jeszcze inne wiadomości i jeśli intuicja nie myliła Jima, wszystkie niekorzystne.

- Zamiast zorganizować akcję zgodnie z zasadami, mój nadgorliwy kolega skrzyknął zespół uderzeniowy DE A i najechał na rezydencję Paula Reyesa w Key Largo, dokąd, jak podejrzewano, udał się Victor Reyes prosto z lotniska. - Gdy Jim zaklął szpetnie, Gates mruknął: - Skomentowałem to tak samo.

- Znaleźliście Vaughn? - Jim spodziewał się najgorszego. Nie powinien był zlecać jej tego zadania, choć tak bardzo chciała się zająć czymś naprawdę poważnym, a tu chodziło o dorwanie barona narkotykowego. Pewnie swoje znaczenie miał fakt, że jej brat też był zamieszany w narkotyki. Początkowo Jim nie widział żadnego problemu w delegowaniu Renee do tej roboty. Była atrakcyjną kobietą, a w tej misji był to jeden z najważniejszych atrybutów. Miała tylko dotrzeć do Paula Reyesa, trochę namącić mu w głowie i poczekać, aż Colby, Johnson i agent Gates włączą się do akcji, by przygwoździć i pojmać Victora Reyesa.

- Nie. Dom był pusty. Żadnych śladów oprócz dziury w ścianie gipsowo-kartonowej w piwnicy. Znaleźliśmy torebkę Vaughn, a przed domem stał jej samochód z wypożyczalni. Żadnych ciał. Żadnej krwi. Nic.

103

Jim był bliski eksplozji.

- Jak to możliwe, żeby tak spieprzyć robotę, Gates?

- Próbujemy wycisnąć coś z tego nadpobudliwego agenta, by mieć pewność, że nie miał żadnego układu z Victorem. Cholera jasna, Jim, tak jak i ty czuję smród. Smród pieprzonej głupoty albo jeszcze bardziej pieprzonej zdrady. Niech to szlag! Wiesz, jak teraz się czuję. Jak na spowiedzi u świętego Piotra. Nieważne, kto podjął tę walniętą decyzję, tak czy inaczej to moja sprawa! - Zaklął paskudnie. - Wierz mi, robimy wszystko, żeby odnaleźć Vaughn.

To za mało, pomyślał Jim. Kajanie się Gatesa jakoś nie zrobiło na nim wrażenia. Wręcz przeciwnie, budziło w nim złość i odrazę.

Zacisnął zęby, żeby stłumić ostre słowa.

- Dobra wiadomość to taka, że Victor Reyes jest na terenie kraju. Musimy go tylko znaleźć.

- Łatwo powiedzieć. - Wściekłość wprost pożerała Jima. - Daj mi znać, jak dowiecie się czegoś nowego. - Pożegnał się i odłożył słuchawkę.

Cokolwiek działo się w DEA, niewiele mogło mu teraz pomóc. Jeśli okaże się, że Gates gra sobie z nim w kulki, to nie będzie miejsca na planecie, gdzie zdoła się ukryć. Ale wyjaśnienie sprawy musiało poczekać. Najważniejsze było odnalezienie Vaughn i wsparcie jej działań. Potrzebował oczu i uszu na Florydzie, które przekazywałyby mu bieżące informacje, musiał mieć kogoś, kto mógłby wspomóc Vaughn. Gates miał być takim wsparciem, ale zawiódł.

Jim podniósł słuchawkę i wstukał w klawiaturę numer do nowego nabytku agencji, Sama Johnsona.

- Mówi Jim Colby. Mamy problem. Chciałbym, żebyś zrobił to, co potrafisz najlepiej.

Kilka minut później, po przedstawieniu sytuacji, Jim odłożył słuchawkę. Sam Johnson był wcześniej ekspertem kryminalistycznym. Jeśli istniały jakiegokolwiek ślady pobytu Vaughn na Florydzie, to na pewno je odnajdzie. Jego obecność na Florydzie dawała także możliwość bezpośredniego wsparcia Vaughn, jeśli tylko będzie tego potrzebowała.

Do licha ciężkiego! Nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Vaughn miała tylko zaprzyjaźnić się z Paulem Reyesem i wykorzystać go do ściągnięcia do kraju Victora. W końcu Paul i Victor byli dla siebie jedyną rodziną, a według Gatesa Victor, mimo że tak wiele dzieliło go z bratem, stale nad nim czuwał. Plan działania był dobrze przemyślany. Cholera, to miała być bułka z masłem!

Jak to możliwe, że nim się obejrzel, a wszystko spaliło na panewce?

Bzyczenie dzwonka sygnalizowało, że ktoś czeka przy wejściu do siedziby firmy. Zdziwiony niezapowiedzianą wizytą, Jim wstał. To nie mogła być Tasha, bo przecież miała klucze. Wyszedł z gabinetu, nie gasząc światła. Jeśli zjawił się jakiś klient, i tak za chwilę tu wróci.

Zszedł do holu i otworzył drzwi.

- Wychodziłeś właśnie? - zapytała Victoria Colby-Camp ze sceptycznym wyrazem twarzy.

Jim opanował emocje i odpowiedział przyjaznym tonem:

- Zbierałem się do wyjścia. - Gestem zaprosił matkę do środka. Nie jechałaby przez całe miasto, zamiast posiedzieć po kolacji z lampką wina z mężem, gdyby nie chciała pogadać o czymś ważnym. - Wejdz. Możemy porozmawiać, gdy będę się pakował.

Weszła do holu i zamknęła za sobą drzwi. Znała dobrze biuro, więc poszła przodem po schodach. Elegancka granatowa marynarka i pasujące do niej szerokie spodnie to była cała Victoria. Jak zwykle każdy kosmyk włosów **był** na swoim miejscu. Czy dowodząc swoimi „żołnierzami”, to znaczy zarządzając renomowaną agencją detektywistyczną, czy też opiekując się sześciomiesięczną wnuczką, zawsze była zwarta i gotowa jak generał armii. Uwielbiał to w matce, w ogóle ją uwielbiał. W gabinecie rozsiadła się w fotelu, a Jim porządkował biurko. Sama zaczęła rozmowę, gdy będzie miała na to ochotę. Nauczył się cierpliwości, odkąd jego życie zawodowe skrzyżowało się z działalnością jej firmy.

- Tasha wspomniała, że w tym tygodniu przesiadywałeś dłużej w pracy i spóźniałeś się na wieczorny obiad.

Więc o to jej chodziło...

- Mam na tapecie kilka trudnych spraw... Chyba potrafisz to zrozumieć? - Nie pamiętał zbyt wiele ze swojego wczesnego dzieciństwa, zanim

poszedł do szkoły. Jego serce jako nastolatka pełne było nienawiści i gorzkich oskarżeń wobec rodziców. Dopiero intensywna hospitalizacja psychiatryczna i miesiące terapii psychologicznej pozwoliły przypomnieć sobie chwile wymazane wcześniej z pamięci i zrozumieć, że rodzice bardzo go kochali.

To wszystko należało już do przeszłości.

- Jim - zaczęła matka zmartwionym głosem. - Wiem, że firma jest dla ciebie bardzo ważna. Nikt nie pragnie sukcesu Equalizers bardziej niż ja, ale widzę, że zaczynasz robić ten sam błąd, który popełniliśmy z twoim ojcem dwadzieścia lat temu z haczykiem.

- Błąd? - zapytał retorycznie. Wiedział, że matka winiła siebie za jego porwanie, ale zupełnie niepotrzebnie. Przecież nie mogła mieć pojęcia, że mężczyzna, który go uprowadził, był do tego zdolny. Skąd niby miała to wiedzieć? To, co się stało, nie było ani jej błędem, ani ojca. Zrozumienie tego wszystkiego zabrało mu ze dwadzieścia lat i nie miał już do nikogo pretensji.

- Twój ojciec i ja mieliśmy bzika na punkcie rozwoju agencji, przez co zapomnieliśmy o sprawach, które powinny być dla nas najważniejsze. Umknęły nam sygnały, że ktoś dążył do wyrządzenia nam krzywdy. I to był właśnie ten błąd.

- Mamo. - Jim oparł ręce o blat biurka, pochylił się w jej kierunku. - Nie popełniłaś żadnego błędu.

Leberman - Jim nienawidził myślenia

107

o nim, a co dopiero wymawiania jego nazwiska

- i tak zrobiłby wszystko, żeby wyrządzić krzywdę tobie i tacie.

- Masz całkowitą rację, synu. - Victoria spojrzała wymownie na zegar. - Tylko nie traktuj rodziny w taki sposób, jakby ci się należała za nic. Zapomnisz o niej w najbardziej nieodpowiednim momencie i może się okazać, że miłość twojego życia zniknęła. Będziesz się wtedy pytał, co takiego złego zrobiłeś lub powiedziałeś, a to nie wystarczy, żeby ją odzyskać.

- Dobrze to rozumiem. - Ostatnio Victoria wielokrotnie powtarzała mu tę naukę. - A jak postępuje budowa? - zmienił temat.

Victoria uśmiechnęła się.

- Agencja Colby podnosi się z popiołów. Wszystko postępuje według planu i powinniśmy wprowadzić się do nowej siedziby we wrześniu.

- To świetnie.

- Idź już do domu. - Obeszła biurko i pocałowała syna w policzek. - Twoja żona i córka chciałyby też mieć coś z ciebie.

Cóż, miała rację.

- Jeszcze minutka i zaraz z tobą wychodzę.

- Faktycznie pragnął pojechać już do domu. Pragnął też, by Johnson odnalazł Vaughn... jeśli jeszcze żyła.

A jeśli nie żyła, to przeklęty dupek za to zapłaci.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Everglades, Floryda Po zmroku

Było cholernie ciemno, nic nie było widać.

Tyle też wiedziała. Nie wiedziała natomiast, gdzie, u licha, dokładnie się znajduje.

Uciekała już kilka godzin.

Co jakiś czas spoglądała na wyświetlacz komórki, sprawdzając, czy ma zasięg. Wreszcie musiała się powstrzymać, by nie krzyknąć na cały głos: „Jest”. Wyświetliły się tylko dwie kreseczki, ale to przecież lepsze niż nic.

Wstukała numer do biura i czekała, wstrzymując oddech.

- Colby, słucham.

- Jim, to ja, Renee.

- Vaughn?

Coś przerywało rozmowę. Cholera. Kiepskie połączenie.

Spojrzała na wyświetlacz i zrobiła kilka kroków, by znowu pojawiła się druga kreseczka. Zamarła w bezruchu. Nacisnęła guzik powtórnego wybierania.

- Teraz dobrze słyszysz?

109

- Trochę trzeszczy, ale mów. Vaughn, jesteś bezpieczna?

Powstrzymała się od rozejrzenia się po ciemnym, przerażającym lesie.

- Jestem w Everglades. Dwóch ludzi Victora próbowało nas zabić, zostaliśmy bez niczego w lesie.

Poza tym wszystko w porządku. - Nie była do końca przekonana, czy mężczyzna, z którym była, to Paul, ale ostatnie wydarzenia dobitnie na to wskazywały.

- Czy jest z tobą Paul Reyes?

- Błąka się gdzieś w lesie, ale nie ze mną.

- Czy ludzie Victora was tropią?

- Możliwe.

- Dzwonisz ze swojej komórki?

- Nie. Ukradłam ją jednemu z tych facetów, którzy nas tu przywieźli.

- Okay. Posłuchaj mnie uważnie. Ci dwaj ludzie mogą wykorzystać ten telefon, by cię zlokalizować. Jak skończymy rozmowę, to wyłącz telefon i nie włączaj go, o ile nie będziesz w bezpośrednim niebezpieczeństwie.

- Rozumiem.

- Podaj mi jakieś namiary twojej pozycji.

- Paul wspomniał o parku, coś w stylu: „Dlaczego jedziemy do parku?”. Nie jechaliśmy zbyt długo asfaltem po wyjechaniu z Key Largo. Może jakieś trzydzieści, czterdzieści minut.

- Co jeszcze?

- Nie, tylko tyle.

- Okay. Podejrzewam, że nie masz nic do jedzenia i picia?

- A skąd? Mam tylko telefon.

- Po parku zawsze kręcą się strażnicy przyrody, są tam strażnice z podstawowym prowiantem. Poszukaj takiego miejsca. Nie chcę wysłać po ciebie grupy poszukiwawczej, o ile nie będzie to absolutnie konieczne, za to wysłałem na Florydę Johnsona. Może z przewodnikiem zdoła cię odnaleźć.

Jim nie wyjaśnił powodów, dlaczego nie zamierzał wysłać grupy poszukiwawczej. Musiałby zaangażować Gatesa.

- To ktoś z DEA, prawda? To tam coś się posypało - stwierdziła Renee. Jej misja była prosta. Miała tylko pić wino i jeść kameralne kolacyjki z Paulem Reyesem, a nie uciekać przed śmiercią po bagnach.

- A dlaczego tak uważasz? - po chwili milczenia spytał Jim.

- Agenci DEA byli w rezydencji Paula zaledwie kilka minut po tym, jak przyleciał z Meksyku. Ktoś musiał dać im cynk, że się tam zjawi. Coś tu nie gra. Nawet nie coś, ale wszystko.

- Zgubiłem się, Vaughn. Co masz na myśli, mówiąc, że Paul przyjechał z Meksyku?

Streściła mu wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Myślę, że Victor próbuje przerzucić całą swoją gangsterską przeszłość na brata, by zdobyć czyste konto i nowe życie.

- Postaraj się znaleźć tego Paula Reyesa, jeśli jeszcze żyje. I nie wychylaj się z tym, co wiesz. Nie

wyjaśnij mu rzeczywistych powodów swojego przyjazdu, bo może odmówić współpracy. Wcześniej już podjęła taką decyzję.

- Jeśli uda nam się przeżyć i stąd wydostać, to wolałabym nie wpaść w pułapkę DEA. Może to brzmi jak sen wariata, ale myślę, że powinieneś wtajemniczyć tylko Johnsona i przynajmniej na razie zapomnieć o Gatesie. Tylko on wiedział, że tu przyjeżdżam, a to wszystko wydarzyło się zaraz po tym, jak pojawiłam się w rezydencji Paula. To wygląda na z góry ukartowane działanie. Miałam uwierzyć, że Paul został porwany przez zbirów swojego brata. Ale mieli pecha, bo nagle pojawił się Paul i zepsuł im plan.

- W porządku. Pamiętaj, że możesz użyć telefonu tylko w ostateczności. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Słyszysz?

- Słyszę. Jum, spróbuję znaleźć Paula i wydostać się stąd.

Wyłączyła telefon i zatknęła za pasek stanika. Eleganckie spodnie nie miały kieszeni.

Odetchnęła głęboko i rozejrzała się dookoła. Choć podczas rozmowy z Jimem zgrywała twardą i odważną, cały czas doskonale wiedziała, że jeśli wyjdzie stąd żywa, to tylko za sprawą cudu.

Poruszała się zakosami, licząc na pierwszy cud, czyli odnalezienie Paula. Niestety nie trafiła na niego. Postanowiła odpocząć, dopóki znajdowała się na suchym terenie. Może jeśli poczeka, to Paul sam tu dotrze?

Nie miała pojęcia, gdzie kończył się las i za-

czywały mokradła i szuwary, a tych bała się najbardziej. Do tej pory nieźle nawet radziła sobie z orientacją w terenie. Jeśli dopisze jej szczęście, doczeka świtu, nie spotykając żadnego stworzenia, które jeszcze nie jadło tej nocy kolacji.

Przerażenie zaczęło ją ogarniać, gdy pomyślała, że Paul może już nie żyć. Ci dranie wystrzelali kilka magazynków, a to przecież oznaczało, że chybiali. A może najpierw załatwili podstawowy cel, a potem nieskutecznie strzelali do niej? Jednak musi zakładać, że Paul gdzieś się ukrywa, może nawet jej szuka.

Nie miała zamiaru po raz drugi porzucić kogoś w potrzebie.

Nie uciekała już, więc oddychała spokojniej, nasłuchując odgłosów dzikiej przyrody. Żaby kumkały niskimi tonami, owady bzyczały na wysokiej częstotliwości. Od czasu do czasu zahuczała sowa albo coś chlupnęło w wodzie.

Próbowała opanować strachliwe drżenie, ale najwyraźniej w tej mrocznej stronie świata nie było to możliwe. W ciemności wyobraźnia pracowała na podwyższonych obrotach. Choć Renee do tej pory nigdy nie zwiedzała Everglades, to trochę się orientowała, jakie zwierzęta zamieszkiwały ten teren.

Owszem, jelenie i ptaki były niegroźne, za to cała reszta...

Węże, pająki, aligatory nie należały do jej ulubionych pluszaków.

Nie było szans, by nie trafiła na takie monstrum.

Owszem, bała się, każdy by się bał, szczęśliwie

jednak jako nastolatka zaliczyła sporo leśnych biwaków, nie czuła się więc totalnie zagubiona. Co więcej, wiedziała, że jeśli chce wygrać, musi wziąć się w garść, natomiast poddanie się hysterii równa się kapitulacji i zagładzie. Tak postępuje prawdziwy wojownik w najgorszej opresji, pomyślała. Po odpoczynku znów zacznie szukać Paula, a potem przyczają się gdzieś do świtu. Victor Reyes też był na Florydzie i najprawdopodobniej miał jakąś wtyczkę w DEA. Może to były zbyt pochopne wnioski, ale Renee odebrała już naukę od życia i wiedziała, że nie zawsze należy ufać funkcjonariuszom federalnym. Jej analiza sytuacji opierała się na twardych faktach. Gates był jedyną osobą, która wiedziała, że ona pojawi się na Florydzie, znał cel misji i całą resztę. Niedługo po jej przybyciu do Key Largo wybuchło piekło, a teraz musiała przedzierać się przez las z zabójcami na ogonie.

Skoro nie istniały żadne inne fakty mogące podważyć ten tok myślenia, to musiało być właśnie tak, a nie inaczej. Ktoś w DEA, Gates lub osoba, której opowiedział o jej zadaniu, był kapusiem Reyesa. Stopą wymacała podłoże w okolicy pnia, który wybrała na miejsce odpoczynku. Przykucnęła i z bijącym ze strachu sercem pomacała wokół. Trafiała na wilgotną i chłodną ziemię. Żadnych zwierzaków.

Ostrożnie usiadła i oparła się plecami o kost-

ropaty pień. Rozległ się jakiś chrobot w poszyciu. Co to było? Wąż? Nie, za głośno na węża. Aligator? Za lekki chrzęst. Może ptak? A w ogóle są jakieś nocne ptaki? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Oczywiście poza sowami.

Siedziała bez ruchu i nasłuchiwała. Rozluźniła mięśnie zmęczone od biegu przez las, po godzinach brutalnego traktowania nóg i stóp w eleganckich sandałach.

Wyraźnie słyszała szelest. Coś przesuwano się przez niską roślinność. Przesuwało? To były przytłumione kroki.

Miała towarzystwo.

Jakiś stwór o pionowej postawie.

Tak przynajmniej jej się zdawało.

Człowiek.

A może niedźwiedź? Potrafią łązić na dwóch łapach.

Przykucnęła i osłoniła się skrzyżowanymi ramionami przed atakiem. Panika podpowiadała, by zerwać się i gnać przed siebie. Rozsądek nakazywał siedzieć bez ruchu w absolutnej ciszy.

Wstrzymała oddech.

To coś było coraz bliżej. Poruszało się powoli, ale bez przerwy. To jeden osobnik, zawyrokowała.

Blisko, coraz bliżej.

Serce prawie jej stanęło, gdy to coś przyśpieszyło tuż za jej drzewem i pobiegło dalej.

Sarna. Nie widziała jej, bo było ciemno, ale była pewna, że to była sarna.

Albo pantera.

115

Dreszcz przebiegł jej po plecach. W Ameryce nie żyje już tak wiele panter jak kiedyś, ale gdy człowiek się na taką natknie... Cokolwiek to było, na szczęście odeszło. Odprężyła się.

Odpocznie jeszcze trochę i ruszy na poszukiwania Paula.

Powieki zaczęły jej ciążyć. Zmusiła się do otwarcia oczu i wstała. Gdyby jeszcze trochę tak posiedziała, na pewno by zasnęła. Należało się stąd ruszyć.

Nagle jej usta objęła czyjaś dłoń. Renee krzyknęła, ale jej krzyk został uwięziony w gardle.

Zacząła się wyrywać, żeby uciec, ale silne ramię trzymało ją w uścisku, przyciągało do mocnego ciała.

- Nie bój się, Renee. To był Paul Reyes.

Odepchnęła jego dłoń i odwróciła się do niego.

- Dlaczego tak się skradasz? - wrzasnęła.

- Ciszej - szepnął.

Zamknęła się, nasłuchiwała. Nawet żaby i owady umilkły po tym jej wrzasku, jakby bały się kłopotów.

- Myślałam, że już nie żyjesz - burknęła wrogo, co zabrzmiało, jakby popełnił jakieś straszne faux pas.

- Też tak myślałem.

- Rany, dobrze, że żyjesz. Wciąż nas szukają?

116

- Nie sądzę. - Stał bardzo blisko niej. Tak blisko, że czuła jego ciepło. - Ale musimy się zachowywać tak, jakby nas tropili.

- Jak mnie znalazłeś? - Ciemno, wokół mokradła. Czyżby miał aż tak nadzwyczajny wzrok i słuch?

- Szedłem za tobą wiele godzin. Nie chciałem się zbytnio zbliżać, dopóki nie upewniłem się, że jesteśmy w miarę bezpieczni.

To miało sens. Było mu łatwo, bo posuwał się jej tropem.

- Czy ci faceci z suva to żołnierze Victora?

To byli ci sami ludzie, którzy wcześniej ją uwięzili. Ci sami, którzy zabrali mężczyznę podającego się za Paula Reyesa. Im bardziej zastanawiała się nad dziwnymi wydarzeniami, tym bardziej docierało do niej, że została wystawiona, to wszystko zbytnie ładnie się z sobą składało.

- Tak. To jego ochroniarze, Felipe i Rafael.

- Chcieli cię zabić.

- Tak. Zamordowali mojego gospodarza, zarządcę posiadłości. Tego się właśnie bałem, gdy wróciłem do domu i zastałem go... w takim stanie.

- Victor naprawdę chce zabrać ci tożsamość? Taki ma plan? - zapytała, jakby nadal w to nie wierzyła. A przecież wierzyła, tyle że musiała grać przed Paulem trochę naiwną, a przede wszystkim niezbyt dobrze poinformowaną.

- Na to wygląda - odparł ze smutkiem. Współczuła mu. Doskonale wiedziała, jak czuje się ktoś, kto został perfidnie wykorzystany przez

bliską osobę. Jego brat sprzedawał narkotyki, a jej brat je zażywał. Obaj nie przejmowali się życiem innych ludzi. Społeczne kanalie...

- Powinniśmy tutaj zostać na noc, o ile nie będziemy mieli towarzystwa.

- Okay. W ciemnościach moglibyśmy się zgubić.

Milczenie trwało trochę zbyt długo. By zachować swoją przykrywkę, powinna zadać kilka pytań, których Paul na pewno się spodziewał.

- Dlaczego twój brat chce cię zabić i zabrać twoją tożsamość?

- Żeby uciec od przeszłości. - Paul pociągnął ją z sobą, gdy siadał na ziemi.

Renee poczuła się całkiem nieźle, choć znaleźli się zbyt blisko siebie.

- Długo z sobą nie rozmawialiście?

- Tak. On mieszkał w Meksyku, a ja tutaj. - Westchnął głęboko. - Dopóki nie mogłem dłużej ignorować potrzeb mojego narodu.

- Rozumiem. - Pamiętała, że to samo mówił jej wcześniej.

- Jakiś rok temu zacząłem coraz więcej czasu spędzać w Meksyku.

To też musiało być zgodne z prawdą, bo na kilku jego ostatnich płótnach, które widziała Renee w galerii, były stare kościoły i wioski, natomiast wcześniejsze ujawniały fascynację wodą i niebem.

- Dlatego przyjąłeś zarządcę, by opiekował się domem w Key Largo podczas twojej nieobecności?

- Tak. Nazywał się Harbin. Był dozorcą, za-

rządca, po prostu miał oko na wszystko, co wiązało się z posiadłością. Często do niego dzwoniłem, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku. Przez ostatnich sześć miesięcy nie byłem w domu, ale Harbin meldował, że nic złego się nie dzieje. Jednak przez ostatni miesiąc już się z nim nie kontaktowałem.

Czyli od momentu, gdy brat uwięził go w rodzinnym domu w Meridzie.

- Podczas pobytu w Meksyku nigdy nie spotkałeś się z Victorem?

- Nie. Owszem, ma dom w Mexico City, ale nie znam dokładnej lokalizacji. Obsesyjnie dba o anonimowość.

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie. - Niezbyt ją to ciekawiło, szczególnie w tej chwili, gdy ważne było co innego, ale takie pytanie zwykle zadawało się komuś, kogo chciało się lepiej poznać. -

Pochodzisz z bogatej rodziny?

- Dość zamożnej. Mieliśmy to, co było nam potrzebne do życia, i trochę więcej.

- Czy twoi rodzice żyją?

Znała odpowiedź na to pytanie, ale musiała je zadać, tak jak i szereg innych, by uwiarygodnić swoją przykrywkę. Ich role się odwróciły. W rezydencji to ona była jego zakładniczką, a teraz, w pewnym sensie, on stał się jej zakładnikiem. Musiała go chronić, by później wykorzystać w rozgrywce z jego bratem.

- Nie, umarli. Zostaliśmy tylko z Victorem. Byliśmy szczęśliwymi dziećmi. A jak to dzie-

ci, rywalizowaliśmy z sobą. Ale to przecież normalne.

- Dlaczego chce ukraść twoje życie?

- Bo się boi.

- Czego? - Gdy zapadło milczenie, dodała: - Przepraszam, pewnie nie powinnam o to pytać.

- Zajmuje się nielegalnym handlem.

To bardzo uprzejme określenie, pomyślała z przekąsem.

- Nielegalnym? To znaczy czym handluje?

- Narkotykami.

- Kokainą i innymi prochami?

- Tak.

- Twoi rodzice pewnie byli załamani, gdy się o tym dowiedzieli.

- Umarli, zanim Victor związał się z kartelem. Zginęli podczas wypadku na jachcie. Byliśmy na wakacjach. Przeżyliśmy tylko ja i brat.

Przerażające wspomnienie.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Dwanaście, Victor czternaście.

Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez rodziców w tym wieku.

- Kto się wami opiekował? Mieliście dalszą rodzinę?

- Nikogo. Wychowywali nas pracownicy rodzinnego rancza.

- Rozumiem... - Pomyślała, że marynistyczne obrazy Paula mogą mieć związek ze śmiercią rodziców, ale była to zbyt osobista sprawa, by ją poruszać.

120

Z zadumy wyrwało ją pytanie Paula. Czyli teraz to ona była przesłuchiwana.

- Skąd się wzięłaś w suwie? Przecież powiedziałem ci, że masz się schować.

Źle, pomyślała, usłyszawszy w jego głosie nieufność. Nie mogła go o to winić. W jego sytuacji też byłaby podejrzliwa.

- Dlaczego pytasz?

- Ryzykowałaś życie dla faceta, który mierzył do ciebie z broni kilka godzin wcześniej. Nie zachowujesz się jak stateczny marszand.

Musiała szybko znaleźć dobrą odpowiedź.

- Schowałam się za rogiem, chciałam uciec przez główną bramę - zmyślała. - I wtedy usłyszałam, jak jeden z tych ludzi rozmawia przez komórkę. Mówił, że cię zabiera. Bałam się, że mogą zrobić ci krzywdę, więc wskoczyłam do bagażnika, ukryłam się. Rozumiesz, pierwszy odruch, czysty spontan. Milczenie, które zapadło po jej słowach, wypełniało bzyczenie owadów i żabie kumkanie. Paul na pewno zastanawiał się nad sensem jej działania. Spontan spontanem, ale miał prawo nabrać niejakich podejrzeń.

- Chciałaś mnie uratować, tak? Zadowolenie zatriumfowało nad nieufnością.

To dobrze.

- Tak. Odruch, mówiłam już. Chociaż gdy trochę ochłonęłam, zrozumiałam, że kompletnie nie wiem, jak to zrobić ani dlaczego miałabym to zrobić. - Rozluźniła się odrobinę. Jakoś udało się jej wybrnąć.

121

- Gdybyś tylko widziała mordy tych bandziorów, gdy uruchomiłaś suwa. Widok wart każdą fortunę.
 - Schrzałam sprawę, mogłam spróbować zabrać ciebie. - Zagryzła wargę. - Ale działałam jak w amoku, po prostu musiałam natychmiast coś zrobić.
 - Nie mogłaś mnie zabrać, bo rzuciłem się w stronę drzew, a oni gapili się na samochód. Doskonale to rozegrałaś.
 - Zwyczajny łut szczęścia. Byłam zdesperowana, przecież chcieli cię zamordować. - Nie musiał wiedzieć, że użyła jedynej broni, którą posiadała, czyli mózgu. Szczęście nie miało tu nic do rzeczy.
 - Jak rozumiem, wreszcie uwierzyłaś, że jestem tym, za kogo się podaję.
 - Tak, uwierzyłam, że mówisz prawdę.
 - Czy ostatecznie przekonał cię ten szkic?
 - Częściowo.
 - No tak, przecież nadal mogłem oszukiwać. Nie byłoby dziwne, gdyby Victor też miał plastyczny talent i umiał rysować. A rysowanie i malowanie to coś całkiem innego.
- Jakby zaczęła go bawić ta słowna szermierka.
- Tak, mogłeś.
 - Ale już wiesz, że nie kłamałem?
 - Tak, wiem.
 - Mówiłaś wcześniej, że nie mam twardego dowodu.
 - To prawda. Ale trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego artysta, który tworzy piękno na płótnie,

chciałby zabić własnego brata lub kogokolwiek innego. A to ty jesteś jedynym artystą w rodzinie. Poza tym nie chodzi tylko o rysunek. Sposób, w jaki trzymałeś ołówek... jak szkicowałeś, poruszając grafitem po kartce papieru. - Może powiedziała więcej, niż było potrzeba. Podkurczyła nogi, objęła kolana ramionami. - Mniejsza o szczegóły, wierzę, że jesteś Paulem Reyesem.

- Ocalałaś mi życie. Jestem twoim dłużnikiem. Przybliżył się do niej, pochylił nad nią. Gdyby się odwróciła... nie, nie mogła tego zrobić. Byli zbyt blisko siebie. Lecz to silne pragnienie... Zadrzała.

- Zimno ci?

- Nie,

- Gdy to wszystko już się skończy, może będę w stanie odwdzińczyć ci się w odpowiedni sposób.

- Aha... - To brzmiało jak zaproszenie nie tylko na dobrą kolację. Żeby dojść do takiego wniosku, Renee nie potrzebowała wróżki z kryształową kulą. Musiałaby być kompletnie głucha, by w jego głębokim głosie nie usłyszeć nadziei, pragnienia i czystego pożądanego.

- Chyba rozumiesz, że zapraszam cię do swojego domu, Renee. Nieczęsto zapraszam gości.

- Tak... zdaję sobie z tego sprawę... tylko... zastanawiałam się, co mam odpowiedzieć.

- Boję się, że jeśli rozważasz odpowiedź, to usłyszę nie to, co chciałbym usłyszeć.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Może

123

była zmęczona... może dlatego, że był tak blisko, nie potrafiła wziąć swoich emocji w karby.

- Odpowiedź brzmi „tak”.

- To dobra odpowiedź.

Odgłosy nocnego życia lasu i bagien wypełniły milczenie. Po raz pierwszy od chwili, gdy Paul ją tu odnalazł, Renee poczuła się zupełnie wyczerpana. Potrzebowała snu, ale strach, że w każdej chwili mogą pojawić się ich prześladowcy, odsunął myśl o odpoczynku.

- Nie boisz się, że ludzie Victora mogą nas odnaleźć? - zapytał.

- Trochę.

- Moglibyśmy spać na zmianę.

- Dobry pomysł.

- Śpij pierwsza. Ja będę czuwał.

- Nie wiem, czy...

- Lepiej wypoczniesz, gdy będziesz miała wygodniej. - Objął ją ramieniem, zanim zdołała zaprotestować, i przyciągnął do siebie, by mogła oprzeć głowę na jego piersiach. - Ocaliłaś mi życie. Choć tyle mogę dla ciebie zrobić.

- Nie trzeba, jest mi wygodnie.

Zaczęła się wyrywać, ale przytrzymał ją mocno.

- Już dobrze. Spij. Do świtu blisko, a musisz nabrać sił. Mamy spory kawałek do pokonania.

- Okay. - Oparła się policzkiem o jego bark. Skłamałaby, gdyby upierała się, że nie jest jej wygodniej.

Było jej... wspaniale.

- Za dnia pewnie znów złączą nas szukać - oznajmił ponuro. Mieszkał tu od wielu lat i dobrze

znał okolicę, ten rejon również. Tylko czy to uratuje im życie?

- Myślisz, że zdołasz nas stąd wyprowadzić? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Chyba tak. - Uśmiechnął się lekko. - Znajdziemy wyjście, a jeśli nie, to strażnicy parkowi nas znajdą. Przypuszczam, że właśnie dlatego przestali nas szukać. Odgłosy strzałów niosą się daleko, więc bali się, że zostaną złapani. Jednak szedłbym o zakład, że tu wrócą. Stawka jest zbyt wysoka.

- Pewnie masz rację.

- No to śpij już, dobrze?

Śpij. Łatwo powiedzieć. W jego ramionach? Nie da się. Jej ciało zaczęło rozgrzewać się w miejscach, które niekoniecznie służyły do spania. Jego chyba dręczył ten sam problem, oceniając po lekkim wybrzuszeniu, które poczuła w boku. Jednak miał rację. Jeśli teraz się nie prześpi, jutro będzie do niczego. Tak jak on.

Śpij, rozkazała sobie. Nie myśl o tym facecie, o niespodziewanej bliskości. Rano wszystko będzie prostsze.

O ile nie obudzi się martwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Piątek, 4 maja, świt Zerwał się ze snu.

Świt z trudem przedzierał się przez korony drzew. Dawał tak niewiele światła, że Paul ledwie dostrzegał najbliższe otoczenie. Nie chciał zasypiać, ale wyczerpanie wreszcie go dopadło. Jeśli ludzie Victora nie szukali ich w nocy, to z pewnością zaczną teraz.

Nie był do końca pewien, ale sądził, że znajdują się w tej części parku, którą można przemierzać suchą stopą. Ten kilkudziesięciohektarowy obszar był często patrolowany przez strażników, ale szanse na ocalenie były duże nawet bez ich pomocy.

Renee jak zabita spała w jego ramionach. Będzie potrzebowała siły i odwagi, by wrócić do cywilizowanego świata, zanim znajdą ich ludzie jego brata. A może jej nie doceniał? Przecież zakradła się do suwa, zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby go ratować.

Choć gdzieś w głębi nie do końca jej ufał, lecz i tak pragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego. Jej prawość i bohaterские wyczyny dawały mu dużo do myślenia, podobnie jak tajemnicze pojawienie

się w jego rezydencji w pozornie najmniej właściwym momencie. Nie był w stanie podważyć jej deklaracji, że jest marszandem z Los Angeles, ale przyjazd do jego domu w chwili, gdy Victor zaczął finalizować swoje potworne plany, był zbyt niezwykłym zbiegiem okoliczności. To, że nie uciekła, gdy miała szansę, i to nie raz, tylko dwa razy, kompletnie nie pasowało do niezwiązanej z tą aferą, niewinnej jak lilia pracownicy galerii sztuki. Przecież przy pierwszej nadarzającej się okazji powinna wiać gdzie pieprz rośnie!

Gdyby tak zrobiła, byłby już martwy.

Chciał jej wierzyć. Przecież uratowała mu życie. Winien jej był wdzięczność i lojalność... choćby przez pewien czas.

Aż do następnego rozdania, które może ujawnić... nie wiadomo co. Bo nie był pewien, czy w knowaniach Victora nie kryje się następne dno, w którym może nastąpić przetasowanie zarówno figur, jak i blotek.

Ale to tylko spekulacje.

Minęło mnóstwo czasu, odkąd pozwolił komukolwiek zbliżyć się do siebie, i przywykł do tego stanu. Niewiele i pragnął, i potrzebował od życia, dlatego myśl, że mógłby żądać więcej, wydawała mu się samolubstwem.

Lecz już nie był tym samym co jeszcze niedawno minimalistą, a tak naprawdę ascetą, i nie potrafił odepchnąć od siebie tego pragnienia, które Renee w nim obudziła.

Gdyby okazało się, że jest jego wrogiem, do-

znałby pełnego gorczy rozczarowania. Może po prostu szukała przygody? Spędził wśród ludzi tak niewiele czasu, że nawet nie wiedział, czy jego oceny są rozsądne i wyważone. W jakimś sensie zdziżał, zatracił zarówno instynkt stadny, jak i wycucie społecznych interakcji.

Jedno było pewne - Amerykanki bardzo różniły się od Meksykanek. Może gdyby udzielał się towarzysko, nie byłby tak negatywnie nastawiony do silnych, zdecydowanych i niezależnych kobiet. Przecież te cechy nie muszą jeszcze świadczyć o zepsuciu, braku czułości i oddania rodzinie, dumał. Odgłos złamanej gałązki odwrócił jego uwagę od nierozsądnych myśli. Wraz z ukazaniem się słońca w przyrodzie nastąpiła cisza. Owady już nie brzęczały, a żaby przestały kumkać. Słychać było tylko szelest liści poruszanych wiatrem i plusk wody zanurzających się w mokradłach zwierząt. Jednak dźwięk, który usłyszał, nie pochodził od mieszkańców lasu.

- Renee - szepnął w jej miękkie włosy.

Usiadła i rozejrzała się dookoła.

Przytknął palec do ust.

Znowu odgłos jakiegoś szurania, tym razem znacznie bliżej.

Zmrużyła oczy, już czujna i gotowa.

Wstali ostrożnie, by nie hałasować. Paul delikatnie przywrócił poszycie do naturalnego stanu, by nie odkryto ich śladów. Musieli uciekać. Sprawdzanie, czy być może intruzem jest strażnik

przyrody dokonujący porannego obchodu, byłoby zbyt ryzykowne.

Im dalej poruszali się w głąb parku, tym roślinność stawała się gęstsza, natomiast ścieżka coraz węższa, a wokoło pojawiły się mokradła. Paul zaczynał powątpiewać, czy maszerowanie w tym kierunku to rozsądny pomysł.

Stanął, Renee też się zatrzymała. Najmniejszy hałas mógł zdradzić ich położenie. Nasłuchiwał, czy prześladowcy podążali ich tropem.

Dalsze uciekanie nie miałoby sensu, gdyby okazało się, że pomoc jest blisko. Gąszcz tworzony przez drzewa mangrowe mógł stanowić dobre miejsce na ukrycie i przekonanie się, czy zbliżający się w ich kierunku ludzie byli przyjaciółmi, czy wrogami.

Paul zaczął przedzierać się przez gęste listowie, aż doszedł do gęstych zarośli, które wcześniej sobie upatrył jako kryjówkę. Rodzaj roślinności i podmokła ściółka stanowiły doskonale siedlisko dla węży i aligatorów. Nie miał jednak wyboru i ostrożnie posuwał się dalej, mając nadzieję, że nie wydarzy się nic złego.

Renee została z tyłu.

Paul odwrócił się, lecz nie przywołał jej głosem. Mógł jedynie zachęcić ją wzrokiem. Powinna zrozumieć, że nie mają innego wyboru.

Jakiś ruch kilkadziesiąt metrów za nimi pobudził ją do działania. Ruszyła w kierunku kryjówki w zaroślach.

Gdy tam dotarli, wreszcie mogli odsapnąć. Ści-

gający ich ludzie byli bardzo blisko, wyraźnie się śpieszyli. To świadczyło o tym, że znaleźli jakiś trop. Strażnik przyrody poruszał się swoim rytmem, zgodnym z harmonogramem obchodu, nigdzie nie musiał pędzić. A więc to była pogoń.

Renee wstrzymała oddech, gdy między gałęziami dostrzegła jednego z ludzi Victora, na którego już dwa razy wpadła, odkąd pojawiła się na Florydzie. Za nim szli jeszcze dwaj mężczyźni. Wszyscy uzbrojeni po zęby. Rozdzielili się i każdy ruszył w swoją stronę.

Była przekonana, że jak dotąd żaden z nich nie pofatygował się ku nim, lecz na zdrowy rozum kto wybrałby takie miejsce na kryjówkę? Stali w wodzie do połowy łydek w miejscu, które mogło roić się od węży, i nikt, kto ma choć trochę oleju w głowie, nie urządziłby tu sobie azylu.

Lecz ktoś, kto ma tego oleju trochę więcej, właśnie tak by postąpił. Patrząc na uzbrojonych zbirów, Renee doceniła decyzję Paula.

Dwóch bandziorów rozeszło się na boki, przeczesując las po obu stronach mokradła. Trzeci, który szedł środkiem, wyglądał na ich szefa, co zgadzało się z tym, co Renee już poprzednio zauważyła. Gdy zbiry coraz bardziej zbliżały się do ich kryjówki, serce waliło jej jak młot. Paul krzepiąco objął ją ramieniem.

Gdyby tu ich zamordowano, zasililiby kartotekę

zaginionych bez wieści i uzupełnili dietę tutejszych mieszkańców. Nikt nigdy nie dowiedziałby się o ich losie. Renee mocno przygryzła wargę, by powstrzymać drżenie ust. Bywała już w wielkich opałach, jej życie wisiało na włosku. Podkładano bomby w gmachach sądów. Straszono ją, że jeśli nie odpuści podczas rozprawy, to jej los będzie marny.

Ale teraz było inaczej. Między nią a przestępcami nie stali uzbrojeni policjanci. Ona też nie miała żadnej broni.

Był tylko ten jeden człowiek. Spojrzała na niego kątem oka. Człowiek, który rzadko opuszczał swój dom, artysta, który zapewne nie miał pojęcia, jak walczyć, jak bronić się przed agresją.

Bandzior zatrzymał się, jakby wyczuł swoje ofiary. Renee zastygła ze strachu. Zbir był zaledwie jakieś cztery metry od nich. Powoli rozglądał się dookoła.

Dokładnie w tej chwili Renee stanęła oko w oko z najtrudniejszym wyzwaniem w życiu. Zrozumiała, że jeśli przeżyje pierwszą misję, w wyniku której pojmani zostaną przestępcy, tym samym zda egzamin z odwagi.

Coś płynęło w wodzie, prześlizgnęło się wokół jej łydki, musnęło zimnymi łuskami. Zacisnęła zęby. Wstrzymała oddech.

Bandzior ruszył dalej, najwyraźniej zadowolony z inspekcji terenu. Wąż czy inne oślizgłe wodne zwierzę też odpłynęło w cholerę.

Renee odetchnęła z ulgą. Nadal nie śmiała się

nawet poruszyć. Najcichszy odgłos mógł przyciągnąć oprawców do ich kryjówek.

Nagle poczuła nieodpartą chęć obejrzenia się za siebie, by sprawdzić, czy bandyci nie zachodzą ich od tyłu. Spojrzała na Paula, którego twarz wyrażała tę samą obawę.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Gdyby poruszyli się zbyt wcześnie, zapłaciliby za to życiem. Stali więc bez najmniejszego ruchu.

Jim Colby będzie się martwić, jeśli Renee nie nawiąże z nim wkrótce kontaktu. Było oczywiste, że Victor pozostawał na wolności, bo jego zbiry nadal szukały Paula.

Renee wściekała się na myśl, że agent Joseph Gates mógł działać przeciwko nim. Co chciał zyskać?

Ich klientka, Daria Stewart, uważała, że można mu ufać. Jej nieżyjący brat, policjant, też mu ufał.

Postępowanie Gatesa było najgorszym z możliwych - można go było oskarżyć o współudział w zabiciu policjanta i wspomaganie barona narkotykowego odpowiedzialnego za tysiące kilogramów narkotyków napływających do Stanów, zabierających młodzieży przyszłość... jak jej bratu.

Boże, powinna sprawdzić, co dzieje się w jego sprawie. Może już ustalono nową datę egzekucji. On jednak nie chciał, żeby się w to mieszała. Wiedziała, że powinna sobie odpuścić. To nie twój problem, wmawiała sobie, zaciskając zęby, by powstrzymać emocje i nerwy spinające ciało.

Taką niestety miała pracę, że wciąż stykała się z okropnościami tego świata. A teraz musiała

bezpiecznie wyciągnąć tego faceta z przeklętej dżungli, a potem doprowadzić do ujęcia mordercy i jego współników.

Skup się, pomyślała. Poczekaj, aż oni odejdą, i wtedy ruszaj jak najdalej od tych gnojków.

Dobrze byłoby spotkać strażnika przyrody. Pewnie miałby coś do jedzenia i picia w strażnicy, a także pojazd, którym mogliby się stąd wydostać bez kolejnych incydentów. Renee poczuła olbrzymie pragnienie. Pomyślała jednak, że gdyby ludzie Victora też dotarli do strażnicy w tym samym czasie, to zabiliby nie tylko ich, ale i strażnika. Dobry świadek to martwy świadek.

Teraz mają przed sobą tylko jeden cel: oddalić się od pościgu na jak największą odległość.

Paul przystawił usta do jej ucha.

- Chodźmy już stąd.

Tak bardzo pragnęła zostawić za sobą mokradła, bała się jednak, że jeszcze na to za wcześnie.

- Nie powinniśmy poczekać jeszcze chwilę? - wyszeptała.

- Chyba już jest bezpiecznie.

Niemal bezszelestnie wysunął się z kryjówki. Renee, wstrzymując oddech, poszła jego śladem. Też bez żadnego hałasu. Na zewnątrz odetchnęła z ulgą.

Sandały były całkowicie rozmoczone. I tak długo wytrzymały. Aż wzdrygnęła się, spoglądając do tyłu na błotniste mokradło, w którym się ukrywali.

Paul wziął ją za rękę i ruszyli z powrotem do miejsca, z którego przyszli. Z każdym krokiem

133

szedł coraz szybciej, ale nadal starając się robić jak najmniej hałasu. To ona miała go ratować z opresji, ale teraz pozwoliła mu prowadzić, dopóki nie oddała się od bezpośredniego zagrożenia ze strony uzbrojonych bandytów.

Paul zatrzymał się, niepewny, w którą stronę iść dalej. Renee rozglądała się po zaroślach, żeby przypomnieć sobie, czy tędy wczoraj nie uciekała.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie spojrzała do góry.

Nigdy w życiu, nawet w stodole swojego dziadka, nie widziała tak potężnych pajęczyn. Rozciągały się od drzewa do drzewa.

Po chwili dostrzegła ich mieszkańców. Wielkie pająki, większe od wszystkich, jakie dotąd widziała, o żółto-czarnych nogach i masywnych czarnych odwłokach z czerwonymi plamami.

Strach sparaliżował jej oddech.

Mogła jeszcze znieść węże, tak naprawdę niewiele rzeczy ją przerażało, a w każdym razie potrafiła zapanować nad strachem.

Ale nienawidziła pajaków.

Arachnofobia to paskudna przypadłość. Jak zresztą każda fobia. Najodważniejszy człowiek jest wobec niej bezbronny.

Pociągnął ją za sobą.

Potknęła się i zatoczyła. W jej oczach zamigotał obłęd. Jeszcze nad nim panowała, ale...

- Nie patrz na nie - mruknął.

- Nie patrzę. - Nie pomogło. Nie tym razem. Wiedziała, co się dzieje nad jej głową.

134

- Musimy się pośpieszyć. Oczywiście miał rację.

Renee zmusiła się, by ruszyć w drogę. Oddychała głęboko, broniła się przed przekroczeniem cienkiej linii, nad którą stała. Gdy ją przekroczy, zacznie krzyczeć i uciekać na oślep.

To mogło kosztować i ją, i Paula życie.

Powstrzymała się przed masochistycznym pragnieniem patrzenia w górę. Podobnie ktoś owładnięty lękiem wysokości zerka w dół, ku przepaści, zaznając przedziwnych katuszy.

I nagle poczuła, że kryzys został zażegnany. Owszem, nadal się bała, ale całkiem dobrze panowała nad tym. Cienka linia oddaliła się spory kawałek.

Za nimi rozległ się krzyk. Co, na Boga, się dzieje?!

- Tędy. - Paul pociągnął ją za sobą do gęstszej części lasu. Ziemia była błotnista i grząska. Renee wiedziała, co to znaczy. Znów wejdą do wody.

Węże, aligatory. Mnóstwo tych cholernych „pluszaków”, niech je piekło pochłonie. Jak można kręcić kreskówki dla dzieci z aligatorem w roli głównej?! Co za sadyzm i perwersja...

Spojrzała do góry. Jeszcze więcej pajaków.

Je też niech piekło pochłonie.

Do tego ten piekielny upał. Po prostu zaczął ją dusić. Jak te rośliny wytrzymują w takich warunkach?

I jeszcze pienia się ponad wszelkie pojęcie? - myślała cokolwiek nielogicznie.

W każdym razie jej tropik w ogóle nie służył,

mówiąc delikatnie. Błoto, woda i żar z nieba... no tak, doskonałe środowisko dla flory i fauny. Ale nie dla pewnej rozhisteryzowanej przedstawicielki homo sapiens.

W górze na gałęzi zobaczyła czaplę. To pewnie ona wrzasnęła, gdy nadchodzili. Ptak wzbił się majestatycznie w powietrze i odfrunął.

Renee spojrzała na piękną dziką orchideę. I zapomniała o pająkach.

Paul ruszył w stronę suchszego terenu, zagajnika sosnowego i innych drzew, których nazw nie znała. Nowe schronienie było bardziej znośne niż poprzednie. Przynajmniej nie musieli stać po kolana w wodzie. Niedaleko miejsca, w którym się ukryli, Renee zobaczyła żółwia wygrzewającego się w wąskim pasemku promieni słonecznych, którym jakimś cudem udało się przedrzeć przez gęstwinę gałęzi.

Niedaleko żółwia dostrzegła długi, obły kształt, doskonale zlewający się z podłożem. Z daleka przypominał gnijący pień drzewa. Nagły ruch ostrzegł ją, że nie jest to rozkładająca się kłoda. Wielkie oczy powoli mrugnęły, po chwili zielon-kawo-czarny aligator zsunął się leniwie do wody i odpłynął w siną dal.

Renee zaczęła się zastanawiać, dokąd odleciała czapla. Nie bardzo znała się na łańcuchach pokarmowych zwierząt bagiennych, ale była niemal pewna, że czapla znajdowała się w karcie dań aligatora. Paul szepnął:

136

- Zbiry rozszerzają poszukiwania. Będziemy musieli wziąć się w garść i uciekać szybciej. Sama dobrze to rozumiała. Spojrzała mu w oczy, zobaczyła w nich strach i troskę. Telefon komórkowy uciskał ją w staniku i przypominał, że mogła z niego skorzystać tylko w ostatecznym zagrożeniu, ale włączenie go mogło sprowadzić na nich wroga.

- W którą stronę chcesz iść?

Paul skinął tam, dokąd popłynął aligator.

Renee ucieszyła się. Też zaproponowałyby ten kierunek, co tam aligator.

Podmokły teren zasysał stopy, utrudniając chodzenie i naruszając ciszę.

Stwórca najwyraźniej chciał urozmaicić im ucieczkę, bo zaczęły się podmuchy wiatru, a z oddali dochodził pogłos burzy z piorunami.

Kilka minut później zaczęła się ulewa. Choć nie było widać błyskawic, to czuć było wyładowania elektryczne, a grzmoty dzwoniły w uszach.

Mimo tak trudnych warunków szli dalej, gdy jednak ulewa zamieniła się w nieprzeniknioną strugę wody, przestali cokolwiek widzieć. Wtedy Paul pociągnął Renee w stronę wysokich drzew przylegających do powyginanych, skarłowaciałych man-growców.

Była przemoknięta do suchej nitki. Oparła się o drzewo i otarła krople deszczu z twarzy. Gęste korony drzew chroniły ich przed ulewą. Paul stanął na czatach i bacznie obserwował otoczenie.

Musieli się stąd wreszcie wydostać, choć było to

trudne ze względu na tropiących ich bandziorów. Ciągłe ukrywanie się i chodzenie po własnych śladach graniczyło z obłądem. Wystarczyłoby tylko, żeby ludzie Victora sprowadzili psy tropiące i straciliby szansę na ocalenie.

Żołądek Renee zaburczał z głodu, ale jedzenie znajdowało się na ostatnim miejscu listy priorytetów. Za to woda była kluczowa dla przetrwania. Oczywiście łapana w dłonie deszczówka chwilowo zażegnała kryzys, ale i tak musieli jak najszybciej odnaleźć strażnicę.

Ulewa zmieniła się w siąpiący deszcz.

- Może ruszymy dalej? - spytała. - Musimy stąd wreszcie zniknąć, a najlepiej, jak trafimy na strażnicę.

- Tak. Deszcz pewnie ich powstrzymał, w każdym razie nic nie wskazuje na to, by byli w pobliżu.

Dzięki Paulowi była wyspana i wypoczęta. Mogła iść dalej czujna i skoncentrowana.

- Tędy. - Wziął ją za rękę i zdecydowanie poprowadził przez las.

Nie miała nic przeciwko temu. Przyzwyczaiła się do uścisku jego spracowanej dłoni.

Minęło południe.

Wytał pot z czoła i spojrzał na skrawek nieba widoczny między gałęziami. Upał stworzył efekt sauny.

Ubranie, zamiast wyschnąć, przesiąkało potem. Szli już kilka godzin. Zdawał sobie sprawę, że Renee jest zmęczona i spragniona. Jemu też bardzo chciało się pić.

138

Trudno było dociec, czy poruszali się w dobrym kierunku. Przynajmniej nic nie wskazywało na to, by prześladowcy podążali ich tropem. Jednak im dalej, tym lepiej.

- Poczekaj. - Pociągnęła go za rękę.

- Co zobaczyłaś? - Spojrzał we wskazanym przez nią kierunku i w oddali dostrzegł mały budynek.

- Może to strażnica? - zapytała z nadzieją.

- Całkiem możliwe. Zostań tutaj, najpierw pójde sprawdzic.

- Nie ma mowy. Idę z tobą - odparła stanowczo Renee.

Sprzeczką byłaby tylko stratą czasu. Zdecydowany ton i wyprostowana sylwetka ostrzegły go, że Renee nie odpuści, nieważne, jakie argumenty by przytoczył.

Zbliżając się do budynku, nabrali pewności, że jest to strażnica. A więc wreszcie dopisało im szczęście. Za domkiem stojącym na skraju lasu rozciągały się mokradła i niekończące się morze sitowia.

Paul nagle zatrzymał się. Było cicho. Za cicho.

- Czy ktoś tam jest?

- Strażnicy przyrody mają przypisane tereny do patrolowania. Może tutejszy strażnik jest właśnie na obchodzie.

Sam starał się sobie to wmówić, ale coś w tej pustej okolicy było nie tak. Przeczucie nakazywało zachowanie maksymalnej ostrożności.

- Może jest tam woda.

139

Renee ruszyła przodem, a on pobiegł za nią.

- Musimy uważać, żadnej brawury - szepnął.

- Masz rację - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

W tym spojrzeniu dostrzegł błysk zaufania, co bardzo go poruszyło. Tak bardzo pragnął opiekować się Renee, zapewnić jej bezpieczeństwo. Ujął jej dłoń, i w tym prostym geście zawarta była czułość. Miał cichą nadzieję, że Renee podziela jego emocje.

Zbliżyli się do budynku. Paul obszedł narożnik i ruszył w stronę drzwi. Tuż za nim szła Renee.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. W środku znaleźli to, czego się spodziewali - biurko, półki i szafki.

Ale nie zastali strażnika.

Ani nie znaleźli krótkofalówki.

Renee przeszukała półki i szafki.

- Nie powinno gdzieś tu być radio?

Paul powtórnie zajrzał do miejsc, które Renee już raz przeszukała.

- Niekoniecznie. Może mają krótkofalówki i noszą je przy sobie.

Nie mieli wielkiego powodu do radości.

- Przynajmniej jest tu woda. - Wydobyła z szafki butelki i pakiety z suszoną żywnością.

- To przypomina racje wojskowe.

Nie mieli wyboru, musieli poczekać na strażnika przyrody. A skoro tak, to mieli wreszcie czas, by się pożywić. Napili się wody i przegryźli tym, co znaleźli w pakietach.

140

- Jak myślisz, jak długo poczekamy na powrót strażnika? - zapytała. - Jasne, nie ma pewności, czy w ogóle się zjawi, ale może jednak warto poczekać? Przynajmniej nie napatoczymy się na pościg.

Paul nie wiedział, co jej odpowiedzieć, bo wiedział tyle samo co ona. Nie znał regulaminu straży, nie wiedział, ile trwa obchód i czy kończy się tutaj. Poza tym, skoro strażnica nie była zamknięta na klucz, a w szafce były woda i jedzenie, to mogło się wydawać, że ktoś już tu dzisiaj był. Ale dlaczego zostawił otwarte drzwi? To chyba nie było zgodne z zasadami.

- Nie chcę się wymądrzać, bo trudno się domyślić, kiedy strażnik wróci z obchodu. A odpowiadając na twoje drugie pytanie, to uważam, że możemy tu zostać tak długo, jak tylko będziemy się tu czuli bezpieczni.

- Jakie okoliczności masz na myśli?

- Drzwi nie były zamknięte na klucz. Jesteśmy tu już prawie od godziny i nikt jeszcze się nie pojawił. Renee podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

- Tak właśnie myślałam. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Albo strażnik, który jest odpowiedzialny za ten rejon, zaginął, albo też w ogóle tutaj się dziś nie pojawił. Zagadką pozostaje tylko, kto otworzył drzwi?

Paul doskonale rozumiał, co ma na myśli. Ludzie Victora mogli już tu być albo trafili na strażnika podczas pościgu.

141

Kłódka i kawałek łańcucha znalezione na biurku świadczyły o tym, że zwykle budynek zamykano na klucz oraz że użyto klucza, by go otworzyć, bo nie było żadnych śladów włamania. A skoro wnętrze nie zostało splądrowane, to mogło to oznaczać, że albo ludzi Victora w ogóle tu nie było, albo zjawili się tu tylko po to, by sprawdzić, czy ktoś się nie ukrywa.

Renee stała przy oknie i przyglądała się zdradliwemu pięknu przyrody.

- Słuchaj, a jak strażnik tu dociera? - Spojrzała na Paula. - Pieszko?

Pomyślał o mokradłach i sitowiu.

- Sądzę, że małym ślizgaczem do poruszania się po bagnach, takim z wiatrakim z tyłu.

- To gdzie jest ten ślizgacz?

- Może popłynął nim na misję ratunkową? Tak bardzo się śpieszył, że zapomniał zamknąć strażnicę na klucz.

- Więc czekamy dalej? Rozłożył bezradnie ręce.

- Możemy poczekać, chyba że wolisz znowu zmierzyć się z dżunglą i jej cudownymi mieszkańcami.

Nie mówiąc o zbirach, którzy chcą nas dopaść. Strażnik w końcu tu wróci. - Jeśli jeszcze żyje, dodał w myślach.

Renee zadumała się na moment.

- Mamy wodę i jedzenie. Jest tu sucho. - Rozejrzała się dookoła. - No i nie ma pajaków.

- Absolutna racja - odparł z uśmiechem.

- Głosuję za tym, żeby tu zostać. Prędzej czy

142

później ktoś musi się tu pojawić - oświadczyła rezolutnie.

- No to zostajemy. Renee podeszła do szafki.

- O! Mamy nawet papier toaletowy. Muszę pójść przypudrować nosek - oznajmiła niczym dziewiętnastowieczna dama w podobnej sytuacji.

Paul zerwał się na nogi.

- Nie powinniśmy się rozdzielać. Renee uniosła dłoń.

- Wybacz, ale muszę być przez chwilę sama.

Zanim zdążył zaproponować, wyszła z chatki. Jasne, miała rację, lecz i tak nie podobało mu się, że zostawił ją bez opieki.

Da jej dwie minuty.

Jeżeli w tym czasie Renee nie wróci, sprawdzi, co się dzieje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Znów rozejrzała się dookoła.

Znalezienie ustronnego miejsca nie było trudne. Szybko załatwiła swoją sprawę, zachowując pełną czujność na odgłosy i ruch w pobliżu.

Na pewno w tym, że zgubili bandziorów, pomógł im deszcz, jednak czy nadal mogą liczyć na takie szczęście? Ukrywanie się w strażnicy **może** i było dobrym pomysłem, ale pozostawanie zbyt długo w jednym miejscu było ryzykowne.

Jeszcze raz rozejrzała się, zanim wyszła z kryjących ją krzaków. Pusto. Im szybciej wróci do Paula, tym bezpieczniej będzie się czuła.

Jednak najpierw powinna skontaktować się z Jimem. Włączyła telefon. Niestety, nie było zasięgu.

Cholera. Wyłączyła komórkę i wsunęła do stanika. Znowu rozejrzała się po otoczeniu, by upewnić się, że nic jej nie zagraża. Kątem oka dostrzegła jakiś przedmiot leżący między zaroślami a gęstymi trawami. Kucnęła. To była część latarki. Przysunęła się bliżej, by ją wziąć do ręki.

Dotknęła twardego plastiku. Chwyciła go w palce i próbowała podnieść z ziemi. Latarka była jakby... przyczepiona do czegoś.

144

Pociągnęła mocniej... i wraz z latarką wyrwała z płataniny traw rękę.

Renee osunęła się w tył. Zaciśnęła dłonie na ustach, by nie krzyknąć rozdzierająco. Serce waliło jej jak szalone. Dłoń przechodziła w ramię, które ginęło w zaroślach.

Nie krzycz, rozkazała sobie. Tylko nie krzycz.

Zobacz, kto to. Jesteś... byłaś prokuratorem, widziałaś niejedne zwłoki.

Jednak nigdy nie uodporniła się na te makabryczne widoki.

Zawsze jednak dawała sobie radę na miejscu zbrodni.

Tak będzie i teraz.

Podczołgała się do kępy krzaków, rozchyliła gałęzie i zobaczyła resztę ciała. To był mężczyzna. Leżał z twarzą w dół. W mundurze. Martwy.

Dotknęła jego ręki.

Była zimna i sztywna. Stężenie pośmiertne objęło całe ciało. Był martwy od wielu godzin.

Nie człowiek więc już, a denat.

Teraz musiała ustalić tożsamość zwłok, nie zacierając śladów na miejscu zbrodni.

Może pójść po Paula?

Popatrzyła w stronę strażnicy. Nie, to tylko strata czasu.

- Zrób to wreszcie, trzęsąca się galareto! - syknęła.

145

Pomogło.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni denata i wyciągnęła portfel. Znalazła prawo jazdy. Dennis Frisk z Marathonu na Florydzie. Schowała portfel tam, skąd go wyciągnęła, i wytarła palce o nogawki własnych spodni.

Przekreśliła głowę na odgłos zbliżających się kroków.

Szybko skoczyła za krzewy kryjące zwłoki i wstrzymała oddech. To tylko Paul.

Odetchnęła głęboko i wstała.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Znalazłam strażnika przyrody.

Paul był przy niej, zanim zdążyła się zorientować, i uklęknął, żeby przyjrzeć się zwłokom. Dotknął szyi, by sprawdzić tętno. Dopiero wtedy Renee dostrzegła, że szyja strażnika była dziwnie skrzywiona. Ktokolwiek go zabił, zrobił to gołymi rękami. Skręcił kark.

Paul zaczął odwracać zwłoki na plecy.

- Zostaw! Co robisz?! - krzyknęła, łapiąc go za ramię. - To miejsce przestępstwa. Nie wolno niczego ruszać. - Była pewna, że doskonale to rozumiał, jak każdy, kto czytał lub widział choćby kilka kryminalów, zarazem jednak nie znał żelaznych, policyjno-prokuratorskich zasad postępowania ze zwłokami. A ona je znała... i właśnie zdradziła się z tym przed Paulem. Niestety nie mogła cofnąć swoich słów.

Podniósł głowę, spojrzał na Renee.

- Szukam krótkofalówki albo telefonu komórkowego.

Ach. Powinna była sama o tym pomyśleć. A także o tym, że nie powinna zdradzać swej profesjonalnej wiedzy. W razie czego skłamała, że jest fanką filmów sensacyjnych i kryminalnych, a portfel sprawdziła instynktownie, by poznać tożsamość ofiary.

Poza wszystkim Paul miał rację. Potrzebowali pomocy. Krótkofalówka albo telefon komórkowy z zasięgiem to dla nich niepowtarzalna szansa na ocalenie. Dobrze wiedziała, że naruszenie miejsca przestępstwa w sytuacji zagrożenia życia było uzasadnione.

- Wracajmy do strażnicy - powiedział Paul. Skinęła głową, po czym z dłoni denata wyciągnęła latarkę. Mogła się jeszcze przydać.

Śmierć strażnika przyrody nie była przypadkowa. Zrobili to ludzie Victora. Tego była pewna. I taki los może spotkać ją i Paula, jeśli szybko się stąd nie wydostaną.

W chatce Renee objęła się ramionami i chodziła wolnym krokiem z kąta w kąt, zastanawiając się, jak stąd zniknąć, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Nie wiedziała, w którym kierunku powinni wyruszyć. A przecież w lesie czyhało na nich trzech morderców.

Musiała coś wymyślić, bo jeśli nie... Zdawała sobie sprawę, że powinna lepiej to wszystko rozgrywać. Myśl, myśl.

Po chwili uznała, że powinna spojrzeć na tę

147

całą sytuację jak na proces sądowy. Gdy argumenty oskarżenia były obalane, należało się wycofać i przegrupować, powtórnie przeanalizować fakty i linię oskarżenia, a potem uderzyć w innym kierunku. Czekanie w domku i zastanawianie się, czy zostaną zamordowani, czy też może ktoś ich uratuje, było fatalnym wyjściem.

Zerknęła na Paula, który właśnie studiował mapę parku.

- Powinniśmy się stąd wydostać, zanim zrobi się ciemno - oświadczyła.

Paul spojrział na nią znad mapy.

- Oczywiście. Chyba ustaliłem naszą pozycję.

- Doskonale.

Renee otworzyła szafkę z zapasami, wyciągnęła dwie butelki wody i podeszła do biurka.

- Weź po jednej do kieszeni. - Podała mu butelki. - Ja nie mam ich gdzie schować.

Zrobił, o co prosiła, i wskazał mapę.

- Zobacz, tu jesteśmy. A musimy dotrzeć do tego miejsca. - Pokazał palcem. - Tam jest motel i bistro.

To był już jakiś plan.

- Trafisz tam?

- Chyba tak. - Wsunął latarkę do tylnej kieszeni dzinsów. - To spory dystans. Możemy nie zdążyć przed zapadnięciem zmroku.

- No to musimy wyciągać nogi.

Gdy wyszli na zewnątrz, Renee zawahała się. Nie mogła stąd odejść bez dopełnienia ważnego

obowiązku, który każdy uczciwy gliniarz wypełniłby bez dyskusji. Strażnik przyrody Frisk nie zostanie pewnie znaleziony przez wiele godzin, a dzikie zwierzęta bywają głodne.

- Powinniśmy przenieść ciało do chatki - powiedziała.

- Dobrze. Zrobię to, a ty rozglądaj się dookoła. Gdy zwłoki znalazły się w strażnicy, ruszyli do leśnej gęstwiny. Paul przejął na siebie rolę przewodnika, bo przestudiował mapę i orientował się, w którym kierunku powinni iść. Słońce nadal było wysoko. Mogła być druga po południu, mieli więc około pięciu godzin do zapadnięcia zmierzchu.

Musieli iść szybko. Renee nie miała ochoty spędzić kolejnej nocy w lesie, i to z ludźmi Victora depczącymi im po piętach.

Pensjonat odnaleźli tuż po zmroku.

Gdyby Renee nie była potwornie wyczerpana, to rzuciłaby się na szyję Paulowi i go ucałowała.

Wmówiłaby sobie, że to wyraz wdzięczności, lecz prawda była inna. Paul doskonale sobie poradził, wyprowadzając ich z dzikiego lasu. Gdyby ona była przewodnikiem, trwałoby to dwa razy dłużej.

Praca zespołowa okazała się bardzo owocna, ale nie zamierzała wyjawiać mu istoty rzeczy. Nie miała broni ani żadnego innego środka przymusu, by utrzymać przy sobie Paula, ale to on był teraz jej zakładnikiem. Zdobywając jego zaufanie, osiągnęła zamierzony cel.

Dopóki Victor Reyes nie znajdzie się w aresz-

149

cie, Paul był ich asem w rękawie. Ale wcale nie musiał o tym wiedzieć. Gdyby poznał prawdę, mogłoby się okazać, że nie chce współpracować i po prostu by uciekł. Renee nie wierzyła, że po tym wszystkim, co mu się przytrafiło, chciałby w jakikolwiek sposób pomóc bratu, ale nie oznaczało to, że przyłączyłby się do jej działań. Stali na brzegu lasu i obserwowali pensjonat.

- Trzy pokoje są zajęte - stwierdził Paul.

Jej też się tak wydawało. W pozostałych pokojach nie świeciło się, a przypisane do nich miejsca parkingowe były puste.

- Doliczyłam się dziesięciu samochodów. Pewnie należą do gości bistra.

- Albo do pracowników.

Na szczęście nie było nigdzie czarnego suwa, ale to nie oznaczało, że siepacze Victora nie kręcili się w pobliżu. Przecież mógł wysłać tu więcej ludzi, wtedy przyjechaliby innymi samochodami.

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Jedno z nich będzie musiało wejść do bistra. Wysyłanie Paula byłoby zbyt dużym ryzykiem, więc nie wchodziło w grę.

To musiała być Renee.

Przezcesała włosy palcami, obciągnęła bluzkę. Jej ubranie było suche i w miarę czyste.

- Idę zbadać sytuację.

Paul położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie, ja pójdę.

- Nie ma mowy. - Stanowczo pokręciła głową. - Jeśli kręcą się tu ludzie Victora, to nie ma

możliwości, żeby mnie rozpoznali. Za to z tobą nie będą mieli żadnego problemu. Jesteście podobni do siebie jak bliźniacy.

- Nie. - Uścisk dłoni Paula zwiększył się. Jego opiekuńczość sprawiła, że zrobiło się jej ciepło w środku, nawet jeśli zarazem trochę się wkurzyła. Łatwo mogłabym się przyzwyczaić do takiej troskliwości, pomyślała. Choć tylko do pewnych granic.

- Nic mi się nie stanie. - Delikatnie strząsnęła jego dłoń z ramienia. - Nie pokazuj się nikomu na oczy, dopóki nie sprawdzę, czy jest bezpiecznie.

- Trzy minuty. Jeśli nie wrócisz za trzy minuty, wchodzę.

- Daj mi pięć minut, okay?

- Okay.

Nie mieli zegarków, więc była to tylko taka orientacyjna miara czasu, ale potargować zawsze warto. Zamiast „załatw to bardzo szybko” wywalczyła więc „załatw to szybko”. Dobrze i to.

Przed wejściem do bistra jeszcze raz przyglądała włosy i odetchnęła głęboko. Zdawała sobie sprawę, że wyglądała, jakby uciekła z piekła, ale nie miała innego wyjścia.

Teraz albo nigdy.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Zapach grillowanego i smażonego mięsa natychmiast pobudził jej soki żołądkowe. Na szczęście nie była to ekskluzywna restauracja, więc przy wejściu nie czekała na nią hostessa prowadząca klientów do stolika. Było to zwykłe bistro, jakich tysiące znaj-

dowało się w miastach, miasteczkach i turystycznych atrakcjach w całych Stanach Zjednoczonych. W środku mieściło się około dziesięciu stolików o blatach pokrytych plastikowym laminatem. Krzesła obite były żółtym skajem, a podłogę wyłożono czarnymi i białymi kafelkami. Jedną ścianę zajmował długi bar ze stołkami. Do kuchni prowadziły podwójne drzwi.

Renee podeszła do lady i wzięła do ręki menu po to tylko, by znad karty przyjrzeć się wszystkim w bistrze. Nie rozpoznała żadnej twarzy. Większość stanowiły rodziny z dziećmi. Siepacze Victora raczej nie podróżowaliby z rodzinami. Jeśli światu i ludzkości dopisze trochę szczęścia, to ci faceci nie będą mieli już szansy na spłodzenie potomstwa.

- Zamawia pani coś na miejscu czy na wynos?

Renee odłożyła menu i uśmiechnęła się do kelnerki za ladą. Gdy już myślała, że nie ma określonego planu działania, doznała olśnienia.

- Nie, dziękuję. Przyjechałam na spotkanie z kuzynem. - Wskazała ręką na młodego pomocnika sprzątającego ze stołu po drugiej stronie sali.

Kelnerka wzruszyła ramionami i zajęła się wycieraniem ściereczką baru.

Renee zwilżyła usta i zastanawiała się, jak zacząć rozmowę z chłopakiem, który niby miał być jej kuzynem. Był wysoki, chudy i pewnie mógł już prowadzić samochód. Nie podniósł wzroku, dopóki Renee nie podeszła do stolika, z którego sprzątał.

- Cześć. Wygląda, że dziś jest tu spokój. Chłopak rozejrzał się znacząco po sali.

- Szkoda, że nie było tu pani wcześniej. Dom wariatów, po prostu wariatkowo.

Musiała wyciągnąć od niego informacje bez odwoływania się do lepszej strony jego duszy w stylu: „Pomóż mi, bo w przeciwnym wypadku zginę”. U przeciętnego człowieka w takich sytuacjach owa lepsza strona duszy zasypia, natomiast budzi się ta druga i nakazuje jak najszybszą rejteradę.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę w pracy, ale mój samochód nie chce odpalić. Chyba padł akumulator. Czy mógłbyś mi pomóc i odpalić go z kabli od swojego auta?

Chłopak zmarszczył czoło, patrząc na pięć stolików, które pozostały do sprzątnięcia. Najwyraźniej mówił przed chwilą prawdę o ilości klientów, a Renee przysła, gdy był już święty spokój.

- Proszę, nie odmawiaj. Nie mam się do kogo zwrócić o pomoc.

- Okay - zgodził się z westchnieniem. - Gdzie stoi pani samochód? Bo mój jest z tyłu.

- Na parkingu przed bistro.

- No dobrze, chodźmy. - Wziął tacę z brudnymi talerzami. - Muszę to odnieść i wziąć klucze.

- Dzięki. To miłe z twojej strony, że chcesz mi pomóc.

Poszła z nim przez kuchnię. Dwóch kucharzy i pomocnik myjący naczynia podnieśli na nią wzrok, by spojrzeć na intruza w zakazanej dla gości strefie, lecz zaraz wrócili do pracy.

153

Chłopak postawił tacę i powiedział:

- Zaraz wracam.

- Nie powinieneś sobie robić przerwy na fajkę, zanim nie sprzątniesz ze wszystkich stołów. Jeśli będziesz miał opóźnienie, to co dopiero stanie się ze mną? - marudził pomywacz.

- Nic wielkiego się nie stanie. - Chłopak wziął kluczyki ze stolika przy tylnym wyjściu z kuchni. Pomywacz przekreślił głową i zajął się pracą, natomiast Renee przylepiła do twarzy głupi uśmiezek i wyszła za swoim „kuzynem”. Miała nadzieję, że pomywacz nie ruszy za nimi, by zobaczyć, co takiego mieli zamiar razem zrobić.

- Ten gość to dupek - skomentował zachowanie pomywacza chłopak. Podszedł do niebieskiego pikapu, który bezwzględnie zasłużył sobie na określenie antyk. - To moja bryka. Proszę wsiadać. Pojedziemy do pani samochodu. - Uśmiechnął się szeroko do Renee. - A tak przy okazji, mam na imię Kenny.

- Renee. - Z uśmiechem wsiadła do auta. - Mieszkasz gdzieś tu w okolicy?

- We Florida City - odpowiedział, zapalając papierosa. Po chwili zreflektował się, więc opuścił szybę.

- A ty?

- Nie jestem stąd. Przyjechałam na wycieczkę po parku, która nieciekawie się zakończyła.

- Zgubiłaś się? - Kenny zmierzył ją od stóp do głów, po czym zapalił silnik i ruszył.

Już chciała zacząć coś zmyślać, ale zdecydowała,

że skoro jej wygląd na to wskazuje, to równie dobrze mogła powiedzieć część prawdy.

- Tak. Spędzenie nocy na bagnach nie było w moim planie urlopowym. Raczej nieprędko tu wrócę. Kenny roześmiał się od ucha do ucha.

- Turyści gubią się bez przerwy, a jednak ciągle wracają. Musi im się tu podobać.

Nie chciała dyskutować na ten temat, ale z całą pewnością to nie była jej wymarzona okolica. Wystarczyły jej ulice Chicago. Zdecydowanie wolała miejskich złodziejasków czy chuliganów od aligatorów na dzikich mokradłach.

Podjechał do końca budynku i zahamował.

- Który jest twój? - zapytał, przyglądając się zaparkowanym samochodom.

Teraz musiała się wykazać dyplomatycznym talentem.

- Zastanawiam się, czy...

Najpierw poprosi Kenny'ego, by odwiózł ją i Paula do miasteczka. Chłopak jest w pracy, więc nie może tego zrobić. Ona zaś tak go omota swoim urokiem, że sam zaproponuje, by pożyczyci od niego półciężarówkę.

No, Renee, pokaż mu swój najpiękniejszy uśmiech!

Nagle przed bistro wtoczył się wielki, czarny SUV i zaparkował.

Przez trzy pełne sekundy siedziała jak zamurowana, jakby jej mózg w ogóle nie chciał zarejestrować tego wydarzenia. Z samochodu wysiadło

155

dwóch mężczyzn, których twarze do końca swoich dni na pewno nie zapomni.

Bandziory Victora.

To zupełnie zmieniało całą sytuację.

- Hej, Renee, który samochód jest twój? - zapytał się ponownie Kenny. - Muszę za chwilę wracać do pracy, bo wuj się wścieknie.

No to koniec z kłamstwami, dyplomacją i przepięknymi uśmiechami.

- Posłuchaj, Kenny... - Patrzyła, jak tamci dwaj wchodzi do bistra. Najwyraźniej trzeci facet był martwy, zgubił się albo pojechał swoim samochodem. Renee spojrzała Kenny'emu prosto w oczy. - Ci faceci, którzy właśnie przyjechali i weszli do bistra, chcą mnie dorwać. To bandyci. Muszę stąd uciekać. - Przyszedł czas na najtrudniejszą kwestię. - Kenny, muszę pożyczyć twój samochód.

Chłopak roześmiał się, ale raczej nie był rozbawiony.

- To żart, prawda?

- Niestety nie.

- Posłuchaj, tak naprawdę to nie jest moja bryka. Mógłbym wpaść w niezłe tarapaty, gdyby mój ojciec się o tym dowiedział.

Renee popatrzyła mu prosto w oczy i wyznała prawdę:

- Oni chcą mnie zabić.

- Spadaj z wozu! - wrzasnął ktoś z silnym latynoskim akcentem.

Renee spojrzała przez okno na mężczyznę, który

szarpnął za klamkę i otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Spadaj, mówię! - powtórzył groźnie Paul.

- Co tu się dzieje? - Kenny odwrócił się do Renee. - Urwaliście się z choinki czy jak?

- Pożycz nam samochód, a wszystko dobrze się skończy.

Kenny uznał, że z wariatami lepiej się nie szarpać i wysiadł z wozu, ustępując miejsca Paulowi, który natychmiast ruszył jak rajdowiec. Pikap, choć antyk, pod maską stadko koni jeszcze miał.

- To nie było potrzebne - marudziła, obserwując, jak Kenny pobiegł na tyły budynku. Przecież zaraz wszystkim opowie, co się stało, zrobi się sensacja, i za chwilę będą mieli bandziorów na ogonie.

Cholera! Powinni wziąć chłopaka z sobą. Ale wtedy i jemu mogłoby grozić niebezpieczeństwo.

- Kiepsko ci szło przekonywanie tego dzieciaka.

Renee nie chciała się z nim kłócić. Była skupiona na drzwiach wejściowych do bistra. Na razie jeszcze nikt przez nie nie wychodził. Nie wiedziała, czy wystarczy im ten mały zapas dystansu, który zyskali nad nieuchronnym pościgiem.

Gdy bistro ginęło już jej z oczu, dostrzegła dwóch facetów wybiegających w pośpiechu na zewnątrz.

- Jasna cholera!

- Ścigają nas?

- Tak. Wybiegli z bistra.

157

Nie mieli szansy uciec tym facetom starą pół-ciężarówką.

- Skręć gdzieś!

- Co?

- Skręć w bok. W lewo. W prawo. Nie ma znaczenia. Po prostu skręć, zanim nas zobaczą!

Paul ostro skręcił w lewo. Opony zapiszczały, a Renee omal nie wypadła z siedzenia. Pikap podskoczył na wybojach bocznej, szutrowej drogi.

- Wyłącz światła! Szybko!

Paul wykonał polecenie. Odjechali jeszcze trochę od głównej drogi, stanęli i wyłączyli silnik.

Odwrócili się, by obserwować drogę, z której zjechali w takim pośpiechu.

Minęła minuta, dwie, trzy...

Jeśli mieli odrobinę szczęścia, to bandyci nie zauważą, że zjechali w bok. Ale gdyby zwolnili... i mieli silną latarkę... to byłby koniec.

Czarny SUV przemknął z olbrzymią prędkością.

Renee odetchnęła z ulgą.

- To był dobry pomysł - pochwalił ją Paul.

- Powinniśmy jeszcze odczekać chwilę. - Rozparła się w siedzeniu.

Paul oparł głowę o tył kabiny i głośno wypuścił powietrze.

- Kolejny dobry pomysł.

Nocne odgłosy Everglades wdarły się do samochodu. Powietrze było aż gęste od wilgoci. Renee odwróciła się do Paula. Nie widziała go dokładnie, tylko zarys profilu. Ale nie musiała go widzieć.

Zapamiętała jego twarz, ruch ust, gdy

mówił. Sympatyczny, spokojny człowiek, wrażliwy, utalentowany artysta. Jak to się stało, że jego brat był brutalnym, złym człowiekiem?

- Masz mi coś do powiedzenia?

Zadrżała na dźwięk jego głosu. Poruszyła się na kanapie, spojrzała przez przednią szybę. To nie był najlepszy moment na przeżywanie zauroczenia.

- Nie... Zastanawiam się tylko, dokąd powinniśmy teraz pojechać.

- Jego nic nie zatrzyma.

Chciała wyznać mu, że też coś wiedziała o braterskiej zdradzie. Bo przecież czuła się zdradzona. Ale to nie był czas na takie rozważania, rozdrapywanie ran, psychologiczne dywagacje. Powinni się cieszyć, że wciąż żyją. Zagłębianie się w przeszłości, zapominanie o tu i teraz mogłoby to zmienić. Musiała skupić się na rozwiązywaniu bieżących problemów.

- Wiem - odparła z powagą. Victor nie zaprzestanie pogoni, dopóki jeden z braci nie zginie.

- Kim naprawdę jesteś, Renee Parsons?

Mogła jeszcze trochę kłamać, trzymać się swojej przykrywki, dopóki nie skontaktuje się z Jimem Colbym i wspólnie nie zapewnią Paulowi bezpieczeństwa. Jednak wyznanie całej prawdy niosło określone zagrożenie. Bez Victora cały wysiłek pójdzie na straty, a nie miała żadnej gwarancji, że jeśli Paul pozna szczegóły akcji, po prostu całą prawdę, którą przed nim do tej pory ukrywała, będzie chciał dalej współpracować.

159

Potrzebowała go, by zakończyć misję sukcesem.

Nie musiała już dodawać kolejnych kłamstw do całej długiej listy, kłamstw, które oddzielały ich od siebie. Nie chciała się jeszcze bardziej od niego oddalać, bo przeżyli już tyle, że kiedyś trzeba będzie wreszcie uporządkować cały ten bałagan. Ale jeszcze nie teraz.

By więcej nie kłamać, musiała odwrócić jego uwagę.

Gdy już wpadła na ten szaleńczy pomysł, nie było od niego odwrotu. Pocałowała Paula w policzek. Zaledwie musnęła ustami ciepłą skórę, a już przeszedł przez nią dreszcz podniecenia. Palce Paula zaplątały się w jej włosy, zanim zdążył się cofnąć. Przyciągnął ją do siebie, żeby mogły spotkać się ich usta.

Połączyli się w głębokim pocałunku.

Dotyk Paula był delikatny i czuły, jej usta miękkie i gładkie.

Już pieścił jej piersi, Renee była wniebowzięta. Dotknęła jego brody, posunęła palce dalej, wplotła je we włosy. Pragnęła być jeszcze bliżej, pragnęła czegoś więcej niż tylko pocałunku. Pragnęła, by trzymał ją w swoich ramionach jak minionej nocy. To niesamowite, że doprowadził ją do takiego stanu samym tylko pocałunkiem.

Ale zabójcy na usługach Victora mogli w każdej chwili wrócić.

Uwolniła się od zaborczego pocałunku Paula.

Musiała zmusić się do powrotu do rzeczywistości.

160

- Nie jesteśmy tutaj zbyt bezpieczni.

Jego wahanie sprawiło, że zaczęła się bać kolejnej porcji indagacji na temat, kim ona tak naprawdę jest.

- Dokąd powinniśmy jechać?

- Do mojego hotelu. Pewnie się nie spodziewają, że zaryzykujemy powrót do miasteczka.

- A potem?

Przyglądał się jej uważnie. Było ciemno, więc Renee nie widziała wyraźnie wyrazu jego oczu, jedynie cienie na twarzy. Ale patrzył jej prosto w oczy. Żądał odpowiedzi. Zasłużył sobie na nią.

Ale jeszcze nie teraz.

- Potem coś wymyślimy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Key Largo, Floryda 19:45

- Nie najlepiej to wszystko wygląda, panie Johnson.

Sam Johnson przez chwilę przyglądał się agentowi DEA Josephowi Gatesowi, wreszcie odpowiedział:

- Nie ma krwi. Nie ma śladów walki. Nie ma nic. - Patrzył przez ścianę z szyb na fantastyczny widok oceanu, który tworzył naturalną, poruszającą się i zmieniającą tapetę w rezydencji Paula Reyesa. - Jakby tu nikogo nie było. - Znow spjrzał na Gatesa. - Poza samochodem Renee, który stoi na podjeździe. To niepokojąca historia, agencie Gates.

- Wiem, ale musi pan zrozumieć, że właśnie takimi metodami posługuje się Victor Reyes.

Z samego ranka Sam odwiedził pokój hotelowy Renee i nie znalazł tam nic, co mogłoby dać jakieś wskazówki. Zostawiła wszystkie rzeczy w najlepszym porządku. Później odwiedził rezydencję Paula Reyesa, w której też nic nie znalazł, bo była czysta jak łąza.

Zupełnie jakby ktoś dokładnie wytarł wszelkie powierzchnie, by nie pozostawić żadnego śladu. Vaughn powiedziała Colby'emu przez telefon, że rezydencja została przez agentów DE A przewrócona do góry nogami, lecz i po tym nie było nawet śladu. Z doświadczenia Sama wynikało, że jeśli w opuszczonym domu jest tak czysto, to znaczy, że ktoś starał się zatrzeć wszelkie ślady i dokładnie posprzątał. Jednak w tym przypadku trudno zrozumieć motyw takiego działania. Czy Victor był na terenie Stanów? A jeśli tak, to po co przyjechał?

Poza tym jeśli Vaughn była pewna, że mężczyzna, z którym ugrzęzła w Everglades, jest Paulem Reyesem, to kim, do licha, był ten facet?

Sam przeniósł swoją uwagę na drugiego mężczyznę, który twierdził, że jest Paulem Reyesem.

- Ilu ludzi zwykle towarzyszy Victorowi?

- Przynajmniej dwóch.

- Panie Reyes, czy jest pan pewien, że nic nie zginęło z pańskiego domu? Pieniądze, paszport, cokolwiek?

Samowi wcale nie podobał się ten facet. Może dlatego, że miał dobre powody, by wierzyć, że kłamie, jako że w tej kwestii bardziej wierzył Vaughn. Bez względu na wszystko, po prostu nie podobał mu się ten gnojek.

Mężczyzna podający się za Paula Reyesa zgodził się na współpracę po tym, jak został rzekomo uprowadzony przez ludzi swojego brata, którzy później porwali Renee Vaughn. Jemu zaś udało się uciec.

Reyes powoli pokręcił głową.

- Panie Johnson, mój brat jest całkowicie samowystarczalny. Nie posiadam nic, czego mógłby pragnąć. Proszę przy tym wziąć pod uwagę, że nie rozmawiamy z sobą od wielu lat.

- A jak pan sądzi, dlaczego tutaj przyjechał? Czego może od pana chcieć?

To najbardziej interesowało Sama. Victor Reyes zawsze trzymał się z daleka od Stanów Zjednoczonych, bo gdyby tu się pojawił, zostałby natychmiast aresztowany i stanąłby przed sądem.

Zgodnie z tym, co powiedziała Vaughn, Victor usiłuje przejąć tożsamość brata i obarczyć go swoimi zbrodniami. To całkiem sensowny powód przyjazdu, gdyby tylko był wykonalny. Bracia Reyeso-wie wyglądają prawie jak bliźniacy, a żaden z nich nie posiadał zbyt wielu dowodów na to, by udowodnić swoją odmienność od brata. Brak dokumentacji dentystycznej, brak odcisków palców, faktycznie brak czegokolwiek umożliwiał zamianę tożsamości.

- Być może ostrzeżono go, że ktoś został tu przysłany, by wykorzystać mnie jako przynętę na niego. Może zamierzał nie tylko powstrzymać pańskiego współpracownika, ale też zrobić coś, bym przestał być przeszkodą w jego planach. A może wydawało mu się, że pani Vaughn jest dla mnie kimś ważnym, i chce ją wykorzystać, by mnie wciągnąć w pułapkę.

Sam doszedł do wniosku, że kradzież tożsamości jest podstawowym motywem i wszelkie

działania wokół tego celu tworzą najbardziej spójny scenariusz. Ale jednak i on posiadał w sobie dziury, choćby nieskoordynowany czas i niewielkie prawdopodobieństwo sukcesu. Ludzie tacy jak Victor Reyes po prostu nie zaczęli działać, dopóki nie mieli dopracowanych wszelkich szczegółów i rozwiązań awaryjnych. Dopiero to dawało duże szanse powodzenia, a w razie porażki chroniło przed aresztowaniem i procesem. Dziwne, że tym razem Reyes odszedł tak daleko od swojej strategii.

- A jak mógł się dowiedzieć, że Vaughn nie jest Renee Parsons? - zapytał Sam. - Była tylko jedna osoba, która wiedziała o tej operacji poza moimi ludźmi. - Sam oskarżycielsko spojrzał na Gatesa. - Czyż nie tak to było, agencie?

Gates zmrużył oczy.

- Czy pan mnie o coś oskarża, panie Johnson? Sam wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie.

- Przykro mi, panie Johnson. - Reyes postanowił wzmocnić napięcie. - Nie mam pojęcia, skąd mój brat mógł się tego dowiedzieć. W każdym razie ja uwierzyłem, że Renee jest marszandem z Los Angeles. Może i tak.

- Czy ma pan dozorcę albo kucharkę, kogoś, kto może potwierdzić, co się tutaj stało w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin? Albo czy zna pan kogoś, kto mógłby przekazać takie informacje pańskiemu bratu? - dopytywał się Sam.

Tym razem Reyes wzruszył ramionami przykrytymi elegancką koszulą.

- Można się zapytać Małory Rogers, właścicielki galerii, z którą prowadzę interesy, albo moich sąsiadów. Nie mam tu żadnych służących i rzadko opuszczam dom. Właściwie tylko z okazji prezentacji moich obrazów.

- Nie robi pan zakupów? - naciskał Sam. - Nie spotyka się pan z kobietami? - Twierdzenie Reye-sa, że rzadko opuszcza rezydencję, niezbyt trafiało do Sama. Ten facet zachowywał się jak prawdziwy macho, począwszy od drogich ciuchów, a skończywszy na prezencji: ścignięte łopatki, szeroko rozstawione stopy, arogancko uniesiony podbródek. Wyglądał na kogoś, kto wydaje na siebie kupę kasy. Sam wystarczająco długo pracował dla cele-brytów w Los Angeles, by poznać styl życia ludzi, którzy na odległość śmierzdzą wielką forszą. Doskonale rozpoznawał szpanerskie drogie ciuchy, nie mówiąc już o luksusowym samochodzie sportowym i kosztujących fortunę meblach. Ten facet nie zachowywał się jak pustelnicy, których Sam też miał okazję poznać.

- Wszystkie zakupy zamawiam przez telefon albo internet - tłumaczył Reyes. - Nie potrzebuję stałej służby. Raz w tygodniu przyjeżdża serwis sprzątający, a mnie wtedy nie ma w domu.

Sam przekręcił głowę i skupił na nim wzrok, nabierając coraz więcej podejrzeń. Zamierzał podzielić się nimi z nowymi kumplami, z którymi prowadził tę sprawę.

- Czy przyjaciółki też pan zamawia przez telefon albo internet?

- Panie Johnson - zaczął Gates z reprimendą w głosie. - Mamy dużo szczęścia, że pan Reyes zgodził się z nami współpracować. Nie powinien pan go obrażać, wtrącając się w prywatne sprawy.

- Przepraszam. - Sam nie powiedział tego szczerze. Jego podejrzania wobec faceta podającego się za Paula Reyesa jeszcze bardziej się wzmocniły. Coś tu zdecydowanie nie grało. Jeszcze nie wiedział do końca co, ale z pewnością się dowie. Vaughn musiała mieć dobre powody, by sądzić, że towarzyszący jej mężczyzna jest Paulem Reyesem. Sam tylko trochę się wahał ze swoją ekspertyzą, mianowicie jakim cudem prawdziwy Victor Reyes mógłby mieć tyle ikry, by przebywać w jednym pokoju z agentami DEA i nawet nie mrugnąć okiem.

Ale przecież, jak wyczytał w aktach, ten facet był tak wielkim skurwielem, że stać go było na wszystko.

- Mam nadzieję - zaczął Reyes z taką szczerością w głosie, że aż Samowi trudno było w nią uwierzyć

- że pańskiej koleżance nic się nie stanie, panie Johnson. Mój brat jest wielokrotnym zabójcą. Gdybym tylko mógł w jakikolwiek sposób pomóc w jego zatrzymaniu, to proszę na mnie liczyć.

Sam chciał jak najszybciej skontaktować się z Jimem Colbym i przekazać mu wszystkie ustalenia i przemyślenia. Chciał jednak zadać ostatnie pytanie.

167

- Skąd u pana tak nagła zmiana w nastawieniu do brata, panie Reyes? Przez wiele lat Agencja Antynarkotykowa starała się go aresztować, lecz jak dotąd nie zaoferował pan swojej pomocy. Co takiego się stało, że dziś obudziło się w panu sumienie?

Gates poruszył się, jakby coś go gryzło, ale trzymał gębę na kłódkę, żeby nie wzbudzać jeszcze większych podejrzeń co do swojej osoby.

Sam miał to gdzieś, czy Gates go lubi, czy nie. Nie przyjechał tu szukać przyjaciół. Przez dłuższą chwilę milczał, zastanawiał się, czy Reyes w ogóle odpowie na to pytanie dotyczące jego moralnych standardów.

- Nie podoba mi się sposób na życie Victora - zaczął Reyes - ale to mój brat. Jednak kiedy jego ludzie pojawili się w moim domu i próbowali mnie zabić, przekroczył wszelkie granice. Nie uważam już go za swojego brata.

Sam skinął głową. Rozumiał to doskonale. Jeśli Gatesowi nie podobał się jego sposób prowadzenia przesłuchania, to z pewnością nie spodoba mu się to, co miał zamiar teraz powiedzieć:

- Więc do tej pory nie miało dla pana znaczenia, ile dzieciaków umarło z przedawkowania narkotyków, które pański brat rozprowadzał po Stanach, a nagle, gdy zagroził panu osobiście, to oferuje pan swoją pomoc. Czy dobrze pana zrozumiałem?

- Johnson - warknął Gates. Reyes podniósł rękę.

- W porządku, agencie Gates. Doskonale rozumiem pana Johnsona. Niestety kochałem brata bardziej, niż na to zasłużył. To był mój błąd. Przez resztę życia będę dźwigał ten ciężar. Ale teraz jestem gotów zrobić to, co należało zrobić już wcześniej. Pomogę wam, jak tylko będę potrafił. Proszę pozwolić mi na zadośćuczynienie, a może Bóg odpuści mi moje grzechy.

Sam przyjrzał się jego twarzy, jeszcze raz spojrzął mu w oczy. Może i ten facet mówił prawdę. A może nie. Sam zostawił ostateczne wnioski do spotkania z Vaughn i zapoznania się z jej historią. Jakkolwiek to się zakończy, przynajmniej powiedział swoje zdanie na temat postępowania Paula Reyesa.

- Trochę mnie poniosło - przyznał Sam z fałszywą skruchą, żeby z powrotem wkraść się w łaski i zmylić przeciwnika. Wyciągnął komórkę z kieszeni. - Muszę skontaktować się z biurem. - Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się. - Jeszcze jedno, panie Reyes. Jest coś, co może pan zrobić, by pomóc w śledztwie.

- Wszystko, co tylko pan sobie życzy.

- Skoro pan i pański brat jesteście bardzo do siebie podobni i żaden z was nie ma dokumentów definitywnie was identyfikujących, to może uda się panu odkopać w swoich papierach jakieś zapisy dotyczące różnic fizycznych między wami, które potwierdzą, kto jest kim. Najlepiej byłoby, gdyby znalazł pan dokumentację dentystyczną albo medyczną. Czy można na pana liczyć w tej kwestii?

169

Zirytowany Gates głośno wypuścił powietrze z płuc.

- A teraz oskarża pan pana Reyesa, że kłamie odnośnie swojej tożsamości.

Sam uśmiechnął się.

- Chyba musi pan przyznać, że jest to jedyny sposób na jednoznaczne potwierdzenie tożsamości każdego człowieka?

- Pan Johnson ma rację - przyznał Reyes. - To musi być załatwione raz na zawsze. Chyba będę mógł pomóc w tej sprawie. Ma pan rację, że jesteśmy z bratem bardzo do siebie podobni... choć tylko fizycznie. Wewnątrz nas istnieją pewne różnice.

- Z pewnością, ale muszę mieć coś więcej niż tylko oświadczenie.

- Przecież wiemy, że nie istnieje żadna dokumentacja medyczna ani dentystyczna braci Reye-sów - wtrącił Gates.

- A jednak może mam coś przydatnego.

- Co masz na myśli, Paul? - dopytywał się Gates, najwyraźniej tak samo zaskoczony jak Sam.

- Mogę mieć niepodważalny dowód - zapewnił ich z uśmiechem. - Przekonacie się, że jestem Paulem Reyesem, za którego się podaję. A jeśli pańska przyjaciółka nadal żyje, a modłę się o to całym sercem, to okaże się, że to właśnie mój brat Victor jest teraz z nią.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czas nieokreślony

Co ona przed nim ukrywała?

Paul rozejrzał się uważnie, zanim wyjechał na asfaltową drogę.

Nadal przeżywał ten moment, gdy spotkały się ich usta. Trudno mu było koncentrować się na prowadzeniu samochodu, ale zmuszał się do uwagi. Ludzie Victora mogli przecież zawrócić i zaatakować. Musiał być przygotowany na wszystko.

Ale nie mógł przestać myśleć o niej.

Siedziała tuż obok niego, w ustach nadal miał jej smak.

Nigdy wcześniej nie czuł tak silnego pożądania do kobiety. To był prymitywny instynkt poza kontrolą umysłu. Niewiele wiedział o Renee Parsons i przypuszczał, że nie była z nim szczerą.

Nie przypuszczał. Wiedział.

Nawet logika nie powstrzymała jego pragnienia.

Możliwe, że szaleństwo, które spadło na niego jakiś miesiąc temu, połączone z ucieczką przed bandytami, którzy chcieli ich zabić, sprawiły, że stracił rozum. Sam nie był tego do końca pewien.

Zacisnął mocniej palce na kierownicy.

171

W tej chwili liczy się tylko przetrwanie i uratowanie życia. Jego głównym celem powinno być wyciągnięcie Renee z tego bałaganu i zapewnienie jej bezpieczeństwa. A drugi cel to stanąć twarzą w twarz z Victorem.

W przeciwnym wypadku to szaleństwo nigdy się nie skończy.

Jeden z nich musiał umrzeć. Nie było najmniejszego sensu udawać, że można znaleźć jakiegokolwiek inne rozwiązanie.

- Jak się nazywa twój hotel?

- Yyy... Rany boskie! To oni!!!

- Co ?!

Spojrzał we wsteczne lusterko. Z tyłu pojawiły się światła samochodu wyjeżdżającego z wjazdu do lasu, jak oni to zrobili przed chwilą. Światła zaczęły się do nich szybko zbliżać.

- Szybciej! Musisz jechać szybciej! - krzyczała Renee.

Paul przycisnął pedał gazu do podłogi. Stara półciężarówka przyśpieszyła.

- Cholera jasna! Nie ma pola!

Paul spojrzał na nią. W ręce trzymała telefon komórkowy. Skąd go miała? Od Kenny'ego? Znalazła go w samochodzie?

Zaczęła zapinać staromodny pas.

- Będą chcieli nas staranować.

W tylny zderzak uderzył SUV, nim Renee zdążyła dopiąć pas. Uderzenie wyrzuciło ją z kanapy na deskę rozdzielczą.

Paul sięgnął po nią ręką.

172

- Nic mi nie jest! - Potarła czoło, rozmasowując guza. - Jedź dalej!

Gdy wreszcie zapięła ten nieszczęsny pas, nieco się odprężyła, po czym spojrzła przez tylne lustro.

- Znowu nas taranują!

Chwył mocniej kierownicę, Renee oparła się stopami o deskę rozdzielczą.

Uderzenie wyrzuciło ich z drogi i wprowadziło w poślizg. Paul próbował kontrować, ale nie był w stanie wyprowadzić samochodu na drogę.

Pikap wbił się w niskie zarośla i zatrzymał się w błocie.

- Wsiadaj! - krzyknęła Renee, odpinając pas. - Uciekamy!

Paul otworzył drzwi.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej był SUV bandytów.

- Wsiadaj, Paul! Moje drzwi się zacięły. Paul wyskoczył w głęboką po kolana wodę i błoto. Renee próbowała wyczołgiwać się za nim.

- Uciekaj! Za późno.

- Nie ruszać się albo zginiecie!

Renee podniosła rękę. Nie czas na próżne bohaterstwo. Zostali złapani.

- Dobra dziewczynka - skomentował jeden z napastników i wyciągnął do niej rękę.

- Nie ruszaj jej! - krzyknął Paul.

Odgłos pięści uderzającej w szczękę sprawił, że Renee poczuła bolesny ucisk w żołądku.

- Dawaj łapy! - rozkazał bandzior.

173

Paul wyciągnął ręce do przodu, ale nie spuszczał wzroku z Renee. Próbowwała powiedzieć mu oczami, żeby zachował spokój. Niech robią swoje. Blask księżyca był silniejszy niż poprzedniej nocy, ale nadal było cholernie ciemno.

- Idziemy!

Znany jej tak dobrze bandzior pociągnął ją w stronę suva. Starła się ukryć strach i cierpienie. Ruszyła w stronę samochodu. Dobrze, że Paul nie opierał się i szedł obok.

Renee wrzucono na przednie siedzenie obok kierowcy, a Paulowi kazano usiąść z tyłu.

- Jeden głupi ruch, a rozwalę mu mózgownicę! - ostrzegł ją gnojek gramolący się na tylne siedzenie, tak jakby nie rozumiała, co może sprawić pistolet skierowany w skroń.

Pojechali do Key Largo, ale nie do rezydencji Paula, tylko do wynajętego domu w tańszej części wyspy. Paula i Renee zaprowadzono do pokoju, który kiedyś pewnie służył za główną sypialnię. Nie było tu żadnych mebli, na podłodze leżała zniszczona wykładzina dywanowa. Okna w sypialni i w łazience zostały zabite płytami ze sklejki od wewnątrz.

Jeden ze zbirów przeszukał Renee, ale nic nie znalazł. Zgubiła telefon komórkowy, gdy wypadli na grząskie pobocze po staranowaniu przez suva. Później bandzior przeszukał Paula, ale też nic nie znalazł.

- Co my tu robimy? - zapytała, gdy zabójca wychodził z pokoju.

Stanął w drzwiach, odwrócił się.

- My - rzekł z naciskiem - czekamy na dalsze rozkazy. A wy czekacie na śmierć.

Wyszedł, zatrzasnął drzwi i zamykając je na klucz.

Renee przez moment wyobrażała sobie tego faceta z dziurą po kuli między oczami. Cóż, w każdym siedzi diabeł zemsty.

- Może uda nam się nawzajem rozwiązać więzy? - zapytała.

Paul stał nieruchomo. Renee nie miała pojęcia, czy jest w szoku, czy nagle przestał jej ufać. Nie chciała, żeby znowu zaczął zadawać pytania. W sytuacji, w której się znaleźli, ostatnie, co było im potrzebne, to brak zaufania.

Jego ręce były związane bardzo ciasnymi i mocno zaciągniętymi supłami, powodując otarcia naskórka, przez który zaczęła sączyć się krew. Dranie!

Walczyła z pierwszym supłem, ale w końcu poradziła sobie. Z drugim poszło łatwiej. Po chwili nylonowy sznur zniknął z nadgarstków Paula.

Po chwili uporał się z jej więzami.

Renee rozmasowała nadgarstki.

- Krew ci leci. - Paul dotknął jej czoła. - Z łuku brwiowego. Chodź do łazienki.

Wziął ją za rękę, tak jak wielokrotnie to robił podczas wędrówki przez Everglades. W łazience nie było ani mydła, ani ręczników, więc oderwał kawałek swojej koszuli i wielokrotnie wyplukał pod bieżącą wodą. Delikatnie otarł krew nad pra-

wym okiem. Jego twarz była skupiona, a ręce lekko mu drżały, gdy wycierał przecięcie skóry. Renee spojrzała w lustro i przestraszyła się samej siebie. Przydałby jej się prysznic, a także czyste ubranie.

Tyle że miała ważniejsze sprawy na głowie. Jeśli stąd nie uciekną, czeka ich śmierć.

- Potrzebny jest opatrunek - stwierdził Paul, dokładnie oglądając przecięcie.

- Będzie dobrze. Najważniejsze, że nie trzeba szyć, choć kawałek plastra by nie zawadził - odparła dzielnie.

Opuścił ramiona. Wyglądał na wyczerpanego i pokonanego. Renee chciała go jakoś pocieszyć, ale nie znalazła żadnych słów. Nie w tej sytuacji.

Wzięła od niego kawałek materiału z koszuli, którym wytarł jej ranę, i wypłukała go w wodzie, potem oczyściła Paulowi nadgarstki w miejscach, gdzie sznurek przetarł naskórek.

- No to wróciliśmy do formy - zażartowała, wrzucając szmatkę do umywalki.

Paul spojrział na nią.

- Mamy problem, panno Parsons. To było wielkie niedopowiedzenie.

- Tak, mamy problem, panie Reyes. - Rozejrzała się po łazience. - Ale każdy problem na ogół można rozwiązać. Tylko należy wpaść na to, jak tego dokonać.

Czyżby w jego oczach dostrzegła niepokój?

- To problem innej natury.

- Nie rozumiem. - Zmarszczyła brwi.

176

- Chciałbym się z tobą kochać, ale jest pewien dylemat. - Spojrzał na drzwi do sypialni. - Raczej nie jest na to odpowiednia pora.

Żar w ciele i zmysłach, który w niej wzniecił tym wyznaniem, był jak ogień piekielny. Renee musiała się powstrzymać, by nie rzucić się na Paula, by nie pokazać mu, że nie tylko on o tym myśli.

Pocałunek w samochodzie rozpałił jej zmysły i choć wisiał nad nimi topór śmierci, cały czas czuła w sobie pożądanie.

- Masz rację. Pora jest do niczego.

Milczeli przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Renee nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak skrepowana.

Spojrzała na Paula. Pożądał jej, ona pożądała jego. A przecież ich godziny najpewniej były już policzone.

A co tam, do licha ciężkiego...

Złapała Paula za koszulę, jak sobie to przed chwilą wyobraziła, i pocałowała go mocno w usta.

- Teraz twój ruch - oświadczyła po chwili. Nawet nie drgnął, tylko wpatrywał się w jej usta.

Wyzwanie, które mu rzuciła, pobudziło go do

działania. Ściągnął z niej bluzkę i rzucił ją na podłogę. Przez długie sekundy podziwiał piękne piersi.

Renee westchnęła, gdy koniuszki jego palców powędrowały na jej biodra, by ściągnąć suwak spodni.

Zadrzała...

Była taka piękna. Chciał ją zobaczyć całą... gładkość skóry, każde zaokrąglenie, każdą smukłość,

półcienie malujące sylwetkę... Przycisnął usta do jej ramion. Zadrżała, przez niego też przeszedł dreszcz.

Zsunął jej spodnie, zdjął sandały. Jego palce bawiły się koronkowym materiałem majtek, ujął ich brzegi i zsunął.

Zanim zdążył sam zdjąć koszulę, Renee przejęła kontrolę nad jego ubraniem. Odpinała guzik po guziku, zsunęła koszulę z pleców i ramion, puszczając ją swobodnie na podłogę. Zdjęła mu adidas i spodnie.

Gdy ściągnęła jego bokserki, Paul westchnął. Pocałowała go w biodro, pozwalając, by jego napięta męskość otarła się o jej ramię.

Pociągnął Renee do góry i oparł o ścianę. Mruknął z rozkoszy, gdy ich ciała spotkały się i otarły, jej miękkie i gładkie, jego napięte i twarde. Podniosła dłoń, by pogłaskać go po policzku drżącymi z podniecenia palcami. Pocałował ich koniuszki i zsunął swoje dłonie na jej biodra i z powrotem do góry, do jej piersi.

Krzyknęła, gdy je ścisnął i masował. To rozpało go jeszcze bardziej, aż do utraty zmysłów. Zatopił twarz w jedwabiste włosy.

Uniósł ją i oparł jej uda o swoje biodra. Nigdy wcześniej nie pożądał żadnej kobiety tak bardzo.

- Pośpiesz się.

Z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie musimy się śpieszyć.

Pocałował ją w czubek nosa. Całował jej twarz, wszystkie nowe miejsca, które właśnie odkrywał.

178

Całował policzki, szyję, dekolt, miejsce, pod którym tak silnie biło jej serce, aż Renee wiała się z rozkoszy. Jej ręce przesuwały się po jego plecach, nogi silniej zaciskały się wokół bioder. Wijąc się, próbowała skłonić go, by w nią wszedł, ale na to nie pozwalał... jeszcze nie.

Nie mogła już wytrzymać. Gdyby ktoś im teraz przerwał, to... chyba by umarła. Musieli się pośpieszyć.

- Przestań - zawołała.

Podniósł głowę i spojrzał na nią oczami błyszczącymi od pożądania.

- Mam przestać?

Samo patrzenie na niego prawie doprowadziło ją do orgazmu.

- Nie... Chcę cię mieć w sobie. Teraz.

Nie od razu zagłębił się do końca. Najpierw lekko, tylko do połowy, całując ją jednocześnie mocno w usta. Renee poruszyła biodrami. Chciała mieć go całego. I tak się stało.

Początkowo poruszał się powoli, doprowadzając ją do szaleństwa. Błagała, by się pośpieszył.

Zignorował jej prośby, pozostał w swoim rytmie.

Nie potrafiła już się dłużej powstrzymać. Rozkosz zaczęła spływać po niej kaskadami, dziesiątkami małych wybuchów. Docisnął się do niej jeszcze mocniej, dopychał silniej biodrami, aż wreszcie doszli oboje. Cudowny orgazm!

Oparł swoje czoło na jej czole, dysząc ciężko, łapiąc powietrze z wyczerpania.

- Przepraszam - szepnął.

179

Renee zachichotała.

- A ja nie. To było niezwykle!

- Nie, to nie o to chodzi. Przepraszam, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Przysięgam na grób mojej matki, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię chronić.

Pogłaskała go po policzku. Żałowała, że nie mogą się kochać drugi raz.

- Będziemy się nawzajem chronić, ale teraz musimy wymyślić, jak się stąd wydostać, zanim nasi gospodarze urządzą nam przedstawienie pod tytułem „Egzekucja gości”.

Pocałował ją w usta.

Jej oczy błyszczały z rozkoszy, jej dusza śpiewała z radości. To przeżycie było niesamowite.

Niezwykłe.

Renee włożyła majtki, potem spodnie.

Gdy Paul sięgał po dżinsy, Renee dotknęła jego długiej na prawie dwadzieścia centymetrów blizny na plecach. Zapewne pochodziła od dawnej operacji kręgosłupa, bo pozbawiona była intensywnej barwy na krawędziach. Ale to tylko domysły.

- Skąd to masz? - zapytała.

Paul wsunął nogę w nogawkę dżinsów, potem drugą.

- To stara historia. - Złapał koszulę. - Jesteś pewna, że chcesz jej wysłuchać?

- Tak. - Włożyła bluzkę. To był właśnie odróżniający go od brata znak szczególny, który mógł potwierdzić jego tożsamość. Paul pewnie nawet o tym nie pomyślał.

- Miałem wtedy dziesięć lat. Razem z bratem bawiłem się w stodole i spadłem ze strychu. Wyglądało to niegroźnie, jednak po kilku miesiącach okazało się, że obrażenia są poważne. Konieczna była operacja. Miałem jednak szczęście, bo była to tylko dyslokacja dysku w krzyżu.

Renee wsunęła na stopy sandały.

- Co to znaczy, że miałeś wielkie szczęście? Przecież każde uszkodzenie kręgosłupa to prawdziwy koszmar.

Wzruszył ramionami.

- Gdyby uszkodzenie nastąpiło tutaj - dotknął palcem jej pleców tuż pod łopatkami - albo wyżej, to mógłbym mieć sparaliżowane ręce. - Machnął ramionami. - Moja praca stanowi o moim człowieczeństwie, dzięki niej oddecham. Bez niej nie byłbym tym, kim jestem.

Jeśli miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości tego człowieka, to właśnie się ich pozbyła. Gdyby musiał wybierać między sztuką a chodzeniem o własnych siłach, z pewnością wybrałby to pierwsze.

- Powinniśmy się pośpieszyć - oświadczyła Renee, mrugając gwałtownie, jakby odpędzała wzruszenie. Matko, ależ zauroczyła się tym facetem. Tę część swoich przeżyć na Florydzie z pewnością pominie przy sporządzaniu raportu z wyjazdu służbowego.

Nie wiedzieli, ile zostało im czasu. Należało przyjąć, że bardzo mało. Musieli działać błyskawicznie. Renee obejrzała zabezpieczenia okien. Usunięcie przykręconych płyt było raczej niemożliwe bez narzędzi, no i narobiliby dużo hałasu, Przez ścianę też nie mieli szans się przebić, jak zrobiła to już wcześniej w rezydencji Paula, znów przez ten hałas.

W takim razie należało odwrócić uwagę bandziorów.

181

To był zarys planu, a teraz musieli obmyślić strategię działania.

Renee miała gotowy pomysł.

Tyle że Paulowi może się nie spodobać.

- Oni potrzebują ciebie - oświadczyła, spoglądając mu prosto w oczy. - Ja jestem do odstrzału.

- Renee, przestań...

- Skup się, Paul. Victor potrzebuje ciebie, żeby zrealizować swój plan. Ja nie jestem mu do niczego potrzebna. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że zabiją mnie w tym domu, o ile nie będzie istotnego powodu, by tego nie zrobić.

- Doskonale. - Skrzyżował ramiona na piersiach. - To wymyślimy jakiś powód. Tylko jaki? - spytał mocno strapiony.

Renee zagryzała wargę, przekuwając swój pomysł w takie słowa, by Paul nie oponował.

- Chodzi o to, że potrzebują mnie, żebyś ty zachowywał się jak należy, prawda?

Skinął głową, choć z wyrazu jego twarzy można było odczytać rosnący sprzeciw.

- Jeśli uciekniesz, będą musieli utrzymać mnie

przy życiu, aż cię zmuszą, żebyś pojawił się tam, gdzie ci każą. Tak więc...

- To zły plan! - przerwał jej ostro.

- Przeciwnie, świetny. Nie zabiją mnie, bo będą mnie potrzebować. Musimy tylko coś wykombinować, żebym im była potrzebna.

- A co ja mam niby zrobić, jak uda mi się uciec? Jeśli oczywiście wprowadzimy ten plan w życie. Wkraczali na śliskie terytorium.

- Będziesz musiał zadzwonić do mojego przyjaciela, Jima Colby'ego. A on przekaże Samowi Johnsonowi, że potrzebujesz jego pomocy.

Paul zmarszczył brwi.

- Kim są ci ludzie?

Nie mieli czasu na długie opowieści.

- Wytłumaczę ci później. Nie możemy ryzykować, żeby Victor nas wyprzedził.

- Więc co mamy robić?

- A jak długo umiesz wstrzymać oddech?

- Minutę? Może dwie? - odparł sceptycznie.

Wreszcie wyjawiała mu swój plan. Paul próbował dyskutować o wielu szczegółach, ale w końcu zgodził się, by przeprowadzić go według jej pomysłu, bez żadnych poprawek. Nie zadawał żadnych zbędnych pytań, ale przecież czas uciekał.

Położył się na podłodze, a Renee krzyknęła z całych sił. To był wrzask, od którego krzepła krew w żyłach. Zaczęła walić pięściami w drzwi.

Po chwili do środka wpadł jeden ze zbirów z bronią gotową do strzału, za nim następny.

183

Renee zaczęła histerycznie tłumaczyć:

- Pomóżcie! Coś mu się stało!

Paul leżał na podłodze, a jego ciałem wstrząsały drgawki, jakby miał napad padaczki.

- Co tu się stało, do cholery?! - wrzasnął bandzior i upchnął pistolet za paskiem spodni na plecach.

- Nie wiem! - jęczała Renee, patrząc nieprzytomnie na bandytów. - Upadł na podłogę i zaczął się trząść.

Nagle Paul zupełnie znieruchomiał. Renee nie musiała nawet być przy nim, by wiedzieć, że przestał oddychać w odpowiednim momencie, jak to zaplanowali.

Mężczyzna klęczący blisko Paula pochylił się nad nim, by przekonać się, czy oddycha. Drugi ruszył od drzwi w stronę klęczącego kumpla.

- Czy on umrze? - pytała rozhisteryzowanym głosem Renee.

- Nie oddycha - powiedział ten, który klęczał.

- Pieprzony! - skomentował drugi. Pierwszy przyłożył ucho do ust Paula.

On zaś uniósł głowę i ugryzł go mocno w ucho. Bandzior wrzasnął z bólu.

Gdy drugi rzucił się na Paula, Renee go popchnęła z całej siły.

- Nie ruszaj się!

Bandzior chwycił ją mocno, ale nie zdążył sięgnąć po broń, bo Paul skierował pistolet jego kumpla w jego pierś.

- Puść ją! - rozkazał.

184

Cholera! To nie należało do planu.

- Uciekaj! - krzyknęła do Paula. Przecież miała tu zostać, on miał się ulotnić.

- Zostaw ją! - rzucił Paul do drania, który trzymał Renee w żelaznym uścisku. - Zostaw ją! - powtórzył groźnie, a potem zwrócił się do Renee: - Weź jego broń.

Wyzwoliła się z uścisku i odebrała bandycie pistolet.

- I tak wam się nie uda - oznajmił facet z krwawiącym uchem. - I tak was zabije. Victor zawsze osiąga to, co chce.

Renee i Paul wycofywali się z pokoju, zamykając go na zasuwę.

- Musimy znaleźć kluczyki do suwa. Paul skinął głową.

Cios dopadł ją z mroku korytarza. Renee nie mogła zobaczyć wzniesionej ręki. Ale ją poczuła.

Tuż przed tym, jak podłoga uniosła się na jej spotkanie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sobota, 5 maja, 12:05

Victor miał Renee w swoich łapach.

Trzeci mężczyzna, którego już widzieli na bagnach Everglades, plus dwóch innych facetów, których Paul nie znał, przygotowało na nich zasadzkę w korytarzu, gdy próbowali uciec.

Paulowi przekazano ściśle instrukcje. Renee pozostawiono w domu. Ludzie Victora dali mu zegarek i auto. Nic więcej. Jeden z mężczyzn miał go obserwować ze swojego samochodu zaparkowanego na ulicy. Gdyby wyszedł wcześniej, zatrzymał się po drodze lub w ogóle zrobił coś głupiego, Renee zostanie natychmiast zabita.

Plan Victora został dopracowany w każdym szczególe. Nie pominięto żadnego drobiazgu. A teraz miał się rozegrać wielki finał. Z pewnością będzie odpowiednia widownia, pomyślał Paul.

Nawet nie próbował wstawać. Po prostu siedział i patrzył.

- Będę tu na ciebie czekał.

- Wiem.

Wciąż go dziwiło, że choć tak podobni do siebie, niemal jak bliźniacy, wewnątrz byli kompletnie inni, niczym przeciwstawne bieguny.

Victor Reyes był pozbawiony serca.

- Nieźle nabałaganieś. - Victor pokręcił głową. - To do ciebie niepodobne, bracie.

Paula aż skręcało z obrzydzenia. „Bracie”.

- Robiłem tylko to, co należało, żeby przeciwstawić się twoim chorym planom - odparł, z satysfakcją obserwując wściekłość w oczach Victora. - To moje życie i mój dom. Nikt cię tu nie zapraszał.

- Nie rozumiesz, jak bardzo się mylisz? - Victor wstał. - To moje życie... mój dom.

- Pewnie zbyt zaprzyjaźniłeś się z produktami, które dystrybuujesz po Stanach. Naprawdę nie rozumiesz, że władze bardzo się ucieszą, gdy dotrze do nich, że jesteś na terenie Stanów Zjednoczonych? Nie uda ci się to szaleństwo. Są świadkowie, którzy nas znają, i nie będą się przed tobą chować po kątach.

- Jaki ty jesteś głupi, bracie. A przecież tak dobrze mnie znasz. Nie ma już nikogo, żadnych świadków. Paul zacisnął zęby. Zabił ich wszystkich. Juani-tę, Eduarda i George'a.

- Nie zwracaj się tak do mnie. Nie jesteśmy braćmi. Powinienem już dawno cię zabić.

- Tak, wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby tak się stało już wtedy, przed wielu laty. Próbowałem cię zabić, gdy byliśmy dziećmi, ale jakoś nie wybierałeś się na drugą stronę. A potem matka pilnowała, żeby nic złego ci się nie stało. A mnie nie trafiła się druga szansa.

Wściekłość ogarnęła Paula. Domyślał się, że upadek w stodole i uszkodzenie kręgosłupa nie były zwykłym wypadkiem.

- Jesteś dla mnie nikim - warknął.

- Och nie, nadal jesteśmy braćmi. Ale za kilka minut zostanie tylko jeden, i to będę ja. - Uderzył pięścią w pierś. - Paul Reyes, wspaniały malarz, który uwielbia życie w samotności. Szkopuł w tym, że tak łatwo mu je odebrać.

- Nie uda ci się - warknął Paul. - Tworzysz tylko ból i śmierć.

- To prawda, nie jestem artystą, więc niby łatwo mnie będzie zdemaskować, tak myślisz, co? Więc posłuchaj opowieści z przyszłości. Stanie się coś strasznego, tak strasznego, że natchniony malarz Paul Reyes zaniecha sztuki i pogrąży się w bólu aż do jak najpóźniejszej śmierci. Jak mógłby jednak nadal tworzyć, skoro własny brat usiłował go zamordować? - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Efekt uboczny będzie taki, że ceny moich obrazów natychmiast skoczą do góry, a sporo ich zostało w pracowni. Czysty interes, bracie.

- Nie zamierzam cię zabijać - rzucił wyzywająco Paul. - Nie ułatwię ci realizacji twojego planu.

Będziesz musiał mnie zabić z premedytacją, bo sam ci się nie podłożę. - Wyciągnął rękę przed siebie.

- Nie mam broni i nie będę się z tobą bił.

- Nie rozumiesz? To już się stało. Została już tylko jedna scena, twojej śmierci.

- Więc zabij mnie. Tu i teraz. Po co to całe przedstawienie?

Victor w pewnym sensie miał rację. Bez rodziny i przyjaciół, którzy go dobrze znali, by potwierdzić tożsamość, nie było innego sposobu. Innego niż dokumentacja dentystyczna, którą przypuszczalnie już dawno zniszczył.

Paul zastanawiał się, czy istniała jeszcze dokumentacja dotycząca jego operacji kręgosłupa. Wtedy był małym chłopcem. Ale Victor pewnie i tym się zajął. Nie pozostawiał niczego przypadkowi.

Victor ruszył powoli w stronę brata, jakby obawiał się o swoje bezpieczeństwo.

Zdumiony Paul przygotował się na atak.

Victor objął go ramionami i uściśnął po bratersku, jakby cieszył się ze spotkania, jakby wszystko, co do tej pory się wydarzyło, w ogóle nie miało miejsca.

- Siegnij za pasek, bracie, i weź pistolet.

- Co robisz? - Paul próbował go odepchnąć, ale Victor ścisnął go mocno ramionami.

- Weź broń - rozkazał ponownie.

- Nie - zaprotestował wyzywająco. - Nie pozwolę ci triumfować. Zapomniałeś, że mam bliznę po operacji kręgosłupa, ślad po tym, jak próbowałeś mnie już kiedyś zabić.

- Daj mi szansę, brachu. Nigdy nie zapomniabym o tak ważnym szczególe. - Jego uścisk stał się brutalny. - Weź pistolet albo ona umrze - rzucił z furją.

- Przecież i tak ją zabijesz. - Jediną szansę, by uratować Renee, Paul upatrywał w przeciwstawieniu się Victorowi.

- Jestem pewien, że nie chcesz, by stało się jej coś złego. - Uśmiechnął się ohydnie. - Zrób, co ci każę, a pozwolę jej żyć. I tak nikt nie uwierzy w jej gadaninę. Nie ma żadnych dowodów, tylko słowa. A to bez znaczenia.

- Chcę zobaczyć, że jest bezpieczna.

Z boku otworzyły się drzwi, jakby Victor był przygotowany na taką ewentualność. W progu stanął bandzior trzymający Renee w taki sposób, że wystarczyłby niewielki ruch ramieniem, by skrócić jej kark. Ten widok był dla Paula przerażający.

- Weź broń - powtórzył Victor - albo ona zginie na twoich oczach.

Paul wyrwał pistolet zza paska spodni i cofnął się na tyle, by wymierzyć w pierś brata.

- Puść ją albo cię zabiję.

Victor cofnął się, udając, że boi się o swoje życie. Nie uśmiechał się. Zwycięski wyraz zagościł na jego twarzy.

- Żegnaj, bracie.

Renee nie mogła na to pozwolić.

- Neeeeeee!!! - Nadludzkim wysiłkiem uwolniła się z uścisku bandyty i skoczyła w stronę Paula.

Gdy wpadała na Paula, powietrze przeszył huk wystrzału i odgłos roztrzaskiwanej szyby.

Wydawało się jej, jakby czas zaczął płynąć w zwolnionym tempie, gdy razem upadali. Czuła, jakby uderzenie o podłogę wyssało jej powietrze z płuc.

W następnej chwili bieg czasu wrócił do nor-

malności i cały pokój wypełnił się uzbrojonymi agentami DEA. Wielu z nich krzyczało, ale ich nie słyszała. Sprawdzała, czy Paul nie został postrzelony.

- Wszystko w porządku? Mrugnął, kiwnął głową.

- Tak.

Czyjeś dłonie uniosły ją i postawiły na nogi.

Paul też poderwał się z podłogi i wyrwał ją z rąk mężczyzny, który ją podniósł. Wysunął się przed nią, jakby chciał ją sobą zasłonić.

- Odsuń się od niego, Vaughn - rozkazał Sam Johnson.

Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że wszyscy uzbrojeni po zęby agenci DEA wymierzyli swoją broń w Paula.

- Zejdź mi z drogi, Johnson - usłyszeli rozkazujący głos agenta Gatesa. - To mój więzień.

- Odsuń się, Gates, i wyluzuj - nakazał mu Johnson. Cały czas celował w Paula, jednak patrzył na Gatesa. - Każ swoim ludziom opuścić broń, dopóki nie otrzymam kilku odpowiedzi.

Broń, którą wcześniej Paul miał w dłoni, leżała na podłodze. Obok francuskich okien leżało mnóstwo potrzaskanego szkła. Wtedy Renee pojęła, że strzał rozbił szybę z zewnątrz. To strzelał jeden z agentów. Siedmiu ludzi w antyterrorystycznych ubiorach nadal trzymało broń skierowaną w Paula, w Sama Johnsona i w nią.

- To byłoby załatwione jednym strzałem, gdybyś się nie wtrącił - odburknął Gates. - Odpowiesz za to, Johnson.

Gates strzelał do Paula? Dlaczego?

- O co tu chodzi, Johnson? - domagała się wyjaśnień Renee.

- Odsuń się od niego - powtórzył Johnson.

- Zaraz sobie wszystko wyjaśnimy.

- On próbował mnie zabić! - krzyczał Victor.

- Przecież widziałaś - zwrócił się do Renee. Pistolet, który wcześniej Paul trzymał w ręce, był wycelowany w jego brata, ale nie wiedziała, co tu się naprawdę stało, a przede wszystkim nie wiedziała, jakim cudem w dłoni Paula pojawił się pistolet. Nie miał przecież przy sobie żadnej broni, gdy widziała go ostatni raz.

- Odsuń się od niego wreszcie! - rzucił do niej Johnson. - A ty - zwrócił się do Gatesa - trzymaj go z boku, dopóki nie dostanę pewnych odpowiedzi.

- O czym wy mówicie? Co się tu dzieje? - Renee wysunęła się przed Paula, ale zatrzymał ją ramieniem i cofnął za siebie.

- Schowaj się za mną - poprosił Renee.

- Odwróć się - rozkazał Johnson Paulowi

- i podnieś koszulę. Muszę obejrzeć twoje plecy.

- Johnson, o co tu chodzi? - nalegała Renee.

- Mamy dokumentację medyczną mówiącą o tym, że Victor Reyes miał operację kręgosłupa w wieku jedenastu lat. Muszę obejrzeć bliznę.

- On sfalszował dokumenty - niemal krzyknęła Renee, patrząc na Victora. - Wykorzystuje fałszywe kwity, żeby was oszukać. - Spojrzała na Gatesa. - To on chciał zabić Paula i zrobiłby to, gdyby nie przeszkodził mu Johnson.

Co trzeba było teraz zrobić, żeby zdemaskować kłamcę?

Renee wyrwała się spod opieki Paula i stanęła przed nim.

- Renee... Co robisz?!

Podniosła rękę, by powstrzymać jego słowa.

- Opuść broń, Johnson. - Nie rozumiała, jak mógł być taki łatwowierny. Ale ona też dała się nabrać na kłamstwa Victora, gdy go spotkała za pierwszym razem. Zanim poznała prawdziwego Paula Reyesa.

- Widziałem dokumentację medyczną - oznajmił Johnson. - Vaughn, wiem, że to wszystko należy jeszcze raz dokładnie rozważyć, by ustalić, który z nich jest prawdziwym Victorem Reyesem.

- Obdarzył Gatesa nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Niektórzy chętnie by nacisnęli spusty, zanim poznamy prawdę. Ale wreszcie wszystko jest pod kontrolą.

- Nie ma żadnych wątpliwości! - ryknął Victor.

- Agencje Gates, czy pan na to pozwoli? Przecież on chciał mnie zabić!

Renee pomyślała o bliźnie na plecach mężczyzny, z którym się kochała. Obiecała sobie, że już nigdy nie da się przez nikogo oszukać, nikomu nigdy nie zaufa. Cóż, złamała tę obietnicę.

- On kłamie - powiedziała do Johnsona, wskazując dłonią człowieka, którego uznawała za Victora Reyesa. - Podmienił dokumentację. On nie jest Paulem Reyesem. To jest - Renee wskazała na mężczyznę stojącego u jej boku - Paul Reyes.

193

- Jesteś tego pewna?

Zrobiła coś, co sobie przysięgała, że już nigdy nie uczyni.

- Całkowicie.

Johnson opuścił pistolet, po czym odwrócił się do Gatesa.

- Słyszałeś, co powiedziała. Niewiele brakowało, a zabiłbyś nie tego człowieka.

- Już nie żyjesz!

Wszystkie oęzy zwróciły się na Victora Reyesa, który wyciągnął pistolet spod koszuli. Rozległy się strzały.

Renee znów znalazła się na podłodze, a Paul przykrywał ją sobą jak tarczą.

Victor Reyes leżał kilka metrów dalej, z otwartymi oczami, bez ruchu, na czole, między oczami, miał dziurę, z której ciekła krew.

Renee nie mogła się poruszyć.

Słyszała głosy.

Czuła ruch dookoła.

Co się stało z Paulem?

- Wszystko z tobą w porządku?

- Tak. A ty? Jesteś ranna?

- Nie.

Wy dostała się spod Paula i pomogła mu wstać. Wydawał się dziwnie zdezorientowany. Może to był szok z powodu śmierci brata.

Zamrugął.

- Ja... - Osunął się na podłogę.

- Paul! - Renee padła na kolana. - Paul! Johnson natychmiast uklęknął koło niej.

- Sanitariuszy! Szybko! - krzyknął do agentów DEA.

Renee odwróciła się, by zobaczyć, czy ktoś ruszył się, by sprowadzić pomoc. Miała szczerą nadzieję, że ambulans zawsze czeka w pogotowiu podczas takiej akcji.

- Postrzelono go? - zapytała Johnsona, który go badał.

Detektyw zignorował jej pytanie i przekreślił go na bok w jej stronę, by sprawdzić plecy. Zaklął, a serce Renee prawie pękło.

- Co się stało?

Znowu ją zignorował. Delikatnie położył Paula z powrotem na plecy.

- Reyes, słyszysz mnie? Jeśli mnie słyszysz, odezwij się, człowieku!

- Słyszę cię.

Jego głos był słaby i lekko charczący, ale na szczęście nie stracił świadomości. Renee poczuła ulgę. Przysunęła się do niego.

- Pomoc jest w drodze. - Powstrzymywała łzy. - Wszystko będzie dobrze, Paul. Trzymaj się, proszę.

- Ciągłe nie wiem, kim jesteś naprawdę. - Gdy zaczęła mu wyjaśniać swoją skomplikowaną historię, powtórzył: - Renee... Vaughn? - Jego twarz zwiotczała, powieki opadły.

Johnson odepchnął ją i przyjął pozycję, którą znała aż za dobrze.

Przyłożył ucho do ust Paula. Zamarł w tej pozycji na chwilę. Wyprostował głowę i rozpoczął re-suscytację.

195

- O Boże! - Renee zaczęła się trząść.

Do pokoju wpadło dwóch sanitariuszy i zajęło miejsce Sama Johnsona. Sztuczne oddychanie, masaż serca...

Johnson odsunął Renee od nich.

- Nie rozumiem, co się stało. - Obserwowała, jak sanitariusze próbują przywrócić krążenie i oddech. -

Co mu się stało? Przecież nie było wcale dużo krwi.

- Vaughn, spójrz na mnie. - Starał się skupić na sobie jej uwagę.

- Boże, tylko nie to... - Nie potrafiła oderwać wzroku od Paula.

- Vaughn, posłuchaj! - Johnson przyciągnął ją, popatrzył jej w oczy. - Kula weszła w plecy, niedaleko kręgosłupa. Musisz przygotować się na najgorsze.

- Muszę być przy nim.

Puścił ją. Choć miał do niej mnóstwo pytań, wszystkie kwestie do wyjaśnienia i raporty musiały poczekać na stosowniejszą porę.

Gdy wychodziła za sanitariuszami, usłyszała krzyk Johnsona:

- A gdzie, do cholery, podział się Gates?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Oddział ratunkowy szpitala w Miami 18:30

Czas zlał się w jedną masę. Renee nie wiedziała, który to dzień tygodnia, która godzina.

Paul został przewieziony helikopterem do szpitala w Miami. Jakiś policjant, którego nazwiska nie pamiętała, przywiózł ją tutaj, choć ludzie z DE A nalegali, żeby została u nich i złożyła zeznania.

Johnson wyjaśnił z grubsza wszystko, co się stało, przybyłemu na miejsce akcji szefowi oddziału DE A. Uważał, że DEA znała wystarczająco wiele faktów, by domyślić się, jaką naprawdę rolę odgrywał w tej sprawie Joseph Gates. Agent zdrajca oczywiście przepadł jak kamień w wodę. Renee wreszcie zyskał pewność, skąd Victor znał wszystkie ich działania i dzięki komu mógł skrupulatnie zaplanować swoje ruchy.

Nie ukrywała zadowolenia, że ten bydlak zginął.

W jej głowie cały czas dźwięczały słowa Paula, które powiedział tuż przed utratą przytomności. Nie do zniesienia było to, że ostatnie, co zapamiętał z tych okrutnych wydarzeń, to była wiadomość o jej fałszywej tożsamości... ojej zdradzie.

Operacja usuwania kuli prowadzona przy udziale neurochirurgów trwała już trzy godziny.

Stan Paula był stabilny, ale lekarze byli nadzwyczaj ostrożni w rokowaniach.

Kula z dwudziestkidwójki weszła w ciało pod kątem i utkwiała w okolicy kręgosłupa. Najprawdopodobniej gdy Paul wstał, kula przybliżyła się do kręgosłupa i nacisnęła na nerwy, paraliżując górną część ciała i utrudniając oddychanie.

Renee przypomniała sobie, co Paul opowiadał jej o poprzedniej operacji kręgosłupa i jak cieszył się, że nie doszło do paraliżu ramion. Miała nadzieję, że i tym razem Bóg nie zabierze mu władzy w rękach.

Przymknęła oczy, walcząc ze łzami.

- Vaughn.

Otworzyła oczy. Koło niej usiadł Jim Colby, który przyleciał na Florydę kilka godzin wcześniej.

Przycisnęła chusteczkę do oczu i westchnęła głęboko.

- Hej.

- Jakież wiadomości?

- Ciagle nic.

- Chciałem ci tylko przekazać, że namierzyłem urzędnika administracji, który podmienił dokumentację medyczną w szpitalu w Mexico City. Prawnik reprezentujący szpital już przefaksował do DEA oświadczenie, że to Paul Reyes miał operację na kręgosłupie, a nie Victor.

- Czy to wyjaśnia wszystkie wątpliwości?

- Tak. Sprawa Victora Reyesa została oficjalnie

zamknięta. Wiemy, że przejęcie tożsamości brata planował od wielu miesięcy. Nowy prezydent Meksyku rozważał wydanie dekretu umożliwiającego ekstradycję Victora. Gates dał się przekupić, gdy cena podskoczyła naprawdę wysoko. Ten drań zdołał nawet namówić Darię Stewart, żeby zwróciła się do nas o pomoc. Dzięki temu Victor mógł rozpocząć swoje przedstawienie. Paul został obsadzony w roli kozła ofiarnego.

Zacisnęła zęby. Rozsadzała ją nienawiść. Miała nadzieję, że Victor Reyes smaży się już w piekle, a Joseph Gates też dostanie to, na co zasłużył.

Zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć Jimowi, otworzyły się drzwi bloku operacyjnego i do poczekalni weszli lekarze, z którymi już wcześniej rozmawiała.

Zerwała się na równe nogi. Jim stanął przy jej boku.

- Jak poszło?

- Operacja się powiodła - ostrożnie odparł doktor Kilpatrick.

- Czy nastąpiły trwałe uszkodzenia? - Jim zadał pytanie, które nie mogło przejść Renee przez gardło.

- Za wcześnie na ostateczną opinię. Wiemy, że nie nastąpiło żadne strukturalne uszkodzenie kręgosłupa, z czego należy się oczywiście cieszyć, jednak urazowi uległy nerwy współczulne, które kontrolują mięśnie biorące udział w oddychaniu, więc jakieś powikłania mogą wystąpić. Oczywiście, może także okazać się, że pacjent wyjdzie

z tego bez szwanku, ale w tej chwili nie można tego definitywnie stwierdzić. Wszystko okaże się dopiero po kilku dniach. - Doktor Kilpatrick ostrożnie ważył swoje słowa, nie chcąc dawać złudnych nadziei.

Renee nie mogła przestać myśleć o tym, że gdyby układ nerwowy Paula nie działał prawidłowo, wówczas jego egzystencja straciłaby sens. Nie mógłby przecież malować. Czy w ogóle chciałby żyć?

- Kiedy będę mogła się z nim zobaczyć? - zapytała.

- Jeszcze nie teraz - odparł doktor. - Będzie mógł przyjąć gości, gdy odpocznie po operacji i całkowicie odzyska świadomość.

Po wyjściu doktora Renee ciężko opadła na fotel. Jim usiadł obok niej.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dzięki.

- Odwaliłaś dobrą robotę.

Jednak czuła się tak, jakby zaważyła sprawę. Oczywiście dopadli Victora, ale Paul...

- Gdybyś nie poinformowała mnie o planie Victora, Gates najprawdopodobniej zabiłby Paula. A my nie siedzielibyśmy tutaj, tylko oglądalibyśmy go w kostnicy szpitalnej.

Renee zadrzała.

- Taki mieliście plan? Zabić Victora Reyesa bez procesu sądowego? - Nie zależało jej na życiu przestępcy i postawieniu go przed sądem, ale na cel wzięli niewłaściwego człowieka.

200

- Agent, który przejął sprawę po zniknięciu Gatesa, zdradził mi, że zamierzali zdjąć Victora, gdyby nie chciał się poddać. Przecież nikt nie miał pojęcia, że Victor miał swój własny plan ostatecznej rozgrywki.
- Nadal nie do końca rozumiem, skąd w ręku Paula pojawił się pistolet.
- Felipe Santos, jeden z ochroniarzy Victora, za obietnicę mniejszego wyroku poszedł na współpracę i złożył zeznania. Powiedział, że Victor miał przy sobie dwie sztuki broni, w tym trzydziest-kęśsemkę, którą wcisnął Paulowi, gdy byli w objęciach. I tak doskonale wiedział, że Paul go nie zastrzeli, chyba że zmusiłby go do tego swoim zachowaniem.
- To dlatego przeciągnął mnie na linię wzroku Paula - skonstatowała Renee.
- Właśnie. Victor przykleił sobie taśmą do boku drugi pistolet, dwudziestkędwójkę, i trzymał pod koszulą, gdyby coś się nie powiodło. Chciał zrobić wszystko, żeby brat nie przeżył konfrontacji. Potarła czoło. Nie chciała już słuchać dalszego ciągu. Chciała tylko dostawać same dobre nowiny... o Paulu.
- Znaleźli już Gatesa?
- Jeszcze nie, ale znajdują. Nie musisz się tym martwić.
- Taką mam nadzieję.
- Nie jesteś głodna? Może przynieść coś do jedzenia?

201

- Nie, dziękuję. Jeszcze nie umieram z głodu.

- No dobrze. Więc pozostaje nam tylko czekać na wiadomości.

Przesiedzieli kilka godzin, pogadując od czasu do czasu. Obecność Jima pomogła jej w tych trudnych chwilach. Zmęczenie wreszcie zwyciężyło i zapadła w drzemkę, gdy nagle otwarły się drzwi i stanęła w nich pielęgniarka. Uśmiechnęła się do Renee.

- Pani Vaughn, doktor Kilpatrick prosił, bym powiedziała pani, że pan Reyes obudził się i samodzielnie oddycha.

- To świetnie! Czy mogę go już odwiedzić?

- Może pani, ale musi leżeć bez ruchu. Więc proszę zachować absolutną ostrożność, żeby się nie poruszył pod wpływem emocji.

- Rozumiem.

- Poczekam na ciebie - powiedział Jim.

Renee weszła za pielęgniarką na oddział intensywnej opieki medycznej bloku pooperacyjnego. Pokój Paula był naprzeciwko stanowiska pielęgniarek. Przeszklone ściany pozwalały na obserwację wszystkich pacjentów.

- Może pani z nim być tylko pięć minut. Weszła do pokoju i podeszła do łóżka.

- Cześć - powiedziała cicho, delikatnie ujmując jego dłoń.

Paul otworzył oczy.

- Cześć - odpowiedział słabym głosem.

- Lekarze mówią, że operacja się udała. - Uśmiechnęła się, powstrzymując łzy.

202

- Mnie też to powiedzieli.

Był bardzo blady, ale to naturalne po tak ciężkiej operacji i narkozie.

- Mogę zostać tylko pięć minut, ale będę cię odwiedzać tak często, jak tylko mi na to pozwolą.

- Opowiedz mi szybko - wyszeptał.

- Co? - Pogłaskała go po policzku. Tak bardzo chciałyby położyć się na łóżku i mocno przytulić do Paula.

- Muszę wiedzieć, kim jesteś.

- Nazywam się Renee Vaughn. Pracuję w agencji detektywistycznej Equalizers.

Zmarszczył brwi.

- Prowadziliście śledztwo przeciwko mnie? Renee zagryzła wargę.

- Nie. Chodziło o twojego brata.

- I potrzebowaliście mnie, żeby do niego się dostać?

Dostrzegła w jego oczach żal i smutek.

- Tak.

Odetchnął głęboko. Czyżby go uraziła? Co mu się stało?

- Jestem bardzo zmęczony. Zamknął oczy.

Pocałowała go w czoło. Nic więcej nie mogła mu teraz powiedzieć. Jeśli nie będzie już chciał się z nią spotkać, zrozumie. Miał do czynienia z oszustwem i zdradą przez całe swoje życie.

- Przepraszam, pani Vaughn - odezwała się pielęgniarka z progu. - On musi odpoczywać. Czas wizyty minął.

203

Renee podziękowała jej i wyszła z przeszklonego pokoju. W poczekalni, tak jak obiecał, czekał na nią Jim Colby.

- Detektyw z Biura Pościgowego chce się z tobą widzieć. Powiedział, że ma pilną sprawę i jak najszybciej musi z tobą porozmawiać.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o co może mu chodzić.

- Chodzi o twojego brata. Pośpiesz się, zaczekam na ciebie. Jeśli coś się zmieni na OIOM-ie, dam ci znać.

Embassy Suites Hotel, Miami 21:00

Renee zatrzymała się przed pokojem 618. Nie była pewna, czy chce się dowiadywać czegoś nowego o swoim bracie. Przez dwa lata mówiono jej, że nie wolno się jej do niego zbliżać. Takie żądanie pochodziło wprost od niego. Nie chciał, żeby go odwiedzała, choć odkryła nowe dowody w jego sprawie. Nie chciał, żeby o nich komukolwiek opowiadała. Nic nie mogła zrobić, musiała trzymać się od niego z daleka, jak sobie tego życzył. Więc właśnie to zrobiła. Wyjechała z Teksasu i próbowała rozpocząć nowe życie w Atlancie.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego ktoś mający do czynienia ze sprawą jej brata miałby przyjeżdżać do Miami, żeby z nią porozmawiać. Nie wiedziała nawet, dlaczego w ogóle pozwoliła im się przywieźć do hotelu.

- Pani Vaughn, on czeka.

Renee spojrzała na detektywa. Był miły i uprzejmy, gdy przedstawiała mu swoje argumenty uzasadniające to, że nie chce słyszeć już o swoim bracie. Wiedział, że to tylko jej emocjonalna reakcja.

Wyprostowała plecy, odetchnęła głęboko.

- No dobrze.

Jim załatwił jej, że mogła wziąć w szpitalu prysznic. Zdobył też dla niej nowe ubranie. Wyglądała już w miarę przyzwoicie, ale przecież nie miało to najmniejszego znaczenia. Nie przyszła tutaj po to, by robić na kimkolwiek dobre wrażenie.

Detektyw Famsworth stuknął dwa razy w drzwi. Otworzyły się. Wyszedł z nich poważnie wyglądający mężczyzna w ciemnym garniturze. Spojrzał na nią i na detektywa.

- Jesteśmy gotowi.

Gotowi? Na co gotowi? Co tu się, do licha, dzieje?

- Proszę wejść, pani Vaughn. - Nieznany jej mężczyzna odsunął się od drzwi.

Serce zaczęło bić jej jak szalone, gdy tylko znalazła się w środku. A jeśli stracono jej brata, gdy była na bagnach Everglades? Nie myślała o tym wtedy, gdy uciekała przed bandytami, walcząc o życie. A teraz, gdy już nie żył, chcieli wysłuchać jej teorii na temat jego niewinności? To nie miało żadnego sensu. Chyba że sami podejrzewali, że coś poszło nie tak z procesem. Trochę za późno na wszczynanie nowego śledztwa.

- To niezwykła historia - zaczął mężczyzna,

205

który się nie przedstawił - ale pani brat bardzo nalegał.

- Pani Vaughn, to jest detektyw Owens - przedstawił go Farnsworth. - Przenosimy Matthew.

Renee przymykała na moment oczy. Kompletnie pogubiła się w tym wszystkim.

- O czym mówicie?

- Proszę usiąść. - Owens podsunął jej krzesło.

Znajdowali się w salonie apartamentu hotelowego. Dwoje drzwi po bokach świadczyły o tym, że był to apartament z dwoma sypialniami.

Renee usiadła. Im szybciej to spotkanie się skończy, tym szybciej będzie mogła wrócić do Paula.

- Lepiej będzie, gdy wszystko wyjaśni pani brat. A potem musimy stąd zniknąć. Im dłużej tu jesteśmy, tym większe staje się ryzyko.

Informacja, że brat miał jej wszystko wyjaśnić, tak bardzo ją zaskoczyła, że prawie nie słyszała reszty wypowiedzi detektywa. Przecież Matthew siedział w celi śmierci w więzieniu w Teksasie... a może nie?

Detektywi wyszli z salonu na korytarz, zostawiając ją samą. Nagle otworzyły się drzwi jednej z sypialni.

- Cześć, siostrzyczko!

Wściekłość, która ją nagle opanowała, była zupełnie irracjonalna, ale nie potrafiła nad nią zapanować.

Zerwała się na równe nogi.

- O co tu chodzi, Matthew? Wyszedł z więzienia?

Żywy?

I znalazł się właśnie tutaj? Mówił do niej? Sen to czy jawa?

Podszedł do niej i objął ją. Początkowo stała jak skamieniała z opuszczonymi ramionami, z myślami szalejącymi w głowie, aż wreszcie objęła mocno brata i powstrzymała łzy, których obiecała sobie już nie wylewać z jego powodu.

Cofnął się o krok.

- Nie mamy dużo czasu, siostrzyczko, więc będę się streszczał.

Usiedli i Renee wysłuchiwała niezwyklej historii o strachu i desperacji. Matthew przyznał się do zamordowania dwóch członków elity społecznej Austin tylko dlatego, że nie miał żadnego wyboru. Gdy Renee dowiedziała się prawdy i próbowała mu pomóc, też naraziła się na niebezpieczeństwo. To był właśnie powód, dla którego odepchnął siostrę od siebie. Chciał ją chronić. Prawdziwy zabójca, mafioso z Teksasu, nie podejrzewał nawet, że Matthew poszedł na współpracę z FBI. A skoro Renee zniknęła z jego życia i z Teksasu dwa lata temu, wydawało się, że jest już bezpieczna. Opinia publiczna dowiedziała się, że Matthew Vaughn został stracony o północy poprzedniego dnia. Teksaska mafia została wzięta na celownik i kilkunastu członków mafii już zostało postawionych w stan oskarżenia, w tym prawdziwy zabójca, który terroryzował Renee i jej brata. Sprawa Matthew została zamknięta.

Był jeszcze tylko jeden problem. Matthew miał wziąć udział w programie ochrony świadka. To było ich ostatnie spotkanie.

22:38

Renee była wyczerpana, gdy detektyw Farnsworth wysadził ją przed wejściem do szpitala. Bała się, że nie uda się jej przekonać pielęgniarek, by pozwoliły jej odwiedzić Paula o tej porze, ale czuła, że musi spróbować. Jim Colby przyrzekł, że zostanie w szpitalu. Dał jej nawet swój telefon komórkowy i obiecał, że zadzwoni, gdyby stan Paula uległ poważnej zmianie.

Renee i Matthew wyjaśnili sobie wszystko. Na przemian śmiali się i płakali, a najważniejsze, że się pogodzili. Zapewniła brata, że będzie bezpieczna w agencji Jima Colby'ego. Opowiedziała, że nigdy jeszcze nie pracowała z człowiekiem takim jak on. Nawet jego firma detektywistyczna miała odpowiednią nazwę „Equalizers - Wyrównywacze rachunków”. Jim Colby wyrównywał rachunki ludzi, którzy nigdzie indziej nie mogli się zwrócić o pomoc w trudnych sprawach. Nieważne już było dla nich, jak Agencja Antynarkotykowa poradzi sobie dalej ze śledztwem - Renee wiedziała, że Jim Colby dopełni wszelkich starań, by Joseph Gates został pojmany. Tak jak zadbał o to, by detektywi z Wydziału Pościgowego traktowali jej brata z uprzejmością i szacunkiem. Choć śledztwo dotyczące Matthew było jeszcze w toku, to nazwisko

Colby dawało gwarancję, że jej brat otrzyma to, na co w pełni zasłużył - drugą szansę.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Renee szczerze się uśmiechnęła. Była dumna, że stała się częścią zespołu Jima. Była też dumna z brata.

Przecinała hol szpitala, idąc w stronę wind. Może gdyby nie była tak bardzo zamyślona, udałoby się jej uniknąć zderzenia z innym odwiedzającym.

- O, przepraszam. - Podniosła wzrok na osobę, którą potrąciła.

To był Gates.

- Tędy, Vaughn.

Nie musiała nawet widzieć broni w kieszeni jego marynarki, bo czuła, jak lufa wbija się w jej żebra.

- Nie sądziłam, że jesteś taki głupi, Gates.

- Zamknij gębę i ruszaj! - Poprowadził ją w kierunku podziemnego parkingu szpitala.

- Gdybym była na twoim miejscu, to zakopałabym się w Meksyku lub w ogóle na drugiej półkuli, w jakimś egzotycznym państewku, gdzie prawo cię nie dosięgnie.

Nie odpowiedział, tylko prowadził ją dalej. Korytarz był zupełnie pusty, co oznaczało, że na parkingu nie uświadczy się żywej duszy. Z pewnością zainstalowano tu kamery ochrony, ale na niewiele się zdadzą. Ktoś je kiedyś obejrzy i stwierdzi, że faktycznie została uprowadzona i zamordowana przez Gatesa. Ale wtedy będzie już po niej.

Renee wiedziała jedno: nie może dopuścić, by ją wciągnął do samochodu.

209

Podwójne drzwi oddzielające szpital od parkingu rozsunęły się i Gates pchnął ją do przodu. Poczła zapach benzyny i oleju. Musiała szybko wpaść na jakiś pomysł.

- Uważasz, że dzięki zakładnikowi zapewnisz sobie bezpieczną ucieczkę? - zapytała. - Oglądałeś zbyt dużo filmów sensacyjnych, Gates. Powinieneś wiedzieć, że to marny pomysł.

Agent zdrajca rzucił ją o drzwi samochodu.

- Nie, Vaughn. Wcale nie chodzi mi o bezpieczną ucieczkę. - Przysunął do niej twarz. - Chodzi o zapłatę. Chcę, żeby Paul Reyes wiedział, ile będzie kosztowało go to, że nie chciał współpracować. Teraz to Renee się roześmiała.

- Daj sobie spokój, człowieku. Myślisz, że on będzie się przejmował moim losem? Pracowałam pod przykrywką i wykorzystałam go do realizacji zadania, o czym już wie. I życzy mi wszystkiego najgorszego. Nie zmartwi się zbytnio, gdy mnie zabijesz.

Gates szarpnął kłamkę i otworzył drzwi.

- Kłamiesz. Widziałem, jak cię chronił. Leży teraz w szpitalu, bo zasłonił cię przed kulą przeznaczoną dla ciebie.

Teraz albo nigdy, pomyślała. Zginie, jeśli nie spróbuje. Naparła całym ciężarem i wbiła Gatesowi łokieć w żołądek.

Jęknął, pochylił się do przodu. Rzuciła się do ucieczki.

210

Zdażył złapać ją za włosy i pociągnąć ją z powrotem do tyłu. Lufa pistoletu wbiła się w jej skroń.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił. - Wrzucił ją na siedzenie pasażera. - Prowadzisz. Przesuń się za kierownicę.

Robiła to bardzo powoli, rozglądając się dyskretnie za czymś, co mogło posłużyć za broń. Kluczyki! Wyciągnęła je ze stacyjki, zanim usiadła za kierownicą. Odwróciła się do Gatesa ładującego się na siedzenie pasażera. Lewą ręką odtrąciła wymierzony w nią pistolet, prawą wbiła kluczyk w tętnicę szyjną.

Pistolet wypalił, kula roztrzaskała przednią szybę.

Renee walczyła, by tylko utrzymać broń jak najdalej swojej głowy. Krew zaczęła się lać z szyi Gatesa, rozbryzgiwała się po jej twarzy. Znowu wystrzał. Kula przeleciała blisko jej ucha. Za blisko.

Gdyby tylko udało się jej przytrzymać jego ręce na dole... i przekręcić kluczyk w jego szyi...

Gates wrzasnął.

Wypadli z samochodu na betonową podłogę.

- Nie ruszaj się!

Nie mogła nawet zadrzeć głowy, by zobaczyć, kto to mówi. Musiała trzymać ręce Gatesa jak najdalej od siebie.

Czyjaś stopa spadła na dłoń trzymającą pistolet.

Renee spojrzała do góry, nadal walcząc ze wszystkich sił z Gatesem.

211

To był Sam Johnson. Gates opadł na nią bez sił. Miał otwarte oczy. Nieruchome oczy. Cholera. Zrzuciła go z siebie i wstała. Johnson wykopał pistolet z bezwładnych palców Gatesa.

- Musisz iść na górę i powiedzieć, że mają kolejnego klienta do kostnicy.

Renee skinęła głową.

Zdała sobie sprawę, że zabiła człowieka.

Johnson podtrzymał ją, gdy się zachwiała.

- To była walka, Vaughn. Albo on, albo ty. Nie rozpamiętuj tego teraz.

Kiwała głową jak w transie.

Na parkingu pojawiła się ochrona szpitala. Sanitariusze próbowali reanimować Gatesa, ale było za późno. I bardzo dobrze. Gnojek nie zasługiwał na to, by żyć. Należało mu się miejsce w piekle, w jednym kotle ze swoim kumplem Victorem Re-yesem.

Gdy Johnson składał zeznania, Renee przesłuchiwał inny policjant. Nawet nie wiedziała, kiedy się pojawili. Czas biegł jakby w przyśpieszonym tempie. Nie do końca kojarzyła wszystko, co się wokół działo.

Przyjechali agenci DEA.

Renee dowiedziała się, że w obawie przed Gatesem Jim Colby rozkazał Johnsonowi, by dyskretnie ją śledził. Podziękuje mu później.

Teraz chciała już tylko odwiedzić Paula.

212

06:00

Gdy policja i śledczy Agencji Antynarkotykowej skończyli swoje przesłuchania, Jim zmusił Re-nee, żeby odpoczęła i wreszcie się wyspała. Jej zeznania potwierdził zapis wideo z kamer ochrony, więc nie było żadnego problemu z wiarygodnością. Johnson przywiózł jej nową zmianę odzieży. Po zmyciu krwi zdrajcy pod prysznicem padła ze zmęczenia i położyła się na łóżku w pokoju wypoczynkowym pielęgniarek.

Regulamin oddziału intensywnej opieki medycznej zabraniał odwiedzania pacjentów w nocy. Cóż, poczeka do szóstej rano. Nie chciała iść spać, ale Jim nalegał.

Świadomość, że musiała zabić Gatesa, by ratować swoje życie, była dla niej czymś na pograniczu rzeczywistości. Jim wyjaśnił jej, że szok po pozbawieniu kogoś życia z czasem minie i wszystko wróci do normy, wiedziała jednak, że będzie musiała przejść terapię psychologiczną. Jim znał kogoś, kto mógłby pomóc otrząsnąć się jej ze stresu. Pocięchą było jednak to, że wreszcie skończył się ten cały koszmar.

Serce mocniej jej zabiło, gdy zbliżała się do pokoju, w którym leżał Paul. Tak chciała go znowu zobaczyć, wyznać, że nie zamierzała mu w żaden sposób zrobić krzywdy, sprowadzić na niego nie-szczęścia. Bała się bardzo, że nie będzie chciał z nią rozmawiać i wyśle ją do diabła.

Po raz pierwszy w życiu wszystko zaczęło się jej

213

układać. Miała nową pracę, dzięki której czuła, że robi coś potrzebnego i pożytecznego. Pogodziła się z bratem, który uniknął kary śmierci i wyszedł na uczciwego człowieka, gotowego poświęcić swoją tożsamość, by zeznawać w sądzie przeciwko mafii. Po wszystkich tragicznych przeżyciach i jemu, i jej należało się długie, szczęśliwe życie. Choć jej szczęśliwe życie zależało od człowieka, który leżał nieopodal na łóżku szpitalnym. Nie spał już.

- Słyszałem, że wczoraj wieczorem było jakieś spore zamieszanie? - zapytał retorycznie już nie tak bardzo chrypiącym głosem jak poprzedniego dnia.

- Gates nie żyje.

- Dobrze mu tak.

Renee stała przy łóżku Paula, ale tym razem nie chwyciła jego dłoni.

- Wyglądasz już o wiele lepiej - powiedziała wesołym tonem, który nawet jej samej wydał się sztuczny.

Paul przyglądał się jej, jakby ją oceniał. Powstrzymała się przed odwróceniem wzroku z zakłopotania. Czuła, że musi z godnością przyjąć jego decyzję bez względu na to, jaka będzie. Dostyc już wiecznego uciekania przed wszystkim. Miała tego serdecznie dosyć. Uciekła z Teksasu ze względu na proces brata i to, co między nimi zaszło. Uciekła z Atlanty, bo nie potrafiła poradzić sobie z kwestią zaufania do faktów i ludzi, co stawiało pod znakiem zapytania sens jej pracy

214

w prokuraturze. Próbowwała dostosować się do soc-jety politycznej Atlanty i zżyć się z pracownikami biura prokuratora okręgowego, ale nie udało się. Przeszłość podążała za nią jak... jak zły duch, powodując, że nie potrafiła zaufać kolegom prokuratorom ani nawet samej sobie.

Dosyć już tego uciekania.

Paul wyciągnął rękę i pogłaskał ją delikatnie po policzku. Przychyliła się, by było mu łatwiej.

Uśmiechnął się.

- Cieszę się, że już nic ci nie grozi. Opuścił rękę. Widać było, że kosztowało go to wiele wysiłku.

Dotarło do niej dopiero po chwili. Poruszył ręką. Dotknął jej twarzy. Nadzieja przepełniła jej serce.

Jego uśmiech stopił cały lód strachu z jej serca.

- Lekarze powiedzieli, że za jakiś czas wrócę do pełnej formy.

Łzy potoczyły się po jej policzkach, zanim zdążyła je powstrzymać.

- To wspaniała wiadomość. Chwycił jej dłoń.

- Nadszedł chyba czas, żebyś się poprawnie przedstawiła...

Poczuła wielką ulgę.

- No dobrze. Nazywam się Renee Vaughn. Pochodzę z Teksasu.

- Cóż, Renee Vaughn z Teksasu, myślę, że mamy z sobą wiele do pogadania. - Ścisnął jej dłoń. - I wiele planów do poczynienia.

Pocałowała go w czoło.

215

- Tak, wiele planów.

Ich oczy spotkały się, a w jego spojrzeniu było tyle samo namiętności jak wtedy, gdy się kochali.

- Ale najpierw cię namaluję.

- To chyba da się załatwić.

Pocałowała go jeszcze raz. Tym razem w pocałunku zawarła obietnicę przyszłości.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Chicago

Sobota, 12 maja, 23:15

Jim Colby zaparkował samochód przed swoim domem i westchnął głęboko.

Znowu ominął go obiad ze swoimi dziewczynami.

Była to bardzo pracowita sobota. Pojawiło się wiele nowych spraw. Wkrótce będzie musiał kogoś zatrudnić, jeśli Tasha nie zdecyduje się wrócić do pracy.

I wcale by jej za to nie winił. Ani jemu, ani jej nie bardzo podobał się pomysł, by zostawiać dziecko w rękach opiekunki, osoby spoza rodziny.

Wszedł do środka i zaniknął drzwi na zasuwę.

W domu panowała cisza.

Tasha z pewnością zostawiła dla niego kolację do podgrzania, ale był zbyt zmęczony, żeby jeść.

Zaczął wchodzić po schodach tak cicho, jak tylko potrafił. Zajrzał do pokoju córeczki i uśmiechnął się mimo piekielnego zmęczenia. Była taka słodka i taka kochana. Zupełnie jak jej mamusia.

Wycofał się i poszedł do sypialni, gdzie żona już zapewne spała. Rozebrał się, wsunął pod kołdrę

217

i przytulił do pleców Tashy. Poczucił się wspaniale, czując jej bliskość. Aż był tym zdziwiony, że wciąż go kochała. Że ich dziecko było takie doskonałe i zdrowe... że jego życie było takie... rzeczywiste. Tasha odwróciła się leniwie i westchnęła z zadowoleniem.

- Wróciłeś.

- Mhm... - O rany, jak wspaniale pachniała. Musnął ustami jej szyję.

- Twoja córka powiedziała dziś „tata”. A raczej: „taa-taa”.

- Poważnie? - zapytał uradowany.

- Poważnie.

A on tego nie słyszał...

- Nie martw się. Nagrałam na wideo.

- Dzięki. - Pocałował ją w czoło. Ciekawe, co jeszcze go ominęło.

- Wpadła dziś Victoria. Martwi się o ciebie, Jim. Uważa, że za dużo pracujesz, no i że niektóre sprawy, którymi się zajmujecie, są zbyt niebezpieczne.

- Poczawszy od dziś - przesunął się nad Taszę

- obiecuję, że będę przychodził do domu nie później niż o siódmej. I będę lepiej wybierał zlecenia.

- Gdyby tego nie robił, jego matka pewnie wprowadziłaby się do jego biura. Już wpadała dwa, trzy razy w tygodniu, by porozmawiać i ocenić sprawy, które wziął do realizacji. Jim bardzo kochał Victorię, jednak za bardzo wtrącała się w firmę i kompetencje szefa. Czeka ich poważna rozmowa, to

218

nieuniknione. Był przecież dorosłym człowiekiem, a matka nieustannie zagląda mu przez ramię.

- Świetnie. Cieszę się, że wreszcie zaczniesz z nami jadać kolacje. - Tasha objęła go za szyję. - Tylko pamiętaj, że Victoria bardzo cię kocha. Chce cię chronić, tak jak my chronimy Jamie.

- Kłopot w tym, że nie potrzebuję już takiej opieki. Jestem dużym chłopcem.

- Właśnie to widzę, a raczej czuję. - Objęła go mocno i przyciągnęła do siebie.

Jim odepchnął od siebie troski i zmartwienia, i zaczął kochać się namiętnie z żoną. Tylko to się teraz liczyło.

Jutro będzie nowy dzień i nie należało się nim z góry przejmować.

A Victoria będzie musiała pogodzić się z myślą, że jej syn potrafi sam zadbać o swoje sprawy.